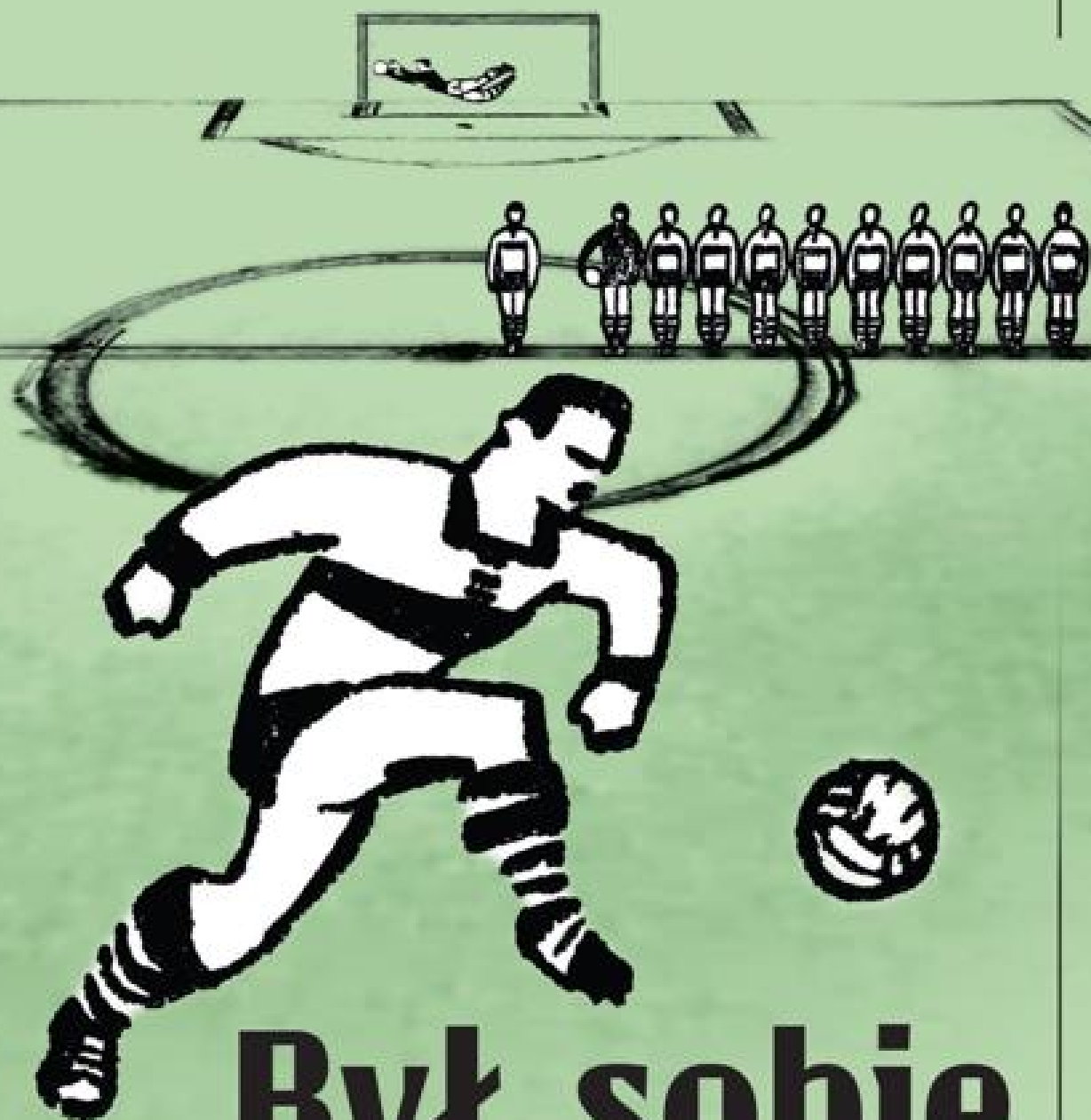


ANTONI BUGAJSKI



Był sobie piłkarz...

Masztaler • Kowalik • Komornicki • Scherfke • Wijas • Kielec • Iwan • Famuła
Kraska • Rudy • Bayer • Apostel • Jarosik • Szymkowiak • Kensy • Lentner • Świętek • Pawlak
Bułanow • Kusto • Anioła • Kalinowski • Lipka • Walczak • Rześny • Furtok • Szachnitowski • Sadek
Korynt • Jarek • Boguszewicz • Gorgoń • Przybyś • Tobollik • Pogrzeba • Matysik
Pieszko • Jakołcewicz • Alszer • Kupcewicz

NIEZWYKŁE HISTORIE
ZAWODNIKÓW NIE TYLKO Z PIERWSZYCH STRON GAZET



**Był sobie
piłkarz...**

ANTONI BUGAJSKI

Był sobie piłkarz...

**NIEZWYKŁE HISTORIE
ZAWODNIKÓW NIE TYLKO Z PIERWSZYCH STRON GAZET**

**BIBLIOTEKA
SPORTOWY**

Copyright @ Ringier Axel Springer Polska
Sp. z o.o.

Projekt okładki: Cezary Piotrowski

Projekt typograficzny i skład:

Przemysław

Piotrowski/przemekpiotrowski.pl

Redakcja: Roman Brzozowski

Korekta: Marcelina Szewczyk

Koordynator projektu: Katarzyna Drosio

Na okładce został wykorzystany motyw
graficzny

z „Przeglądu Sportowego” z lat 60.

Wydawca:

Ringier Axel Springer Polska Sp. z o.o.

ul. Domaniewska 49

02-672 Warszawa

ISBN: 978-83-8091-917-4

Warszawa, 2020

Okładka

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Od autora

Bohdan Masztaler. Studia z wicepremierem

Janusz Kowalik. Stempel: uciekinier

Ryszard Komornicki. Kryształowy pomocnik

Fryderyk Scherfke. Uznany za zdrajcę

Jerzy Wijas. Życiowy błąd sapersa

Marian Kielec. Rejs do portu

Andrzej Iwan. Plan na węgry

Aleksander Famuła. Zapomniany nauczyciel Kahna

Jerzy Kraska. Sen nie tylko o Warszawie

Wojciech Rudy. Wyjście z cienia

Jacek Bayer. Duma Podlasia

Henryk Apostel. Apostel dobrej piłki

Andrzej Jarosik. Turysta bez adresu

Edward Szymkowiak. Tarcza antyrakietowa

Adam Kensy. Rok 1984

Roman Lentner. Diament z kopalni

Tadeusz Świątek. Święty Tadeusz

Krzysztof Pawlak. Jak stracić 5 kilo w 90 minut?

Jerzy Bułanow. Rosjanin z opaską kapitana

Marek Kusto. Wojsko można pokochać

Teodor Anioła. Łowił gole jak ryby

Zygmunt Kalinowski. Trujący dowcip

Leszek Lipka. Transfer z Evertonu

Adam Walczak. Reprezentant 500 PLUS

Krzysztof Rześny. Człowiek ze Stali

Jan Furtok. Ręka gorszego boga

Kazimierz Szachnitowski. Ayala grał w Tychach

Jerzy Sadek. Bomba na Wyspach

Tomasz Korynt. Skok przez płot

Engelbert Jarek. Jedyny taki Jarek

Czesław Boguszewicz. Pociskiem w oko

Jerzy Gorgoń. Mobilna budka telefoniczna

Kazimierz Przybyś. Opluty przez Księcia

Cezary Tobollik. Cezar z legionu Bilardo

Norbert Pogrzeba. Dwaj wrócili, on został

Waldemar Matysik. Na czerwonym dywanie

Jan Pieszko. Skutki majówki w stolicy

Czesław Jakóbczewicz. Wojownik spod Cedyńi

Henryk Alszer. Koniec roku, koniec życia

Janusz Kupcewicz. Brakujące ogniwo

Bibliografia

W czterdziestu opowieściach o polskich piłkarzach jest wszystko, za co kochamy futbol. Ale futbol pojmowany szerzej niż tylko to, co dzieje się na murawie między pierwszym a ostatnim gwizdkiem sędziego. To są historie ludzi, którzy oprócz zmagania z rywalami na boisku siłowali się z tysiącami codziennych wyzwań i problemów. Piłka organizowała im życie albo wręcz przeciwnie – wywracała je do góry nogami. Nieprzypadkowo w zdecydowanej większości chodzi o zawodników, których piłkarska aktywność przypada na czasy, kiedy Polskę od Zachodu oddzielał mur berliński i inne równie potężne bariery.

Mamy więc zuchwałe ucieczki do tego lepszego świata, upartą walkę z systemem lub mimowolne poddawanie się bezdusznym zasadom. Są małe i większe oszustwa, jest spryt, ale też bezradność. Nie mogło zabraknąć sportowej zmyry – wszechobecnych kontuzji hamujących i nawet łamiących kariery.

W tych historiach jednak nade wszystko jest piłka – filmowe akcje, chwile bohaterstwa pojmowane całkiem dosłownie lub uchwycone w skali kieszonkowej, kiedy człowiek jest herosem dla samego siebie i bliskich. Są sportowe wzloty i niemal zawsze towarzyszące im upadki.

Nie każdy piłkarz chce o swoim życiu szczerze poopowiadać, niektórzy już dawno odeszli ze swoimi fascynującymi historiami, zostawiając nam niedopowiedzenia i legendy. Tym bardziej warto szukać odpowiedzi, może szczególnie wtedy, gdy bohaterowie reagują niechętnie lub milczą.

Galeria postaci wyrażona w haśle „Był sobie piłkarz”, które najpierw stało się nazwą cotygodniowego cyklu w „Przeglądzie Sportowym”, a teraz posłużyło jako tytuł książki, prezentuje takich nietuzinkowych sportowców. Kryterium doboru dotyczy więc nie tylko ich piłkarskich osiągnięć, ale też życiowych przygód i doświadczeń. Czasem właśnie od piłki wszystko się zaczyna albo na niej kończy. Czasem jednak piłka wygląda jak ledwie dodatek do czegoś znacznie ważniejszego. Próbuję to uchwycić.

– Mamy gadać o starych historiach? A czy w Polsce ktoś jeszcze o mnie pamięta? – pyta były as Polonii Bytom Norbert Pogrzeba. To jeden z tych polskich piłkarzy z czasów PRL, który ponad pół wieku temu wybrał wolność na Zachodzie i już nigdy do kraju nie wrócił. Również dla takich ludzi warto było spisywać te opowieści. Trochę po to, by ich świadectwa ocalić od zapomnienia, a jednak bardziej dla uświadomienia, jak skomplikowane i godne bliźszego poznania były ich losy. Dotyczy to nie tylko medalistów

mistrzostw świata i igrzysk olimpijskich, choć dla nich oczywiście również jest tu ważne miejsce.

Dlatego bohaterom opisanych historii, z którymi miałem przyjemność porozmawiać, chciałem serdecznie podziękować. Tak samo jestem wdzięczny wszystkim, którzy zechcieli podzielić się wiedzą o nieszablonowych piłkarzach. Chodzi o całą armię życzliwych osób – byłych zawodników, trenerów, działaczy, historyków, kibiców i dziennikarzy.

Dzięki każdemu z was te opowieści tętnią prawdziwym życiem.

Klubowy trener błagał go na kolanach, żeby skupił się tylko na futbolu. Nic z tego. Bohdan Masztaler postanowił skończyć najbardziej renomowaną uczelnię ekonomiczną w Polsce.

Kiedy zaczynał się mundial w Argentynie, układający wyjściową jedenastkę na mecz z RFN selekcjoner Jacek Gmoch stawał przed dylematem: Boniek czy Masztaler? I wybrał tego drugiego. Mówiło się, że pomocnik, który przedmundialowy sezon spędził w Łódzkim Klubie Sportowym, należał do ulubieńców trenera kadry. Pewnie to prawda, bo Masztaler i wiślak Henryk Maculewicz – absolwent krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej – nadawali z inżynierem Gmochem na tych samych falach. Wszystko to były umysły ścisłe, którym piłka nożna nie przeszkodziła w uzyskaniu dyplomu ukończenia prestiżowych uczelni.

– Jedynie w drużynie Gmocha było mi obojętne, czy gram, czy nie gram, bo akurat Jackowi bardzo ufałem. Ale kiedy usłyszałem, że jestem w jedenastce na inaugurację z RFN, byłem mile zaskoczony – przyznaje Masztaler.

Trenerzy nie mieli z nim lekko. – Muszę szczerze powiedzieć, że potrafiłem być bardzo niesympatyczny. Nie umiałem się pogodzić

z żadnym systemem, rządem, a co dopiero z trenerem. Sam nie do końca rozumiem, dlaczego tak kiepsko żyłem ze szkoleniowcami, bo generalnie nic złego mi nie zrobili – zaznacza. Próbuje jednak znaleźć jakieś wytłumaczenie. – Jako dzieciak uwielbiałem podróżować samochodem. Gdy miałem 12 lat, tata powiedział mi: „Jeżeli będziesz grał w piłkę w pierwszej lidze, zjeździsz Polskę wzdłuż i wszerz”. I od tej pory było dla mnie oczywiste, że w tej pierwszej lidze zagram. To może dlatego później się wkurzałem, gdy któryś trener nie widział mnie w składzie?

Już 19-letni Masztaler złamał stereotyp piłkarza z prowincji, który przyjeżdża grać do stolicy i kompletnie głupieje, bo na żywo zobaczył Pałac Kultury. Urodzony w Ostródzie wychowanek Warmii Olsztyn doskonale wiedział, czego chce od Warszawy – nie tylko niezłej piłkarskiej kariery, ale też... starannego, ekonomicznego wykształcenia. Dlatego po przyjeździe do Gwardii postawił futbol na drugim miejscu. – Trener Jurij Kuzniecowa błagał mnie, bym skupił się na piłce. Mówił: „Potrenujesz ostro trzy miesiące i będziesz w reprezentacji Polski”. Ale ja wolałem wszystko robić po swojemu – opowiada Masztaler.

Nie szukał tanich kompromisów, wybrał sobie studia najtrudniejsze z możliwych. Świeżo upieczony maturzysta z Olsztyna, ze specjalizacją: budowa dróg i mostów kolejowych, złożył papiery do warszawskiej Szkoły Głównej Planowania i Statystyki (dziś Szkoła Główna Handlowa). Zaliczył wszystkie

egzaminę, przyjęli go. Żył w dwóch na pozór nieprzystających do siebie światach.

– Grałem w Gwardii, a jednocześnie ganiałem na akademickie zajęcia. Studiowałem razem ze znanym później ekonomistą Andrzejem Wróblewskim oraz z Adamem Glapińskim, który teraz jest prezesem NBP. No i z Grzesiem Kołodko, z szanowanym ministrem w wielu rządach, przez te wszystkie lata nauki paradującym w słynnej robotniczej kufajce – zaznacza Masztaler.

– Bohdan Masztaler? No pewnie, że pamiętam – mówi były wicepremier. – Był też z nami w grupie popularny wokalista Daniel Kłosek, założyciel i lider formacji Klub Pickwicka – dodaje profesor. – Moja kufajka? No tak, dobrze Bohdan zapamiętał. Byłem robotnikiem niewykwalifikowanym przy budowie tunelu pod Dworcem Głównym w Gdańsku w roku akademickim 1967/68, bo się na mnie nie poznali i nie przyjęli za pierwszym razem na studia. I jak kończyłem robociarski epizod, na pożegnanie dostałem waciak. Przyjechałem z nim do stolicy, gdzie cała bananowa „warszawka” paradowała w kozuchach. Taka wtedy była moda, co świetnie widać w filmie Andrzeja Wajdy „Wszystko na sprzedaż”. Wyrażając swój robotniczo-studencki sojusz, którego generalnie zabrakło zarówno w Marcu '68, jak i w Grudniu '70, ciągle chodziłem w kufajce, także na uczelniane zajęcia. To był mój strój użytkowy i zarazem swoista demonstracja polityczna – wspomina Kołodko.

– Studiowaliśmy na Wydziale Ekonomiki Produkcji, w tamtych czasach jednym z pięciu na uczelni. Bohdan kopał wtedy piłkę w Gwardii, a ja... absolutnie nie prowadziłem sportowego trybu życia. Wręcz odwrotnie. Balowaliśmy, jak to się wtedy mówiło – uśmiecha się były czterokrotny wicepremier polskiego rządu.

– Jak z powodu wyjazdów na mecze i zgrupowania zaczęły się kumulować egzaminy, musiałem zdawać pięć w dziesięć dni – tłumaczy Masztaler. – Czasami zasypiałem na stojąco. Dzień miałem wypełniony od świtu do nocy. Trening, zajęcia na uczelni, czytelnia, trening, znowu uczelnia. Ale życia studenckiego też spróbowałem i wcale abstynentem nie byłem. Jako piłkarz miałem trochę pieniędzy i własny dach nad głową w Warszawie, dlatego zatrzymywało się u mnie często po dwóch, trzech chłopaków z uczelni. W każdym razie stać mnie było na tanie wino oraz papierosy dla kolegów. I na talię kart, bo byłem całkiem niezłym brydżystą – uśmiecha się do dawnych wspomnień.

Drogi Kołodki i Masztalera rozeszły się w taki sposób, że ten pierwszy został czołowym polskim ekonomistą, a drugi cenionym ligowcem i reprezentantem Polski. Studia na SGPiS dały mu satysfakcję i... no tak – poczucie wyższości wśród armii naszych piłkarzy. Nawet jeśli tego nie chciał, właśnie tak był postrzegany. W wyuczonym zawodzie nie podjął pracy, bo ostatecznie zawładnął nim futbol. Do stereotypu piłkarza nie pasował już nigdy, co mu akurat zupełnie nie przeszkadzało.

Jeszcze w czasie studiów debiutował w reprezentacji Polski. Powołanie dostał od selekcjonera Ryszarda Koncewicza. Debiut w kadrze zaliczył w 1970 roku w meczu z Czechosłowacją (2:2 w Pradze). Potem był u Kazimierza Górskiego, ale w jego drużynie nie zaistniał. W zasadzie z własnego wyboru.

– To było nieporozumienie, które miało poważne skutki. W 1973 roku reprezentacja pojechała za ocean. Beze mnie, ale nie miałem wielkiego żalu, bo widziałem, że trener Górski zrobił z tego bardziej wycieczkę i zabrał ulubionych piłkarzy. Zaraz potem był jednak towarzyski mecz z Bułgarią w Warnie i z kraju selekcjoner dowołał mnie, Grześka Latę i Heńka Wieczorka. Tłukliśmy się tam we trzech przez półtora dnia. Z tymi Bułgarami zagrał Wieczorek, zagrał Lato i strzelił nawet dwa gole, a ja murawy nie powąchałem, choć myślałem, że kiedy było już 2:0, dostanę z piętnaście minut. To było bardzo nie w porządku. Tak nie chciałem się bawić. Powiedziałem trenerowi, co o tym myślę i później na zgrupowania jego kadry nie przyjeżdżałem – wyjaśnia Masztaler, dodając, że świadomie odpuścił walkę o miejsce w reprezentacji na pamiętne mistrzostwa świata.

– Wiosną 1974 roku złapałem superformę, więc Górski nie mógł mnie, ot tak, pominąć. Przed wyjazdem do RFN byłem powołany na rozpoczynający ostatni etap przygotowań mecz kadry w Płocku z Twente Enschede (2:0), ale odpowiedziałem, że nie mogę przyjechać, bo jestem kontuzjowany, oczywiście niezgodnie z prawdą. Wiedziałem, że mistrzostwa i tak przesiedzę na ławce. Miałem już załatwiony urlop w Grecji, dużo zachodu mnie to kosztowało i uznałem, że

lepszy fajny wypoczynek w ciepłym kraju niż udawanie ławkowego.

Po mistrzostwach w RFN chciał odejść z Gwardii do Odry Opole, ale nie dostał zgody. Gdy się zapierał, klub go zdyskwalifikował. Na dwa lata!

– Zarzucili mi, że nie przyszedłem na jakiś mecz towarzyski, ale to był marny pretekst. Władek Żmuda, Grzesiek Kwaśniewski uciekali z Gwardii, więc resztę chcieli zastraszyć. Przyjechał wtedy do Warszawy wysłannik Odry. Dobrze to pamiętam, bo akurat balowałem z kolegami z uczelni. Powiedział: „Proszę się nie martwić, my poczekamy i będziemy panu płacić choćby i przez dwa lata zawieszenia”. Człowiek dotrzymał słowa, nazywał się Andrzej Mazurek. Gwardia po roku wiedziała, że mnie nie złamie i odpuściła – wspomina Masztaler. – A w Opolu stworzyliśmy dobrą drużynę. Przyszliśmy z Grześkiem Kwaśniewskim, dołączyliśmy do Antka Kota. Mieliśmy bardzo porządny szkielet i awansowaliśmy do pierwszej ligi.

Rok po mistrzostwach w Argentynie wyjechał do RFN, a stamtąd przeniósł się do Austrii, gdzie mieszka do teraz. W piłkę grał jeszcze 15 lat, a potem zajmował się pracą szkoleniową. Do dzisiaj lubi dyskutować o piłce, ale z jeszcze większą pasją rozprawia o tematach politycznych i społecznych.

– Bo widzi pan, z tymi moimi studiami nie do końca jest tak, że na nic się nie przydały. Dzięki zdobytej wiedzy lepiej pojmuję świat i rozumiem, co tak naprawdę piszą

w gazetach. Myśli pan, że to takie proste? Oj,
to się pan bardzo myli... – kończy.

Urodzony: 19 września 1949 roku w Ostródzie

Pozycja na boisku: pomocnik

Reprezentacja Polski: 22 mecze, 2 gole

Uczestnik mistrzostw świata 1978

Kluby: *Warmia Olsztyn (1962–67), Gwardia Warszawa*

(1967–74 i 1978–79; 166 meczów, 22 gole), Odra Opole (1974–76),

ŁKS Łódź (1977–78), SFL Bremerhaven/GER (1980), Werder Brema/GER (1980–81), Wiener SC/AUT

(1981–84; 84 mecze, 4 gole), SC Zwettl/AUT (1984–89),

FC Sankt Veit/AUT (1989), SV Waidhofen an der Thaya/AUT

(1989–91), FC Lunz/AUT (1996–97)

Znacznie łatwiej dwa razy pokonać Seppa Maiera albo zagrać w jednej drużynie z Pele niż wykiwać KGB. Mnie się udało jedno, drugie i trzecie – mówi Janusz Kowalik. Opuścił Polskę, mając 23 lata. Za granicą żyje już ponad pół wieku.

– Strasznie kusił mnie ten inny świat. Wiedziałem, że piłkarsko sobie w Ameryce poradzę, ale nie miałem pojęcia, jak się poukładają inne sprawy. Czy będę mógł tam normalnie żyć? No i zdawałem sobie sprawę, że to może być podróż w jedną stronę. Ze jeśli za rok czy dwa będę chciał wrócić, to chyba tylko do więzienia, że tak zuchwale potraktowałem władzę ludową – wspomina wychowanek Cracovii.

Teraz mieszka w Holandii. Upadł mur berliński, dawne zatargi przestały mieć znaczenie. Granice są otwarte, ale on na obczyźnie już zapuścił korzenie, spędził tam zdecydowanie więcej życia. Do ojczyzny przyjeżdża tylko w odwiedziny. – Czy kiedyś wrócę na stałe do Polski? Nie wiem. Nie jest wykluczone, że nie wrócę – mówi.

Występ w jednej drużynie z Pele nie tylko powinien dzisiaj imponować każdemu

polskiemu piłkarzowi, lecz mówiąc wprost – jest to całkiem uzasadniony powód do chorobliwej zazdrości. W 1976 roku z okazji 200-lecia podpisania Deklaracji niepodległości, która oznaczała utworzenie Stanów Zjednoczonych, drużyna pod szyldem Team America wzięła udział w turnieju USA Bicentenary Cup razem z Włochami, Anglią i Brazylią. Wszyscy na galowo, w składach przeładowanych gwiazdami światowego futbolu, każdy z sześciu meczów w innym dużym amerykańskim mieście, od Nowego Jorku po Los Angeles...

W drużynie gospodarzy zagraли piłkarze występujący w Północno-Amerykańskiej Lidze Soccera (NASL). W podstawowej jedenastce byli więc Brazylijczyk Pele, Anglik Bobby Moore, Włoch Giorgio Chinaglia. I był Janusz Kowalik, w oficjalnych materiałach zapisywany jako John Kowalik.

– Powołanie dostał też George Best, ale akurat w tym czasie miał typowe dla siebie problemy z alkoholem i nasz trener Eddie Firmani uznał, że Irlandczyk nie nadaje się do gry – przypomina sobie polski piłkarz.

Miał już wtedy status gwiazdy soccera. W 1968 roku, kiedy po raz pierwszy organizowano rozgrywki NASL, został nie tylko najlepszym strzelcem ligi, ale wybrano go na MVP rozgrywek. Zapisał się w historii amerykańskiej piłki, więc naprawdę nic dziwnego, że w ataku marzeń Teamu America znalazł się tercet Chinaglia – Pele – Kowalik.

To był moment jego wielkiej chwały. W maju 1976 roku grał razem z Pele, a zaledwie miesiąc później na Soldier Field wystąpił

przeciwno niemu w ligowym meczu Chicago Sting – Cosmos Nowy Jork. Kibice ostrzyli sobie apetyty na przyjazd trzykrotnego mistrza świata, a tu na boisku błyszczał Polak. Gospodarze wygrali 4:1. Kowalik strzelił dwa gole, Chinaglia i Pele żadnego. – Gazety na drugi dzień pisały, że skradłem show królowi futbolu – śmieje się Polak.

Wiele musiał poświęcić i zaryzykować, by dojść do takiego punktu. W Ameryce został bohaterem, w Holandii też, ale w Polsce nie istniał. Pisanie o zagranicznych sukcesach Kowalika oznaczało kłopoty, przecież opuścił nasz kraj, nie chciał w nim żyć i grać w polskiej lidze. – Przed mistrzostwami świata w 1974 roku byłem czołowym napastnikiem w lidze holenderskiej, przez pięć sezonów strzelałem regularnie po kilkanaście goli w Sparcie Rotterdam. Kazimierz Górski rozważał moją kandydaturę do kadry na mistrzostwa. Chciał powołać na zgrupowanie, ale od jakiegoś ważnego partyjnego sekretarza usłyszał: „Kowalik? Nie ma mowy! W tej sprawie to my decydujemy”. Opowiedział mi to sam pan Kazimierz – wspomina uciekinier z Polski.

W naszej pierwszej lidze zadebiutował, nie mając nawet 17 lat. Awansował do niej z Cracovią, z którą na zapleczu elity grał jako szesnastolatek. Miesiąc po 17. urodzinach strzelił pierwszego gola w najwyższej klasie rozgrywkowej, otwierając wynik w wyjazdowym meczu ze Stalą Mielec (5:1). W całym debiutanckim sezonie (grano wtedy jeszcze systemem wiosna – jesień) w 25 meczach zdobył siedem bramek. Nieźle jak na takiego młokosa.

Wiosnę 1961 roku jeszcze lepiej zapamiętał z innego powodu. Z reprezentacją Polski zdobył w Portugalii drugie miejsce w turnieju UEFA U-18, traktowanym wtedy jako nieoficjalne mistrzostwa Europy. Błysnął w półfinale. Nasz zespół pokonał prowadzoną przez Helmuta Schöna reprezentację RFN 2:1, a Kowalik strzelił dwa gole. – W bramce rywali stał Sepp Maier, lecz oczywiście nie miałem pojęcia, że w przyszłości będzie on jednym z największych bramkarzy w historii niemieckiej i światowej piłki – opowiada polski napastnik. W naszej drużynie grał m.in. Zygfryd Szoltyś, późniejszy as Górnika Zabrze i ważny piłkarz dorosłej kadry narodowej.

– Nie porównuję się z Zygą, ale choćby na tej podstawie mogę wnioskować, że ja też mógłbym być kimś znaczącym w polskim futbolu – argumentuje Kowalik.

W reprezentacji Polski wystąpił sześć razy, z czego dwukrotnie przeciwko Anglii. Szczególnie cenny był remis 1:1 w Liverpoolu na początku roku, w którym rywale zdobyli mistrzostwo świata. Pod koniec 1966 roku zagrał mecz reprezentacyjny numer sześć – na wyjeździe z Izraelem (0:0). To był jego ostatni występ w jakiegokolwiek polskiej drużynie. Wiosną następnego roku grał już za oceanem.

– Dzięki ludziom, którzy mieli wpływ w aparacie państwowym, udało mi się załatwić paszport i wizę. Nie chciałem palić za sobą mostów, ale szybko się zorientowałem, że nie ma sensu wracać. Tam był jednak inny świat – tłumaczy Kowalik.

A niepokorny i odważny był zawsze. Jako osiemnastoletni gracz Pasów wyklócał się w imieniu drużyny o pieniądze. – W całej lidze płacili znacznie lepiej niż w Cracovii. Z natury byłem nieugięty, więc upomniałem się o godziwe wynagrodzenie i nie dałem się zbyć byle czym. Klub potraktował to jako szantaż, groziła mi trzyletnia dyskwalifikacja. Na szczęście skończyło się na kilku miesiącach – wspomina.

Gdy przebywał już w USA, też przydał mu się twardy charakter. – Mój wyjazd został uznany za ucieczkę i był dużą porażką propagandową władzy. Koniecznie chcieli mnie tam dopaść. Moskwa uruchomiła KGB. Na szczęście w klubie moim przypadkiem zainteresował się republikański polityk, z najbliższego otoczenia prezydenta USA. Dostałem ochronę z FBI, która cały czas miała mnie na oku. Teraz mogę o tym opowiadać niczym filmową historyjkę, ale wtedy naprawdę miałem prawo się bać. Ile to się człowiek nasłuchał, co sobie myślał! Przecież taki zdeterminowany ruski wysłannik był w stanie zrobić mi wszystko, nawet zlikwidować – twierdzi Kowalik.

Bezpieczeństwo mu zapewniono, lecz aby uczestniczyć w rozgrywkach NASL (błyskawicznie został największą gwiazdą Chicago Mustangs), musiał mieć jednak certyfikat z Polski. – Wysłannicy mojego klubu pojechali do kraju z walizką dolarów i załatwili sprawę. Moskwa dała zielone światło – mówi Kowalik.

Piłkarską karierę podzielił między USA a Holandię. W kraju tulipanów był snajperem Sparty Rotterdam, w 123 meczach strzelił dla niej 66 goli. – Kiedyś o włos przegrałem walkę o koronę króla strzelców ligi holenderskiej

z Johanem Cruyffem – podkreśla bez cienia fałszywej skromności.

Potem był też trenerem. W tej roli na początku lat 90. pojawił się w Polsce, został szkoleniowcem Górnika Zabrze. Odszedł po pięciu meczach (dwa zwycięstwa, trzy porażki).

– Na pracę namówił mnie prezes Władysław Kozubal, kolega jeszcze z czasów dzieciństwa. Szybko zauważyłem, że robiący interesy w Szwajcarii Kozubal nie podejmuje decyzji sam, że kierują nim ludzie z zewnątrz klubu, spoza Polski. Czułem, że drużyna przegrywa, bo tak musi być i nie mam na to wpływu. Nie mogłem się na to godzić. Powiedziałem wtedy działaczom Górnika, że zasadnicza różnica między nami jest taka, że ja trzymam w dłoni kluczyki do stojącego na parkingu samochodu, którym mogę zaraz pojechać do mojego domu w Holandii. I pojechałem...

Urodzony: 26 marca 1944 roku w Nowym Sączu

Pozycja na boisku: napastnik

Reprezentacja Polski: 6 meczów, 0 goli

Kluby: *Cracovia (1960–67; 140 meczów, 62 gole),*

Chicago Mustangs/USA (1967–68; 28 meczów, 30 goli),

Sparta Rotterdam/NED (1969–74; 123 mecze, 66 goli),

NEC Nijmegen/NED (1974–76; 31 meczów, 6 goli),

Chicago Sting/USA (1976; 14 meczów, 9 goli),

MVV Maastricht/NED (1976–77; 9 meczów, 2 gole),

Chicago Sting (1977; 6 meczów, 1 gol),

MVV Maastricht (1977–79; 55 meczów, 24 gole)

3

Wyszkoliłem się sam, na łące między krowami. Akademia piłkarska? Nie byłem nawet w Akademii pana Kleksa – mówi Ryszard Komornicki.

Jeden z kluczowych zawodników Górnika Zabrze z lat 80., z którym cztery razy z rzędu zdobywał mistrzostwo Polski, i uczestnik mundialu w Meksyku był piłkarskim samoukiem. – Pierwszy raz w meczu o punkty zagrałem, mając 15 lat. Wcześniej nie byłem w żadnym klubie, w żadnej szkółce, nie miałem żadnego treningu. Mieszkałem w Dąbrowie Dolnej, we wsi pod Ścinawą, w której wszystkiego było chyba dziewięć numerów. Bez boiska, bez szkoleniowca. Czasami nie miałem nawet z kim pokopać na łące. Przypominam, dziewięć numerów... – zaznacza Komornicki.

Szybko opuścił dąbrowskie pastwiska, ale piętnastolatek wybrał dość specyficznie. – Po podstawówce, zresztą tej samej, do której kilka lat później chodził inny reprezentant Polski Andrzej Rudy, wybrałem szkołę w Stroniu Śląskim. Tylko dlatego, że znalazłem gdzieś w krzakach gazetę, nie wnikiem, do jakich celów tam przyniesionej, w której była tabela okręgówki z nazwą klubu Kryształ Stronie Śląskie. Tak ładnie mi to zabrzmiało, że postanowiłem tam grać

w piłkę, a przy okazji uczyć się w przyzakładowej szkole. Specjalność: zdobnik szkła kryształowego. Oznajmiłem rodzicom, że chcę jechać do Stronia Śląskiego. Zdecydowałem się żyć w małym miasteczku, bo urzekła mnie nazwa klubu. O niczym innym nie miałem pojęcia – wspomina.

W sekcji działającej przy Hucie Szkła Kryształowego „Violetta” trafił wreszcie do normalnej drużyny, miał normalny trening, uczestniczył w regularnych rozgrywkach. I szybko pokazał, że wcześniej na łąkach nie tracił czasu. Jasne było, że z małego Stronia musi iść w górę.

– Przyjechał do nas na Puchar Polski GKS Tychy, wygraliśmy po rzutach karnych, ja swój wykorzystałem. Widać, dobrze się zareklamowałem, bo ruszył serial pod tytułem „Komornicki w Tychach”. W tamtych czasach nic nie było łatwe, a już na pewno trudno zmieniało się klub. Ja ze Stronia uciekłem. W nocy. Nikt nie wiedział. Moja dziewczyna, a obecna żona, miała mówić, że z nią zerwałem i nie ma ze mną żadnego kontaktu. Przyjechała do mnie po dwóch tygodniach z płaczem, że prezes Kryształu, bardzo wpływowy człowiek, straszy mnie biletem do wojska. Taki wszechmocny to jednak nie był, bo w Tychach od razu załatwili mi etat na kopalni, a jak wiadomo, górników dołowych do wojska nie brali.

GKS Tychy miał już za sobą czas największej świetności, kiedy zdobywał wicemistrzostwo Polski i grał w europejskich pucharach. Wtedy był tylko drugoligowcem.

– W składzie mieliśmy jeszcze kilku bardzo dobrych piłkarzy, jak Kazek Szachnitowski i Janek Bielenin, ale generalnie zespół mizerniał. Najpierw walczyliśmy do końca o awans, ale gdy wszystko zaczęło się sypać, zupełnie straciłem nie tyle przyjemność, co poczucie sensu grania w piłkę. Doszło do tego, że chciałem dać sobie z nią spokój. Rozglądałem się za pracą w wyuczonym zawodzie. Miałem nawet upatrzoną ofertę pracy dla mnie i dla żony, bo razem byliśmy zdobnikami szkła kryształowego. I wtedy przyszła propozycja z Zabrze. Gdzie tam przyszła, spadła jak z nieba. Więcej szczęścia mieć nie było można. Kiedyś powiedziałem, że do Górnika poszedłbym na piechotę. To nie była kurtuazja. Nie miałem samochodu, roweru, no to tylko na nogach...

W rzeczywistości po Komornickiego przyjechał kierownik Górnika Jan Losza. Był specjalnym wysłannikiem trzęsącego klubem Jana Szlachty, który zapraszał piłkarza z Tychów do siebie na niezwłoczne spotkanie.

– Wielki pech, bo akurat gdzieś zostawiłem komórkę, więc nie zdążyłem powiadomić żony, która czekała z obiadem – śmieje się Komornicki na wspomnienie czasów, kiedy luksusem było posiadanie telefonu stacjonarnego, z którego „na miasto” można było się wydostać poprzez łączenie z centralą.

– Jadąc na spotkanie, Losza dał mi dobrą radę: „Poproś Szlachtę o malucha i o mieszkanie. Jest szansa, że się zgodzi”. Coraz bardziej mi się podobało! A potem Szlachta sam z siebie uznał, że dla rodziny maluch to za mało, więc lepsza będzie dla mnie skoda – opowiada.

W Górniku było jak w zachodnim klubie: rywalizacja i jeszcze raz rywalizacja. Zwłaszcza gdy trenera Zdzisława Podedwornego zastąpił Hubert Kostka.

– Dla nas tabela ekstraklasy miała tylko jedno miejsce: pierwsze. Coraz trudniej było się załapać do jedenastki, nawet do kadry meczowej. Dlatego byłem dumny, że daję radę. Kostka zrobił bardzo mocną drużynę. Trenerzy miewają różne charaktery, ale ten był zupełnie wyjątkowy. Odważny i nowatorski. Już wtedy mówił nam, żebyśmy nie biegali za rywalami, tylko przekazywali ich sobie do pilnowania. Oczywiście ciężki trening był podstawą, a do tego każdy z nas dokładał twardy charakter, bo uważam, że pod tym względem też się wyróżnialiśmy. Nie balowaliśmy co tydzień czy nawet co dwa, dopiero po sukcesach. Proszę nie łapać mnie za słowa, no dobrze, oczywiście zdarzały się wyjątki. Andrzej Iwan? Czasem faktycznie miał jakieś problemy, lecz on najlepiej wie, że nie zawsze był przygotowany do zajęć na miarę zawodowca. A u Kostki nie było świętych krów, nikt nie grał tylko za to, że był fajny – opowiada Komornicki.

Był ofensywnym pomocnikiem, jednak w Górniku dostawał coraz więcej zadań defensywnych. – Przejąłem rolę biegacza i walczaka, ale też kogoś, kto na boisku musi otworzyć buzię. Gdy na przykład świetny ofensywny piłkarz Janek Urban zakotwiczał gdzieś tam na lewym skrzydle, to w paru mocnych słowach przypominałem mu o innej ważnej robocie. Wcale nie było mi przyjemnie, ale musiał być ktoś, kto wrzaśnie, kiedy trzeba. Z jednej strony chłopaków to

denerwowało, bo im marudziłem, a z drugiej, jak nic nie mówiłem, to krzyczeli do mnie: „Chory jesteś? Co ci się stało?”.

Górnik Komornickiego na kilka lat zdominował ligę i mierzył się w Pucharze Europy z takimi potęgami jak Bayern Monachium czy Real Madryt. Przegrywał po wyrównanych bojach. – Znałem wówczas nazwiska tych wielkich piłkarzy, przeciwko którym miałem grać, ale bez szczegółowej wiedzy o ich stylu. Nie miałem wpływu na to, jacy oni są, ale miałem wpływ na swoją grę. Wiedziałem, że Bernd Schuster jest wysokim blondynem oraz doskonałym graczem i to mi w zupełności wystarczało. Gdy wychodziłem na boisko, chciałem, żeby on też choć troszkę się ze mną pomęczył, a nie tylko ja z nim – wyklada swoją filozofię z tamtych lat.

W reprezentacji Komornicki zagrał 20 razy, wystąpił w finałach MŚ w Meksyku. Kadra to dla niego niespecjalnie miłe wspomnienie. Nie chodzi o formę i wyniki, bo z tym nie było najgorzej. Zaważył nieszczególny klimat i sposób traktowania.

– W Górniku byłem kimś, w reprezentacji nikim. Nie chcę się żalić, ale dopiero gdy trzeci raz przyjechałem na zgrupowanie kadry, dostałem sprzęt – buty, dres. Wcześniej tłumaczono, że nie ma, że trzeba poczekać. A jeśli ktoś mnie tak traktuje, ja robię tak samo. Antoni Piechniczek mi zaufał, bo lubił piłkarzy twardych i charakternych, lecz ciągle słyszałem, że selekcjoner mnie faworyzuje. Bardzo mnie te wszystkie utarczki denerwowały i okrutnie męczyły. Był moment, jeszcze przed mundialem w Meksyku, że

chciałem zrezygnować z reprezentacji, udawałem nawet kontuzję, żeby nie dostać powołania – wspomina.

Dzisiaj Komornicki bardziej niż kiedykolwiek wie, że jego piłkarska droga od pastwisk pod Ścinawą do wielkich meczów w Górniku i w reprezentacji to efekt upartej i niezłomnej pracy. Był zdobnikiem szkła kryształowego, który został całkiem niezłym piłkarzem. Drugiego takiego fachowca ze świecą szukać.

Urodzony: 14 sierpnia 1959 roku w Ścinawie

Pozycja na boisku: pomocnik

Reprezentacja Polski: 20 meczów, 0 goli

Uczestnik mistrzostw świata 1986

Kluby: *Kryształ Stronie Śląskie (1974–80), GKS Tychy (1980–83), Górnik Zabrze (1983–89; 183 mecze, 35 goli),*

FC Aarau/SUI (1989–94; 121 meczów, 11 goli),

FC Buochs/SUI (1995–96), FC Wohlen/SUI (1998–99),

FC Kickers Luzern/SUI (2000–01)

Mistrz Polski (1985, 1986, 1987, 1988), zdobywca Superpucharu

Polski (1988)

Strzelił pierwszego gola dla Polski w mistrzostwach świata, był olimpijczykiem, wyborowym snajperem polskiej ligi. Ale po wojnie nie pozwalano o nim mówić. Stał się tym, który zdradził.

Poznań, maj 1972 roku. Do stolicy Wielkopolski przyjeżdża mieszkający na Górnym Śląsku Teodor Wawoczny, zapalony historyk sportu i początkujący trener. Interesują go losy i relacje reprezentantów Polski z zamierzchłych czasów. Chce je spisywać i w ten sposób ocalić od zapomnienia. Dzwoni do Jana Wojciechowskiego, przedwojennego kadrowicza, piłkarza Warty Poznań. Kilka razy próbuje się z nim umówić na wspominkową rozmowę o jego karierze przed 1939 rokiem, ale Wojciechowski konsekwentnie odmawia. Nie jest zainteresowany. Nie tłumaczy, dlaczego.

Wawocznygo ta zawziętość jeszcze bardziej mobilizuje. Dzwoni z budki telefonicznej w Poznaniu tylko po to, żeby sprawdzić, czy Wojciechowski jest w domu. – Na szczęście podniósł słuchawkę, ale to był głuchy telefon. Za chwilę stałem już pod drzwiami jego mieszkania – opowiada Wawoczny.

Wojciechowski ciężko wzdycha i wpuszcza naprzykrzającego się gościa. Może docenia jego determinację, a może uznaje, że skoro jest tak uparty, to lepiej się spotkać i mieć święty spokój.

– Było już pod wieczór. Myślał, że pogadamy z pół godziny, a dyskutowaliśmy niemal do rana. Zadzwoił jeszcze po jednego kolegę z tamtej przedwojennej Warty, tematów było bez końca – wspomina Wawoczny.

Historie są ciekawe, barwne, pełne trudnych do zweryfikowania faktów i anegdot. I wreszcie musi paść to nazwisko. Fryderyk Scherfke. As przedwojennej Warty, z którą zdobywał mistrzostwo. Reprezentant Polski, który po wybuchu wojny został wcielony do Wehrmachtu i w nim dosłużył się nawet stopnia podoficera. Władza ludowa uznawała go za zdrajcę, który zaszkodził Polsce i Polakom.

Strasburg, 5 czerwca 1938 roku. 1/8 finału mistrzostw świata, Polacy grają z Brazylią. Już w 18. minucie tracą gola po strzale legendarnego Leonidasa, ale wtedy do akcji rusza Ernest Wilimowski. Polski as z wdziękiem mija dwóch rywali, potem trzeciego i jest już w polu karnym. Tyle że ten trzeci okazuje się uparty. Daje się ograć, ale błyskawicznie znajduje inny sposób na powstrzymanie polskiego napastnika. Nie sili się na żadną finezję, nawet nie próbuje czegokolwiek pozorować. Bezceremonialnie łapie Polaka za tułów i przewraca. Oczywiście rzut karny!

Nie ma żadnej dyskusji, kto będzie wykonawcą. Fryderykowi Scherfke

zagwarantowano to już dawno, bo kapitan związkowy Józef Kałuża był przekonany, że właśnie on ma najpewniejszą nogę do egzekwowania jedenastek. Napastnik Warty Poznań nie zawodzi. Strzela niespecjalnie mocno, ale precyzyjnie, przy lewym słupku. To pierwszy gol w historii mistrzostw świata. Polacy jeszcze dwa razy wyrównują stan meczu, jednak ostatecznie przegrywają w dogrywce 5:6.

Po mistrzostwach na ustach piłkarskiej Polski znalazł się oczywiście strzelec czterech goli Wilimowski, lecz sławą cieszył się też Scherfke. W rodzinnym Poznaniu był niekwestionowaną gwiazdą i – używając dzisiejszej terminologii – lokalnym celebrytą. Nie dość, że od lat błyszczał w Warcie, do znudzenia dziurawiąc siatki w ligowych meczach, to na dodatek przysłużył się reprezentacji Polski.

A mogło być jeszcze piękniej. Dwa lata wcześniej na igrzyskach olimpijskich w Berlinie nasz zespół był kandydatem do finału, ale zajął czwarte miejsce. W półfinale zaskakująco przegrał z Austrią (1:3). Jak mogło być inaczej, skoro na igrzyska nie pojechał Wilimowski, niesłusznie zamieszany w „afere księgową” Ruchu Wielkie Hajduki. W tym kluczowym meczu na boisku brakowało także Scherfkego. W 1/8 finału z Wielką Brytanią (5:4) został tak mocno poobijany, że miał dwa pęknięte żebra. Mimo że chciał grać, kapitan związkowy Kałuża pozostał nieugięty. Postawił na innego poznaniaka, Walentego Musielaka, dla którego był to pierwszy i ostatni mecz w reprezentacji Polski. Polscy kibice już wtedy

ćwiczyli się w gdybaniu – gdyby grał Scherfke, gdyby grał Wilimowski...

Wawoczny w mieszkaniu Wojciechowskiego wysłuchał odkłamaną historię o Fryderyku Scherfke. Owszem, był kierowcą w gestapo, potem służył w Wehrmachcie, ale podczas okupacji starał się pomagać Polakom, zwłaszcza tym, których znał z Warty Poznań. Później dziennikarz „Gazety Wyborczej” Radosław Nawrot opisywał przypadki, w których Scherfke zachowywał się więcej niż przyzwoicie. Z transportu jeńców wojennych wyciągnął Mariana Fontowicza. Ocalił przed zesłaniem na roboty do Niemiec żonę bramkarza Zbigniewa Szulca. Uwolnił z aresztu Bolesława Genderę. Ostrzegł przed zatrzymaniem działającego w konspiracji Michała Fliegera... To zupełnie inna wersja w porównaniu z oficjalną.

Wojciechowski wyjawiał Wawocznemu, że przynajmniej raz w roku rozmawia z Frycem. Spotykali się w Berlinie, gdzie ten osiadł na stałe. Wawoczny dostał jego adres. – Do dzisiaj znam go na pamięć. Wysłałem do Scherfkego list z załączoną ankietą reprezentanta Polski, z prośbą, żeby odesłał wypełnioną. Odpisał całkiem szybko. Zamieścił wszystkie dane, o które go prosiłem. Omyłkowo podałem w kwestionariuszu, że w Brazylii strzelił dwa gole, więc poprawiłem tę informację. I przekreślił imię „Fryderyk”, wpisując „Fritz” – wspomina Wawoczny.

Scherfke jest jedynym piłkarzem Warty, który wystąpił we wszystkich trzynastu

przedwojennych sezonach ekstraklasy. W 1929 roku z poznańskim klubem zdobył mistrzostwo Polski, choć w kontrowersyjnych okolicznościach. Pierwsze miejsce zajęła Garbarnia Kraków, ale niemal trzy tygodnie po zakończeniu sezonu Zarząd Ligi zweryfikował wynik meczu Klub Turystów Łódź – Warta (2:1) jako walkower na korzyść gości, bo w łódzkiej drużynie zagrał nieuprawniony zawodnik. Zmiana rezultatu sprawiła, że poznaniacy wyprzedzili Garbarnię.

Przed wybuchem wojny Warta cztery razy kończyła rozgrywki na podium. Mistrzem – tym razem bez żadnych niedomówień – została w 1947 roku. Wtedy Scherfke był już w Polsce „zakazany”.

– 30 listopada byłem na meczu z Wisłą Kraków, który pieczętował mistrzostwo. Warta wygrała 5:2. Datę dobrze pamiętam, bo to dzień moich imienin – uśmiecha się Andrzej Kuczyński, nestor poznańskich dziennikarzy sportowych. – W tamtych czasach, w zasadzie do upadku PRL, temat Scherfkego w poznańskim środowisku nie istniał. Nie mówiło się o nim ani dobrze, ani źle – dodaje Kuczyński.

Fryc nigdy nie wypierał się niemieckiego pochodzenia, dlatego założenie munduru Wehrmachtu nie było dla niego czymś niedopuszczalnym. Zarazem na ile mógł, odcinał się od nazizmu. W drugiej fazie wojny wystrzegał się pomagania prześladowanym Polakom, ale wiele wskazuje, że był już pod lupą gestapo, bo do Niemców docierały

niesprawdzone sygnały o jego działalności na rzecz wroga. Musiał się mieć na baczności.

Na czarną historię Fryderyka Scherfke niewątpliwie zapracował natomiast jego brat Günther, również piłkarz Warty i trener drużyny tuż przed wybuchem wojny. On rzeczywiście zawsze czuł się Niemcem z Poznania i w czasie okupacji z łatwością odnalazł się w nowej roli. Na niego starzy koledzy w żaden sposób nie mogli liczyć, tu relacje są jednoznaczne.

– W Poznaniu rozmawiałem też z wieloma innymi ludźmi ze środowiska piłkarskiego, którzy pamiętali tamte czasy. Żaden z nich nie powiedział mi złego słowa na temat postawy Fryderyka Scherfke w czasie wojny. Miałem o nim wyrobione zdanie, dlatego nie zdziwiłem się, że po upadku muru berlińskiego wreszcie zaczęto go przedstawiać inaczej – mówi Wawoczny.

Fryderyk Scherfke medialnej rehabilitacji nie dożył. Zmarł w 1983 roku w Bad Soden koło Frankfurtu nad Menem. Po wojnie nigdy nie odwiedził Poznania.

Urodzony: 7 września 1909 roku w Poznaniu

Zmarł: 15 września 1983 roku w Bad Soden am Taunus (RFN)

Pozycja na boisku: napastnik

Reprezentacja Polski: 12 meczów, 1 gol

Uczestnik mistrzostw świata 1938, uczestnik igrzysk olimpijskich 1936

Kluby: *Unia Poznań (1924), Warta Poznań (1925–39; 236 meczów, 129 goli), DFC Posen (1939–40)*

Mistrz Polski (1929)

5

Podobno saper myli się tylko raz. Mnie udało się szczęśliwie przeżyć, ale kawałek życia zmarnowałem – mówi Jerzy Wijas. Były reprezentant Polski zamiast biletu na mundial dostał bilet do wojska.

Całkiem dobrze grał w piłkę, a przy tym był twardy i nieustępliwy. Każdy trener chciał mieć Wijasa w swojej drużynie, bo ten umiał zadbać o porządek w szatni i jeszcze bardziej na boisku.

– Chodź do nas, wojskiem się nie przejmuj, wszystko załatwimy – zachęcał go prezes Widzewa Ludwik Sobolewski. Defensywny pomocnik GKS Katowice długo się nie zastanawiał, bo magia klubu, który dopiero co dotarł do półfinału Pucharu Mistrzów, robiła wrażenie. Grać w jednym zespole z takimi piłkarzami jak Józef Młynarczyk, Roman Wójcicki, Wiesław Wraga, Włodzimierz Smolarek i kupiony za 21 mln zł z Gwardii Warszawa Dariusz Dziekanowski to było coś. No i kluczowym bodźcem – po cóż doszukiwać się innych powodów – były właśnie pieniądze. Widzew zapłacił za niego 8 mln, a samemu zawodnikowi zaoferował znacznie więcej, niż ten zarabiał w GieKSie. – Krótko mówiąc, dałem się skusić – kwituje Wijas. Latem 1983 roku podpisał kontrakt z Widzewem, nie

zdając sobie sprawy, że tą decyzją łamie sobie karierę.

Pierwszy sezon był w porządku. Grał w klubie, grał w reprezentacji. W końcu drugiego zaczął się jego osobisty dramat. Owszem, armia się nim interesowała, ale bez wzajemności. Stosował metodę konsekwentnego odwlekania nieuniknionego, więc obowiązek zasadniczej służby wciąż nad nim wisiał. Chodziło o cierpliwe przeczekanie. Zawodnik ufnie przyjmował, że taki jest przemyślany plan realizowany nad jego głową przez ludzi, którym zależy, by grał w Widzewie. Liczył, że wreszcie uda się załatwić przeniesienie do rezerwy, czyli w istocie wykpić się od wojska. Szczegółami zajmował się doskonale poruszający się za kulisami futbolowej sceny prezes Sobolewski. Zawodnik miał się skupić tylko na piłce, co jednak stawało się coraz trudniejsze.

W końcu go dopadli. Najpierw dostał wezwanie na komisję wojskową, ale to jeszcze nie był czerwony alarm, bo nawet wtedy szef Widzewa ciągle uspokajał, że sprawy są pod kontrolą, że to jedynie konieczna formalność.

Na komisji dostał bilet do jednostki wojskowej. Sytuacja robiła się podbramkowa. Procedura wcielania do wojska ruszyła i piłkarz nie widział, by ktoś mu życzliwy starał się ją zatrzymać. Gdy przekroczył bramę jednostki, wreszcie zrozumiał, że następują procesy nieodwracalne, że ludzie z Widzewa przeliczyli się z siłami, bo widać komuś silniejszemu zależy, by rekrut Wijas trafił do prawdziwych koszar i posmakował życia

poborowego wcielonego do armii w ramach powszechnego obowiązku służby wojskowej.

Na krótko zawitał do Modlina, stamtąd został przerzucony do Czarnego. Pomorze, województwo śląskie.

– Zawalił mi się świat. Nie tak umawiałem się z Sobolewskim. Gdybym wiedział, że nie da rady uratować mnie od armii, mogłem próbować iść do wojskowego klubu – argumentuje teraz Wijas. Ani Śląsk Wrocław, ani Legia Warszawa zapewne nie zlekceważyłyby oferty od czołowego piłkarza ligi, reprezentanta kraju. Tymczasem w jednej chwili wszystkie inne opcje odpadły. Zamiast ligowych szlagierów, europejskich pucharów i kadry narodowej były koszary, musztra i poligon.

– Żadnej taryfy ulgowej. Kogo tam obchodziło, że grałem w reprezentacji? Teraz byłem szeregowym, który miał się nauczyć saperskiej roboty, bo taką dali mi specjalizację – z przekąsem opowiada piłkarz.

„Za największą gwiazdę zespołu z Czarnego uważa się Jerzego Wijasa, który w latach 1983–1989 siedemnastokrotnie reprezentował kadrę Polski. W Czarnych grał zaledwie jeden sezon, a do zespołu trafił przez służbę wojskową – było to w 1985 roku. Grał jako pomocnik, chociaż był często wykorzystywany przez trenerów jako obrońca” – czytamy dzisiaj na oficjalnej stronie LKS Czarnych Czarne. To właśnie tylko w tym prowincjonalnym klubiku mógł grać w piłkę, choć w tym samym czasie reprezentacja Polski szykowała się do mundialu w Meksyku. A przecież zdążył zagrać w jej pierwszym

meczu zwycięskich kwalifikacji, gdy w Zabrze Polska pokonała Grecję 3:1.

– Wiem, że selekcjoner Antoni Piechniczek też próbował wyciągnąć mnie z tych koszar, ale nie miał szans. Jak już wpadłem w tryby wojskowej maszyny, to nie było zmiłuj. Trzeba było zacisnąć zęby i odliczać dni do cywila. Tyle że strasznie dużo ich miałem. W wojsku spędziłem rok i pięć miesięcy – oblicza Wijas. W Czarnych grał tylko przez sezon, bo potem nie było zgody nawet na kopanie w klubie amatorskim.

– Usłyszał o mnie dowódca pułku i stwierdził, że skoro nie mogłem grać w Legii, to dlaczego miałbym grać w Czarnych. Wojsko to wojsko, żadnego grania. To było jak rozkaz, nie miałem się do kogo odwołać. Już tylko sam próbowałem utrzymać formę, na szczęście mieli piłkę w koszarach, kopałem, kiedy się dało – wspomina.

Wreszcie przyszedł dzień końca służby. Miał jeszcze ważny kontrakt w Widzewie, ale nie chciał tam wracać, za żadne skarby. Był już zahartowany, nie można go było złamać. Dyskwalifikacja? Dla człowieka, który właśnie po kilkunastu miesiącach wyszedł z koszar? Widzew po raz drugi nie mógł nic wskórać w sprawie Wijasa. Znowu był bezradny. Odpuścił go sobie, a ten chętnie wrócił do GieKSy. – To był mój klub, w nim kiedyś zaistniałem jako piłkarz i w nim po wyjściu do cywila chciałem się odbudować. Karierę można było jeszcze uratować, choć najlepszy dla piłkarza czas spędziłem na wojskowym poligonie... – dodaje.

Było jasne, że przy Bukowej znacząco wzmocni drużynę. – Kiedyś nasz maser Wojtek Spalek spierał się z Jasiem Furtokiem, kto pierwszy w latach 80. zagrał w reprezentacji Polski jako piłkarz GieKSy. Założyli się o skrzynkę „łyskacza”. No i Wojtek wygrał. Bo Jasiu uważał, że on był pierwszy, a zapomniał, że jeszcze przed przenosinami do Widzewa debiutowałem w kadrze Piechniczka – śmieje się Wijas.

Chodzi o mecz ze Związkiem Radzieckim w 1983 roku na Stadionie Śląskim w eliminacjach mistrzostw Europy. – Prowadziliśmy po pięknym „szczupaku” Zbyszka Bońka, ale potem był niestety swojak Romka Wójcickiego. Tylko 1:1, szkoda – przyznaje „Larry”, bo tak nazywali Wijasa koledzy.

To drugie podejście do GieKSy też okazało się sukcesem, może nawet większym. Mimo czasu zmarnowanego na wojsko znowu trafił do kadry, którą prowadził już Wojciech Łazarek. To był jego osobisty wielki triumf, bo też sam najlepiej wiedział, ile wysiłku i odporności psychicznej kosztowało go podtrzymywanie formy w czasach, gdy zwyczajnie zablokowano mu możliwość grania w piłkę. Przy Bukowej znalazł energię, której potrzebował.

– GieKSa była drużyną złożoną z mocnych, śląskich charakterów. Trudno nas było złamać. Legia, Śląsk, Lech i Górnik może mieli lepszych piłkarzy, ale i tak bali się do nas przyjeżdżać – mówi Wijas. Sam rzadko strzelał gole, tym bardziej że w składzie byli tacy snajperzy, jak Furtok i Marek Koniarek, jednak w sierpniu 1987 roku w Katowicach w ligowym starciu ze Stalą Stalowa Wola (4:1)

huknął do siatki z połowy boiska. Ten facet naprawdę był zdolny do wszystkiego.

Ciągle próbował, jeśli w ogóle to jest możliwe, nadrobić stracony piłkarski czas. Chciał się odkuć też finansowo. Był już po trzydziestce, ale znalazł pracę w klubach zagranicznych; najpierw w Izraelu, potem w Niemczech (m.in. w drugoligowym VfL Osnabrück, razem ze swoimi dawnymi kolegami z Bukowej – z bramkarzem Mirosławem Dreszerem i pomocnikiem Krzysztofem Hetmańskim). Czasem jeszcze było o Wijasie słyhać, jak wtedy, gdy drugoligowcy rozbili 4:1 w Pucharze Niemiec Borussię Mönchengladbach. Na obczyźnie spędził w sumie pięć lat.

Mieszka w Katowicach, na Giszowcu. – Długo pracowałem jako trener w Górniku 09 Mysłowice, wreszcie mi podziękowali. Jest czas, żeby trochę od piłki odpocząć, ale jeśli ktoś zadzwoni, żebym pomógł, poradził, to czemu nie, pomogę, poradzę. Na Bukowę nie chodzę. Straciłem do tych ludzi serce, odkąd brzydtko pożegnali się z moim synem. Zresztą ta dzisiejsza GieKSa to nie ta sama co za moich czasów. Kiedyś derbowy mecz obejrzałem, chyba z Tychami, ale co to za derby, jak krew nie cieknie z boków po wślizgach? To naprawdę są derby? Może jak nowy stadion kiedyś wybudują, to pójde zobaczyć... A teraz patrzę na wszystko z boku. Moja kariera? Było, minęło, nie będę tego rozdrapywał do końca życia. Tylko tych nierozegranych meczów w reprezentacji Polski, kiedy musiałem zasuwać na poligonie, trochę mi żal... – kończy Wijas.

Urodzony: 12 lutego 1959 roku w Mysłowicach

Pozycja na boisku: pomocnik

Reprezentacja Polski: 17 meczów, 0 goli

Kluby: *Górnik Mysłowice (juniorzy, 1971–79), GKS Katowice*

(1979–83 i 1986–89; 145 meczów, 9 goli), Widzew Łódź (1983–85;

45 meczów, 1 gol), Czarni Czarne (1985), Hapoel Ke far Sawa/ISR

(1990, wiosna), Hapoel Hajfa/ISR (1990, jesień), VfB Lübeck/GER

(1991–92), VfL Osnabrück/GER (1992–93), Hessen Kassel/GER

(1993–95), Górnik Łęczyny (1995–97)

Zdobywca Pucharu Polski (1985), zdobywca Pucharu Izraela (1990)

Wykonywałem dwa najpiękniejsze dla mężczyzny zawody. Byłem piłkarzem, a potem przez 15 lat marynarzem – mówi mieszkający w Kanadzie Marian Kielec, kapitan Pogoni Szczecin i król strzelców ekstraklasy.

W Hamilton zamieszkał w 1985 roku, ale to w Szczecinie jest nie tylko legendą, lecz prawdopodobnie najlepszym piłkarzem w historii Pogoni. Mają do niego szacunek także dlatego, że był symbolem wierności. Portowców nie zdradził dla żadnej drużyny ani w Polsce, ani za granicą. Był też człowiekiem niezwykłych zasad. Kiedy okazało się, że trener nie widzi powszechnie cenionego kapitana w podstawowym składzie, Kielec podziękował za rolę rezerwowego i z dnia na dzień postanowił zakończyć karierę, choć miał dopiero 29 lat...

Dwanaście lat wcześniej głośno było o jego innym wyczynie. Być 17-latkim i ustrzelić hat tricka przy Łazienkowskiej? Kielec to zrobił, a Pogoń wygrała 4:0! W bramce Legii stał Stanisław Fołtyn, którego po przerwie zmienił Konrad Kornek. Pierwszemu strzelił dwa gole, dublerowi jednego. W składzie gospodarzy pojawiły się też inne znakomitości – Jerzy Woźniak, Henryk Grzybowski, Marceli

Strzykowski, Edmund Zientara i Lucjan Brychczy. Na młokosa tego dnia nie było siły. Robił, co chciał i strzelał, jak chciał. Wtedy to on był królem Łazienkowskiej, choć dla bywalców stołecznego stadionu mogło to brzmieć niczym świętokradztwo.

Wówczas, w 1959 roku, Pogoń do ostatniej kolejki walczyła o utrzymanie w elicie. Miała wyjazdowy mecz z Legią, a również próbująca wymigać się przed spadkiem Cracovia podejmowała Górnika Zabrze. Ostatni w tabeli Górnik Radlin już się nie liczył. – Pasy były w lepszej sytuacji, bo zgromadziły o punkt więcej od nas, a więc losy rozstrzygały się w Krakowie. Zdaje się, że między Legią a Cracovią były jakieś zgrzyty, dlatego Wojskowi nie mieli powodów, by spinać się na starcie z nami, lecz mnie to kompletnie nie interesowało. To był zwyczajny, zdrowy mecz, w którym wykazaliśmy się determinacją godną drużyny, która ma nóż na gardle. Wykonaliśmy swoją robotę i Górnik też, bo wygrał z Pasami 1:0 – opowiada Kielec.

Trzy gole na Stadionie Wojska Polskiego nie sprawiły, że nastolatek odleciał w kosmos, bo... wtedy w ekstraklasowych hat trickach miał już doświadczenie! Pięć miesięcy wcześniej właśnie z Cracovią Pogoń wygrała 5:3, a gołowąs przymierzył i trafił trzykrotnie. W ogóle ten pierwszy sezon w ekstraklasie skończył z dziewięcioma golami. No i jak Szczecin tego zuchwałego dzieciaka miał nie pokochać? Zresztą z wzajemnością.

Czy to były jego najlepsze mecze w karierze? – A skąd! Miałem znacznie lepsze, na wyższym poziomie. Choćby ten z wielkim

Górnikiem Zabrze, który był mistrzem Polski i na dodatek na fali, grał w europejskich pucharach. W Szczecinie wygraliśmy 2:0 (5. kolejka sezonu 1967/68 – przyp. red.), a po meczu poszliśmy na wspólną kolację do restauracji i wielki Staszek Oślizło bez żadnych ceregieli przyznał: „Dzięki Bogu, żeśmy tylko tyle przegrali” – wspomina Kielec.

Górnik przewija się w jego karierze w kilku bardzo ważnych momentach. W 1963 roku jako 21-latek został królem strzelców ekstraklasy. O koronę walczył z zabrzaninem Erwinem Wilczkiem. W pierwszej rundzie szli łeb w łeb, po dziesięciu kolejkach mieli po dziewięć goli. W Zabrzu gospodarze wygrali 4:1, Wilczek zdobył bramkę, ale zmarnował jedenastkę. Strzelać miał Ernest Pohl, lecz wspaniałomyślnie oddał piłkę Wilczkowi, skoro tak ładnie ściga się z Kielcem.

– A ja tylko na to czekałem. Podszedłem do Erwina i mówię mu: „Biba, nie bierz się za to, bo nie strzelisz. No zobaczysz, że nie strzelisz, po co ci to?”. No i tak się Erwin zdenerwował, że cyknął obok bramki – opowiada Portowiec.

W Pogoni Kielec był wtedy snajperem wyborowym. Zespół w całym sezonie strzelił 31 goli, z czego on aż 18. Natomiast psychologiczne prowokowanie rywali stało się jego ulubioną boiskową zagrywką, wprowadził ją do swojego piłkarskiego arsenału. – Kiedyś wytrąciłem z równowagi Tomka Stefaniszyna, bramkarza Gwardii Warszawa, którego zresztą bardzo lubiłem. Nagadałem mu, żeby nie wychodził z bramki do centry, bo nie przejmie piłki i on tak się zdenerwował, że wyszedł i nie złapał, z czego padł gol dla nas. Był zupełnie rozbity. Piłkarz ma prawo tak dekoncentrować rywala. Lepszy ten, który jest bardziej odporny na takie zaczepki – opowiada Kielec.

On odporność psychiczną hartował od samego początku, bo wskoczył od razu na głęboką wodę. Jeśli w wieku 17 lat debiutuje się w tamtych ligowych czasach na Stadionie Śląskim na oczach 60 tysięcy ludzi przeciwko Ruchowi Chorzów z Gerardem Cieślikiem, trzeba być twardzielem. Niebiescy wygrali 1:0 po голу Eugeniusza Lercha, który pochwalił się, że tego samego dnia rano był jeszcze na szybcie w kopalni, ale Kielec w to nie wierzy. – Nie sędzę, by to było ciężkie górnicze zajęcie, zwłaszcza w dniu meczu. Piłkarze w każdym klubie z ekstraklasy, jeśli pracowali, mogli liczyć na taryfę ulgową. Sam słyszałem opowieści, że bardziej męczyli się na treningu. W każdym razie u nas w Pogoni nikt nie pracował, choć byliśmy na etatach w Porcie Szczecin, który miał nad nami pieczę – przypomina stare zasady obowiązujące w klubie.

Szybko zaczął, ale też szybko skończył. 29 lat to nie czas na pożegnanie z piłką. – Prawda, ale trzeba mieć swój honor – powtarza również dzisiaj. Poszło o to, jak został potraktowany przez trenera w swoim ukochanym klubie. Drużynę prowadził Czechosłowak Karel Kosař, który zresztą kiepsko mówił po polsku, najbliższy kontakt z drużyną miał jego asystent Eugeniusz Ksol.

– Zaczęło się w okresie przygotowawczym. Sprowadzono do nas Romana Jakóbczaka i Włodzimierza Wojciechowskiego, których jednak nie akceptowała drużyna. Władze klubu poprosiły mnie jako kapitana, który ma największy autorytet w szatni, żebym załagodził sytuację. Zwołałem naszą szczecińską paczkę, pogadałem z chłopakami.

Pomogło. Tylko że na boisku ci dwaj nowi grali głównie między sobą, w zasadzie odcięli mnie od podań. Zauważyłem to w jednym meczu, w drugim, w trzecim. Snułem się, nie dostawałem piłek. Z boku wyglądało tak, jakbym był bez formy, choć na treningach szalałem. Zacząłem tracić budowaną przez tyle lat pozycję w drużynie. Poprosiłem o kompleksowe badania lekarskie, żeby stwierdzić, że ze mną wszystko w porządku. Sztab szkoleniowy zaakceptował prośbę i lekarz orzekł, że tylko olimpijczyk przed igrzyskami może być lepiej wytrenowany. Dostałem dowód, że mam rację i tylko trener tego nie widzi – relacjonuje Kielec.

Na niewiele to się jednak zdało. – Przed meczem z Szombierkami na treningu waliłem na bramkę aż miło, mimo to usłyszałem, że mam być tylko rezerwowym. Byłem załamany, myślałem, że eksploduję! Zacisnąłem jednak zęby. W przerwie spotkania Kosař mówi: „Zdejmuj dres, wchodzisz na boisko”. A ja mu na to: „Niestety, ale to był mój ostatni mecz, dziękuję za wszystko”. W pierwszej połowie siedziałem na ławce, a w drugiej poszedłem sobie na trybuny.

Kilka miesięcy później do Kielca zadzwonił trener Marian Suchogórski, który wtedy prowadził rezerwy Pogoni. – „Co porabiasz? Może byś zagrał w drugiej drużynie? Mamy taki ciężki mecz w Łobzie. Pojedziesz?” – zapytał. Pojechałem, strzeliłem hat tricka, wygraliśmy 3:0. A w poniedziałek Suchogórski przyszedł do klubu i mówi: „Panowie, co wy robicie?! Kielec był najlepszy na boisku, wygrał mi mecz”. Ale nikt ze mną nie porozmawiał, nikt nie zaproponował powrotu...

Wtedy Kielec dojrzał do decyzji, by zająć się zupełnie czymś innym. – Zostałem na statku motorzystą, w maszynowni na dole. Pływałem po świecie piętnaście lat i duma mnie rozpiera, gdy o tym mówię. Niczego nie żałowałem. Kiedyś na statku M/S „Piotrków Trybunalski” założyłem drużynę piłkarską. Gdy schodziliśmy na ląd, graliśmy przy każdej okazji. Dzięki mnie podszkoliło się w futbolu wielu załogantów – uśmiecha się były napastnik Pogoni.

Po ośmiu latach... wznowił piłkarską karierę. Chciał pomóc Pogoni w walce o utrzymanie. To była jednak zła decyzja. Nie znalazł wspólnego języka z trenerem Konstantym Pawlikańcem, o którym zresztą do tej pory ma złe zdanie. – Przyłożyłem się do treningów ze wszystkich sił, bo zdawałem sobie sprawę z zaległości. Na zimowym obozie w Wałczu przeżywałem katusze, oj, nie było łatwo, ale koniecznie chciałem wrócić na boisko – opowiada Kielec.

Wystąpił tylko 45 minut w jednym meczu rundy wiosennej, ze Stalą Mielec. – Pawlikaniec, w końcu były trener Stali, mówił nam, że u rywali nie zagra Szarmach, bo jest kontuzjowany. Tak rzetelnie posiadał informacje, że jednak zdrowy Szarmach, który z Pawlikańcem miał na pieńku z mieleckich czasów, już do przerwy strzelił nam dwa gole. A ja wszedłem na boisko w drugiej połowie, choć przed spotkaniem ustaliłem z trenerem, że tym razem jeszcze nie zagram. Wszystko było chaotyczne i nieprzemyślane – mówi Kielec.

Dał więc sobie spokój, wrócił na statek. A Pogoń spadła.

– Za to dzisiaj znowu jest mocna. Jak to dobrze! I buduje się piękny nowy stadion. Gdy wrócę do Szczecina, może jeszcze uda mi się na nim zagrać – ujawnia swoje wielkie marzenie niepowtarzalny snajper Portowców.

Urodzony: 6 marca 1942 roku w Kimpulungu
Mołdawskim (ROU)

Pozycja na boisku: napastnik

Reprezentacja Polski: 1 mecz, 0 goli

Kluby: *Pogoń Szczecin (1957–71 i 1979; 218 meczów,
80 goli)*

Czasem myślę, że moje 60 lat należałoby policzyć jak u psa, czyli każdy rok razy siedem. A przecież ani ludzie, ani psy tyle nie żyją. Idę na jakiś rekord – żartuje Andrzej Iwan.

Iwan, jedna z najbarwniejszych postaci w dziejach polskiej piłki, to kopalnia anegdot. Sypie nimi jak z rękawa. A że piłkarską karierę miał intrygującą, wystarczy go słuchać. Zadawanie pytań jest zbędne. Sam umie zadbać o niezmiennie wartkie tempo opowieści. No to słuchajmy...

Na boisku bywałem symbolem młodości, ale teraz dla samego siebie jestem raczej symbolem starości. Nawet nie mogę pokopać piłki z wnukiem i to mnie martwi najbardziej, a nawet przeraża. Kontuzje, nie tylko mechaniczne, tryb życia – wiele rzeczy sprawiło, że dzisiaj moja sprawność fizyczna jak na byłego sportowca to dramat.

Natomiast jako piłkarz zwykle czułem się jak młody bóg i to w czasach, gdy naprawdę byłem małym chłopcem. Nie da się ukryć: należałem do ulubieńców kibiców, odczuwałem to na każdym kroku. Dzisiaj pomimo niesamowitego rozwoju mediów piłkarze są tak anonimowi, że trudno uwierzyć. Ja

w moim Krakowie nie mogłem się spokojnie ruszyć. Kibice mnie kochali. Zresztą nie tylko mnie, ale nas wszystkich młodych krakusów, mocno związanych z tym miastem i klubem. Każdy miał na trybunach swoich fanów. To był kapitalny okres, mój najwspanialszy czas.

Pamiętam turniej UEFA w Krakowie w 1978 roku, a w zasadzie nieoficjalne mistrzostwa Europy U-18. Oj, działo się wtedy... Człowiek grał w piłkę, ale też nieźle się bawił. Niestety, ten turniej dla mnie był zupełnie niepotrzebny. Niewiele mogłem zyskać, a bardzo dużo stracić. Selekcjoner Jacek Gmoch specjalnie mnie schował, żebym na mundialu w Argentynie był w jego drużynie czarnym koniem, tajną bronią, jak zwał, tak zwał. Powiedział mi o tym już pół roku przed mistrzostwami, w tajemnicy, żeby był element zaskoczenia. W lidze grałem cały sezon, zresztą zdobyliśmy z Wisłą mistrzostwo Polski. No a później zamiast odpocząć, zregenerować się, dostałem powołanie na turniej UEFA. Jako gówniarz byłem mocno eksploatowany. Już miałem dość wszystkiego, a piłki w pierwszej kolejności. Ta impreza spowolniła mój debiut w dorosłej reprezentacji. Gdybym zagrał w niej wcześniej, w juniorskich mistrzostwach nie mógłbym wystąpić, takie były przepisy. No i potem niewiele brakowało, a nie pojechałbym na mundial. W Krakowie podczas turnieju nawywijaliśmy trochę z kolegami, nasz brązowy medal też nie był odebrany jako sukces. Nad moją głowę nadciągnęły czarne chmury. Gdy dołączyłem do kadry seniorów, Gmoch powiedział mi wprost: „K..., masz szczęście, że nie mam czasu na zmianę, bo bym cię chyba z tej kadry wyp...”. Takie miałem przywitanie.

Zastanawiam się, czy w tamtych czasach uderzyła mi sodówka do głowy. Z dzisiejszej perspektywy chyba tak bym to nazwał, ale wówczas oczywiście nie widziałem zagrożenia. Byłem spontaniczny, cieszyłem się życiem i starałem się z niego korzystać. Wszyscy mnie w drużynie akceptowali, starzy i młodzi. Z każdym umiałem pogadać i się zabawić.

Nie chcę się wybielać, ale zawsze bardzo dużo zależy od trenera. Musi umieć prowadzić piłkarza, zwłaszcza takiego młodego gówniarza, jakim ja jeszcze byłem. Jeśli jedziesz na zgrupowanie kadry juniorskiej z żoną, a asystent trenera robi za twojego szofera, nie wygląda to najlepiej z perspektywy wychowawczej. Żeby było jasne – to nie była propozycja z mojej strony. Ktoś uznał, że tak powinno być – żona w ciąży, więc trzeba chłopakowi pomóc. Nie wiem, czy o to chodziło. Ożeniłem się młodo, to fakt. Niedługo po powrocie z mundialu w Argentynie zostałem ojcem. Miałem 19 lat. Wtedy nie było instytucji menedżera, może on by mi podpowiedział, siłą albo perswazją, jak się trzeba zachować, co robić, czego unikać. Działiałem intuicyjnie i zdarzało się, że podejmowałem jednak złe decyzje, miałem parę przygód, po których próbowano mnie uziemić, ale zawsze znalazłem takiego, który mi ratował d... i może to powodowało, że tak przebiegła moja, nie przeczę, dosyć barwna kariera. Źle jej nie oceniam, bo jest się czym pochwalić. No może meczów w kadrze narodowej powinno być jeszcze więcej. Dyskwalifikacje, ciężkie kontuzje, jakieś inne decyzje, jak choćby te przed Argentyną,

sprawiły, że czuję lekkie reprezentacyjne niespełnienie.

Najfajniejszy okres w karierze to wcale nie mundial w Argentynie, gdzie wchodziłem do drużyny. Na pewno też nie mistrzostwa w Hiszpanii, z których wróciłem z medalem, choć dużego udziału w nim nie miałem, bo już w drugim meczu doznałem okropnej kontuzji.

W najwyższej formie byłem w 1980 roku, nastrzelałem wtedy goli w kadrze niczym Robert Lewandowski, bo w sumie dziewięć. Był hat trick z Kolumbią, no i przede wszystkim dwie bramki w wygranym na wyjeździe meczu z Hiszpanią (2:1). Byłem topowym strzelcem w Europie. Zresztą niemiecki selekcjoner Jupp Derwall powołał mnie do reprezentacji naszego kontynentu na pokazowy mecz z Czechosłowacją, ale moje powołanie gdzieś zaginęło w Polskim Związku Piłki Nożnej i pojechał ktoś inny. Kto? Obecny prezes PZPN (Zbigniew Boniek – przyp. red.). To sam Derwall powiedział mi później o tym powołaniu. A z Czechosłowacją też zagramyśmy w tym dobrym dla mnie 1980 roku (1:1). Akurat gola nie strzeliłem, lecz nawet mi nie wypadało, bo to było pożegnalne spotkanie Włodka Lubańskiego na Stadionie Śląskim i właśnie on trafił do siatki z rzutu karnego. Włodek był moim idolem od dzieciaka i to, że mogłem z nim grać i obcować w drużynie podczas zgrupowań, stało się dla mnie niewyobrażalnym zaszczytem. Największy talent, jaki wydała polska piłka. Jedni mówią: „Być jak Kazimierz Deyna”, a ja odpowiadam: „Być jak Lubański”. Gdy jeszcze w Wandzie Kraków mój pierwszy trener uczył mnie pewnych rzeczy, widziałem, że wzoruje się

właśnie na stylu gry Włodka. Wcale mu się nie dziwię, lepszego wzoru nie dało się wymyślić.

Zawsze miałem charakter zabijaki. Zachowywałem się na boisku jak bulterier, zresztą wszystko musiałem sobie wywalczyć. A jednocześnie miałem pokorę. Serio. Znałem swoje miejsce w szeregu, w drużynie chętnie nosiłem za starszymi piłki, nie protestowałem. Nawet jak już złapałem miejsce w składzie Wisły, ciągle je targalem, a i tak wszyscy mnie poważali. Ujmę to w ten sposób: jeżeli ktoś chciał załatwić jakiś mecz, zawsze zgłaszał się do mnie, żeby porozmawiać, co o tym myślę.

Piłkarzy Wisły darzyłem wielkim respektem, zresztą na początku tak bardzo się przejmowałem, jak zostanie przyjęty w tej znakomitej drużynie, że zamiast na trening jechałem na węgry, na przykład do Chorzowa, by obejrzeć mecz reprezentacji Polski. Wstydziłem się wejść do szatni, bo tam Szymanowski, Musiał, Kapka, Kusto, Maculewicz. No gdzie ja wśród nich? Na szczęście jak już mnie tam na siłę zawieźli radiowozem, zajęła się mną grupa młodszych fantastycznych piłkarzy z Adasiem Nawalką, Krzyśkiem Budką i innymi chłopakami, z którymi grałem w juniorach. Wiadomo, że byłem skazany na Wisłę, bo przede mną grało już w niej pięciu, a może nawet sześciu wychowanków trenera Mariana Pomorskiego, który ukształtował mnie jako piłkarza w Wandzie Kraków.

Bardzo ważna część mojej kariery to również Górnik Zabrze, z którym zdobyłem trzy tytuły

mistrza Polski. Przeniosłem się na Śląsk i w zasadzie nie miałem wyboru, bo z Wisły mnie wyrzucili. Akurat zaliczyła spadek, choć był jeszcze cień szansy, by się uratować. Przyszedł nowy prezes, który nastawił się na zmiany, a na dodatek ktoś go chyba jeszcze podpuścił. Szef uznał, że ja, piłkarz o tak znanym nazwisku, nie byłem w stanie dać drużynie tyle, ile znacznie mniej zdolni zawodnicy. Faktycznie nie graliśmy na miarę możliwości, bo Wisła z takim potencjałem nie miała prawa spaść, ale czułem się źle z tym, że właśnie między innymi ja padłem ofiarą nowych porządków. Wykorzystał to Górnik – ku mojemu zaskoczeniu, bo jego trenerem był wymagający i znany z surowości Hubert Kostka. Gdy usłyszałem, jakie tam piłkarze mają stawki, byłem zaskoczony. Szok związany z tym, że Kostka chce Iwana, był jednak porównywalny. Słyszałem co prawda, że bardzo mnie ceni jako piłkarza, ale nie sądziłem, że jest w stanie machnąć ręką na wszystkie moje pozaboiskowe wady. Nie miałem z nim żadnej wstępnej rozmowy. Po prostu przyszedłem na pierwsze zajęcia i wtedy coś tam pogadaliśmy. Z ulgą wyczułem, że Kostka wie, że nie może dać mi takich obciążeń jak innym piłkarzom, dlatego o dziwo, miałem u niego nieco lżej, nawet mnie trochę oszczędzał.

Wcale nie było pewne, że od początku sezonu będę grał w podstawowym składzie, bo po przymusowej przerwie byłem trochę przymulony, a jednak znalazłem się w nim od razu. Zagłębiu Sosnowiec (6:0) strzeliłem dwa gole, w następnym meczu też była bramka, w trzecim również. Kibice momentalnie mnie polubili. Przyszedłem do drużyny w tym samym czasie co Janek Urban. Szatnia nas szybko zaakceptowała z uwagi na to, jak

graliśmy w piłkę, ale też jak zachowywaliśmy się w grupie. Wnieśliśmy trochę nowego życia do Górnika. Umieliśmy brylować na boisku, ale także poza nim. Janek to po Lubańskim drugi największy talent w naszej piłce. Widzicie, jakie miałem szczęście? Grałem z najlepszymi polskimi piłkarzami.

Nigdy się nie nudziłem. Zawsze miałem co dzieciom opowiadać. A teraz chciałbym jeszcze trochę pożyć, pocieszyć się życiem, bo doceniam, że parę razy byłem już na bardzo ostrych zakrętach.

Urodzony: 10 listopada 1959 roku w Krakowie

Pozycja na boisku: napastnik

Reprezentacja Polski: 29 meczów, 11 goli

Uczestnik mistrzostw świata 1978, 1982 (3. miejsce)

Kluby: *Wanda Kraków (1968–75), Wisła Kraków (1976–85;*

198 meczów, 69 goli), Górnik Zabrze (1985–88, 1989 i 1992;

71 meczów, 21 goli), VfL Bochum/GER (1988–89; 30 meczów,

2 gole), Aris Saloniki/GRE (1990–91; 30 meczów, 2 gole),

FC Azzurri/SUI (1992–93), FC Pully/SUI (1993), Kuchnie Izdebnik (1995), Spartak Wielkanoc Gołcza (1996)

Mistrz Polski (1978, 1986, 1987, 1988), zdobywca Pucharu Polski (1979),

zdobycwca Superpucharu Polski (1987)

Dziś nie ma polskiego obywatelstwa, ale przecież ciągle jest Polakiem. – Żyjemy w Unii Europejskiej, jeden czy drugi papierek niczego nie zmienia – mówi Aleksander Famuła, kiedyś pierwszy bramkarz Karlsruhe. Rezerwowym był wówczas Oliver Kahn.

W styczniu 1983 roku Górnik Zabrze wyjechał na długie tournée do Ameryki Południowej i Środkowej. Polskę ogarniał ponury klimat stanu wojennego. Ludzie o paszportach i ciepłych, egzotycznych krajach mogli tylko pomarzyć, ale świetnie ustosunkowany z partyjną władzą prezes Górnika Jan Szlachta umiał te marzenia zamieniać w rzeczywistość. Załatwił drużynę serię ośmiu atrakcyjnych meczów w Gwatemali, Kolumbii, Hondurasie, Peru i Salwadorze!

Zabrzanie w sposób idealny połączyli przyjemne z pożytecznym – mieli fantastyczną wycieczkę, a przy okazji w przygotowaniach do ligowej wiosny dostali sparingi w ciepłym klimacie ze świetnymi rywalami. Jednak dla młodego bramkarza Aleksandra Famuły zysk z tej wycieczki był zupełnie inny: nie wrócił do Polski.

– Do tej pory nie wiem, co mi strzeliło do głowy. Decyzja była spontaniczna. Moje życie nagle zmieniło się o 180 stopni i tak już zostało – wspomina Famuła.

Wszystko rozegrało się w drodze powrotnej. – Wylądowaliśmy w Paryżu, ale mieliśmy opóźnienie i nie złapaliśmy już lotu do Polski. Gdyby się udało, pewnie bym wrócił. Zapadła jednak decyzja, że lecimy Lufthansą do Frankfurtu i tam przesiadka do kraju. To była dla mnie szansa. Miałem rodzinę w Reichu. Siostra mieszkała z mężem w Berlinie Zachodnim, a brat szwagra w Heidelbergu, niecałe 100 kilometrów od Frankfurtu. Myślę sobie, co mi tam, zostaję! Nikomu nic nie gadałem. Potem opowiadali, że Andrzej Pałasz też chciał się ze mną urwać. Bzdury. Ino ja, nikt inny – relacjonuje były bramkarz zabrzan.

Podczas kontroli paszportowej okazało się, że nie ma Famuły. Na wielkim frankfurckim lotnisku trudno było go odszukać, tym bardziej że poszukiwany wcale tego nie chciał. Zapadł się pod ziemię. Nie dało się długo czekać, parę wezwań z megafonu i tyle. Polecili bez niego.

– Szczęśliwie dotarłem do Heidelbergu. Trzeba było załatwić wszystkie papiery. Posiedziałem tam ze dwa miesiące i wyruszyłem do Berlina Zachodniego, do siostry. Byłem bramkarzem, niczego innego nie umiałem robić i uznałem, że spróbuję załapać się do Herthy Berlin, która wtedy grała w 2. Bundeslidze – opowiada Polak pochodzący z Lublińca.

Nie były to wcale jakieś wybujałe plany. Famuła, rocznik 1960, od dwóch lat był wtedy podstawowym bramkarzem Górnika Zabrze. Jak zadebiutował w ekstraklasie w meczu ze Śląskiem Wrocław (1:0), tak ciurkiem zaliczył 60 ligowych spotkań. Wcześniej jedynką był Waldemar Cimander, ale doznał kontuzji i młody dostał szansę. – Od razu przeskoczyłem z poziomu zera do stu. Zdałem egzamin, więc gdy Waldek się wyleczył, nie było powodu, żeby mnie sadzać na ławce – przyznaje Famuła.

Liga szybko go zauważyła i doceniła. Coraz częściej był chwalony, miał nie tylko zadatki na dobrego bramkarza, on już nim był. Dostrzegł to selekcjoner Antoni Piechniczek, który kompletował kadrę na mundial w Hiszpanii. Najlepszym golkipierem był oczywiście Józef Młynarczyk z Widzewa Łódź, z tym nikt nie dyskutował. Ale za jego plecami robiło się ciekawie. Wysokie notowania miał Jacek Kazimierski z Legii Warszawa, można było przyjąć, że i on poleci do Hiszpanii. Byli też weteran Piotr Mowlik z Lecha Poznań oraz Jacek Jarecki ze Śląska Wrocław. I był Famuła z Górnika, spośród całej piątki najmłodszy.

– W zimie 1982 roku pojechałem na zgrupowanie kadry do Wisły. Dobrze pamiętam, jak biegaliśmy po górach. Trener Piechniczek miał tam piękną działkę pod lasem, z małym domkiem, potem wybudował chyba coś większego. Mieszka tam do dzisiaj? No proszę, nie wiedziałem...

Do kadry na mistrzostwa jednak się nie załapał, choć z rywalizacji na własne życzenie odpadł Jarecki, który miesiąc przed mundialem odłączył się od kadry przebywającej w Niemczech i podobnie jak

niespełna rok później Famuła nielegalnie został za granicą. Piechniczek do Hiszpanii zabrał rutyniarza Mowlika, choć jasne było, że będzie tylko numerem trzecim, a od Famuły jest o dziewięć lat starszy. – Zawsze rwałem się do grania, a w Górniku pokazałem, że daję radę. Uciekała mi fajna impreza, więc musiało trochę boleć – przyznaje bramkarz.

Cenił go również trener młodzieżówki Waldemar Obrębski. W marcu 1982 roku Famuła wystąpił w Warszawie w ćwierćfinale mistrzostw Europy U-21 z Anglią. Polacy przegrali 1:2, choć pięknego wyrównującego gola strzelił Kazimierz Buda. – Niewiele z tego spotkania pamiętam. Na pewno w ataku grał Darek Dziekanowski, który też nie załapał się na mundial – zwraca uwagę Famuła. W rewanżu w bramce zastąpił go Janusz Stawarz ze Stali Mielec. Polacy zremisowali 2:2 i odpadli.

W seniorskiej reprezentacji Famuła nigdy nie zagrał, bo skoro „wybrał wolność na Zachodzie”, zamknął sobie do niej drzwi.

– Nastawiłem się na granie w Bundeslidze, choć zdawałem sobie sprawę, jak kręta przede mną droga. Trzeba było być twardym i zasuwać, ale już na początku mogłem się załamać, bo PZPN wystąpił o dożywotnią dyskwalifikację. Na szczęście UEFA była dla mnie łaskawsza, pauzowałem prawie dwa lata – opowiada.

Zdażył już podpisać umowę z Herthą Berlin, odliczał dni do pierwszego meczu i wtedy usłyszał, że... nic z tego, nie zagra w tym klubie. – Podważyli mój kontrakt, że niby miałem kontuzję kolana, której nie zgłosiłem.

Badali, szukali, aż w końcu coś znaleźli. Wszystko dlatego, że bym dał im spokój. Nagle zostałem na ulicy sam jak palec – wspomina Famuła.

Dlaczego Hertha postanowiła go odprawić? Jego problemem wcale nie była kontuzja, a... Andreas Köpke. Późniejszy mistrz Europy i najlepszy bramkarz świata 1996 roku grał po sąsiedzku w innym stołecznym klubie, SC Charlottenburg. – Jakimś cudem awansowali do 2. Bundesligi i wzięli Köpkego z Holstein Kiel. Słabi byli, po sezonie spadli, ale akurat on bronił świetnie, miał dużo okazji, by się wykazać. Przechwyciła go Hertha, więc ja już jej byłem niepotrzebny – wspomina Polak.

Musiał sobie znaleźć inny klub. Karencja zrobiła swoje, nikt w Niemczech go nie znał, a fakt, że kiedyś grał w Górniku Zabrze, przestawał mieć jakiegokolwiek znaczenie. – Trochę potrenowałem w Paderbornie, w którym trenerem był Jan Liberda, no ale oni też nie potrzebowali bramkarza – wyjaśnia Famuła.

Założył, że trzeba się załapać gdziekolwiek, choćby nawet w regionalnych rozgrywkach. Jak będzie dobry, to zauważy go ktoś większy. Takim klubem był SG Heidelberg-Kirchheim. Miał 25 lat i szybko pokazał, że nie jest jakimś pierwszym z brzegu łapaczem piłek. Był naprawdę dobry, coraz lepszy. No i plan się powiódł. Zauważyli go. Przyjechali z Karlsruhe. Tylko 50 kilometrów na północ od Heidelbergu, przy granicy z Francją.

– Fajny klub, tylko że bez kasy. Dali mi trzy i pół tysiąca marek na miesiąc. Brutto. Naprawdę śmieszne pieniądze, ale więcej nie mieli. Nie wiem, jak to wszystko się tam kręciło i nie rozleciało. A myśmy jeszcze

awansowali do 1. Bundesligi! No pewnie, że ja bronilem. Po awansie była podwyżka, ale bez cudów. Dalej miałem skromniutko jak na niemieckie warunki – opowiada Famuła.

Byłego bramkarza zabrzan znały już całe piłkarskie Niemcy. A na ławce Karlsruhe siedział młodziutki (rocznik 1969) Oliver Kahn. Minęło trzy i pół roku, zanim późniejszy as reprezentacji Niemiec wskoczył do składu. – Oli podpatrywał mnie na treningach, chciał się uczyć, o wiele rzeczy pytał, razem ćwiczyliśmy. Czy byłem jego nauczycielem? No trochę tak – przyznaje Famuła. W zespole Winfrieda Schäfera grał z innymi piłkarzami, którzy później również świetnie odnaleźli się w Bayernie Monachium – z Oliverem Kreuzerem i Mehmetem Schollem.

– Potem miałem już tylko jeden raz kontakt z Oli Kahnem. Szkoliłem młodych chłopaków, więc zadzwoniłem do niego z prośbą, żeby przysłał jakieś upominki, koszulki, rękawice. A potem nasza relacja się urwała, bo w piłce zaczął się wielki świat i okazało się, że ja już nie mam do niego dostępu – uśmiecha się Famuła.

Do Polski pierwszy raz przyjechał pięć lat po słynnej ucieczce. – Do Lublińca, na swój ślub. I niech pan koniecznie napisze, że musiałem się wtedy zrzec polskiego obywatelstwa. Żeby móc się ożenić z Polką i żeby ona mogła legalnie wyjechać z Polski do niemieckiego męża! Takie były przepisy. Do tej pory polskiego obywatelstwa nie odzyskałem. Musiałbym sprawę w Warszawie załatwić. Kiedyś nawet zacząłem o tym myśleć, ale teraz to już nie jest takie ważne. Przecież wszyscy

jesteśmy w zjednoczonej Europie – tłumaczy Famuła. Ze swoją rodziną już na stałe osiadł w Heidelbergu, czyli tam, gdzie w lutym 1983 roku trafił z frankfurckiego lotniska.

Urodzony: 20 września 1960 roku w Lublińcu

Pozycja na boisku: bramkarz

Kluby: *Sparta Lubliniec (1975–78), Górnik Zabrze (1978–83; 60 meczów), SG Heidelberg-Kirchheim/GER (1983–86), Karlsruher SC/GER (1986–92; 150 meczów), FC 08 Homburg/GER (1992–93; 9 meczów)*

– Nieraz mi się śni, że gram w piłkę – mówi Jerzy Kraska. Mistrz olimpijski i jeden z bohaterów zwycięskiego meczu z Anglią (2:0 w 1973 roku) w reprezentacji Polski ostatni raz wystąpił, nie mając nawet 22 lat.

Jego wielki piłkarski czas zaczął się nagle i przemknął jak błyskawica. Był młodym orłem w ekipie Kazimierza Górskiego, spróbował wielkiej reprezentacyjnej kariery, lecz zanim się w niej rozsmakował, już ją kończył. Poważna kontuzja kolana była surowym i nieodwołalnym wyrokiem dla młodego piłkarza. Od tamtej pory górną granicą jego realnych możliwości był status solidnego ligowca. Wiele stracił, ale do dzisiaj potrafi docenić, co zdążył osiągnąć.

Kiedy jako piłkarz warszawskiej Gwardii debiutował z Cracovią, brakowało mu czterech miesięcy do ukończenia 18 lat. Zagrał na środku obrony. Po dziesięciu minutach gospodarze przegrywali 0:2, a Kraska na boisku czuł się jak przedszkolak porzucony w supermarkecie. – Niedawno grałem w okręgówce w Płocku, a tu nagle ligowa elita. Nie mogłem się w tym odnaleźć. Głowa mi latała we wszystkie strony, z czymś takim wcześniej nigdy się nie spotkałem. No

a w Cracovii starzy wyjadacze – wspomina gwardzista. Inna sprawa, że koledzy z drużyny jakoś specjalnie mu nie pomagali.

– Tak to bywa. Przychodzi młody nie wiadomo skąd, chce grać w pierwszej lidze, zabiera komuś miejsce w składzie, więc niech przekona nieprzekonanych. W przerwie powiedziałem trenerowi Henrykowi Szczepańskiemu, że to dla mnie za duży przeskok i lepiej, żeby mnie zmienił. Nie musiałem mu długo tłumaczyć – wspomina złoty medalista olimpijski.

W następnych meczach Kraska w pierwszej lidze już nie grał, ale i tak nie żałował, że wtedy spasował. Do nikogo nie miał pretensji. – Takie pchanie młodego na siłę tylko dlatego, że ma talent, jest bez sensu. Trzeba cierpliwie czekać na odpowiedni czas. Wróciłem do drużyny rezerw i dobrze zrobiłem, tym bardziej że cały czas trenowałem z pierwszym zespołem. Pół roku później byłem naprawdę przygotowany, by rywalizować z najlepszymi – opowiada.

Do Warszawy przyjechał z Płocka jako niepełnoletni chłopak. Był w stolicy sam jak palec.

– Przywieźli mnie w nocy do hotelu, zaprowadzili do pokoju. I na drugi dzień radź sobie, człowieku, sam. Nie znałem miasta, nie miałem znajomych. Kazali przyjść do Gwardii na trening, na Raławicką, ale tylko adres znałem, nic więcej. Poszedłem do kiosku, kupiłem mapę i ruszyłem piechotą. Na szczęście nie było daleko. Puławską do Odyńca, później cały czas prosto i już prawie byłem na miejscu. A ten mój hotel stoi do

dzisiaj. Teraz nazywa się Karat, przy Słonecznej, z tyłu dawnego kina Moskwa. Trudno było to nazwać nawet pokojem, dzisiaj wszyscy by się uśmieali. Służbówka taka, klitka. Dopiero po kilku miesiącach przenieśli mnie do większego pokoju, w którym mieszkałem z zapaśnikiem i bokserem. Rzadko na siebie wpadaliśmy, bo w kółko każdy miał swoje obozy, treningi i zawody – opowiada.

Po powrocie do pierwszoligowej drużyny Kraska udowodnił, że w meczach rezerw nie tracił czasu. Wciąż był piłkarskim młokosem, ale z coraz większym doświadczeniem. Już się nie denerwował, coraz lepiej czytał grę. W Gwardii zaczęli go doceniać. Dostawał też powołania do młodzieżówki prowadzonej przez Andrzeja Strelaua. Wreszcie zauważył go Górski. I rzucił na głęboką wodę, bo w debiucie zagrał na wyjeździe z Bułgarią w kwalifikacjach olimpijskich. Tym razem był już zahartowany, nie pogubił się jak w pamiętnym debiucie z Cracovią.

– Przed spotkaniem w Starej Zagorze mieliśmy próbę generalną z NRD w Łodzi. Niby mecz nieoficjalny, ale 30 tysięcy ludzi na trybunach. Było 2:1, a ja zagrałem w drugiej linii z Szoltynikiem i Maszczykiem. Trenerzy powiedzieli mi dokładnie, co mam robić i solidnie się tego trzymałem. Musiało się im spodobać, bo dzień przed meczem z Bułgarami Jacek Gmoch, wtedy już współpracownik Górskiego, powiedział, że zagram. Zupełnie się tego nie spodziewałem! Miałem kryć ich asa Christo Bonewa. Strzelił dwa gole, ale jednego z karnego, a drugiego, jak już graliśmy w dziesiątkę, bo z boiska

wyleciał Włodek Lubański właśnie za reakcję po tym karnym. Sędzia trochę od niego wtedy usłyszał, ale trudno się dziwić, bo co ten gość z nami wyprawiał! – opowiada reprezentacyjny pomocnik. To już historia pomieszana z legendą. W każdym razie Polacy przegrali z Bułgarią 1:3, a Rumun Victor Padureanu stał się dla polskich kibiców symbolem sędziowskiej nierzetelności i stronniczości.

– W rewanżu na Stadionie Dziesięciolecia nie wystąpiłem, bo trzeba było strzelać gole, a inni bardziej się nadawali. Wygraliśmy 3:0, lecz musieliśmy liczyć, że pomogą nam Hiszpanie grający z Bułgarami, którzy w razie zwycięstwa mieliby od nas lepszy bilans bramek – przypomina gwardzista. La Roja – występująca pod szyldem drużyny amatorskiej – sprawiła miłą niespodziankę. Mimo że wcześniej w Sofii przegrała „hokejowo” 3:8, u siebie potrafiła urwać Bułgarom punkt. Po dramatycznym meczu, który w Polsce transmitowało radio, padł upragniony przez nas remis (3:3).

Do Monachium Kraska pojechał, ale jako gracz rezerwowy. – Byłem najmłodszy w kadrze. Podczas turnieju trener Górski wprowadzał mnie do składu, pokazywałem się w końcowych minutach. W spotkaniu z NRD (2:1) zagrałem już cały mecz, a ze Związkiem Radzieckim zastąpiłem w pierwszej połowie kontuzjowanego Jurka Gorgonia. To był trudny moment, ogromna odpowiedzialność, bo kiedy znalazłem się na boisku, przegrywaliśmy 0:1 – zaznacza Kraska. W finale z Węgrami też wyszedł w podstawowej jedenastce.

– Ryszard Koncewicz był wtedy trenerem Gwardii i jako były selekcjoner miał

doświadczenia z meczów przeciwko Węgrom. Przed igrzyskami mówił mi w klubie: „Stać was na złoto, ale jak traficie na nich, to nie macie dużych szans”. Na szczęście się pomylił – zaznacza Kraska.

Po igrzyskach drzwi do dużej kariery przed młodym mistrzem olimpijskim otwierały się na całą szerokość. – W kadrze trenera Górskiego byłem defensywnym pomocnikiem, który miał do wykonania konkretną, często niewdzięczną robotę w środku pola za linią bardziej ofensywnych piłkarzy. Podobnie w reprezentacji grali później Adam Nawałka i Waldemar Matysik – tłumaczy gwardzista.

W walce o awans do MŚ w RFN wystąpił w przegranym meczu z Walią (0:2), ale potem należał do bohaterów chorzowskiego starcia z Anglią (2:0). I tyle. To był jego ostatni mecz w kadrze narodowej. Miał zaledwie 21 lat i 6 miesięcy...

– Głośno było o kontuzji Włodka Lubańskiego. O mojej cicho. Już po sezonie ligowym graliśmy mecz Bydgoszcz – Warszawa. Zamiast odpoczywać, trzeba było jechać na takie spotkanie. Z dzisiejszej perspektywy zupełnie bez sensu. Gdzieś około 13. minuty usłyszałem, jak w kolanie coś się łamie. Taki odgłos, jakby pękała sucha gałąź... Inne czasy, inne leczenie. Długo nie było ostatecznej diagnozy. Zamiast od razu unieruchomić kolano, lekarze zalecali, żebym się ruszał, próbował normalnie trenować i obserwował, jak moja noga reaguje. Dzisiaj to nie do pomyślenia. Na prostym odcinku biegłem bez problemu, ale przy skrętach pojawiał się ból. Minęło dużo czasu, zanim

specjaliści orzekli, co mi dolega, i powiedzieli, jak to leczyć. Mecz na Wembley (1:1) oglądałem w szpitalu przy Wołoskiej, z nogą w gipsie, już po zabiegu. Siedziałem na wózku przed telewizorem i kibicowałem razem z innymi chorymi – wspomina.

Później próbował wrócić do reprezentacji, ale nie zdołał osiągnąć odpowiedniego poziomu. Górski jednak o nim pamiętał i dał mu szansę.

– Trzy miesiące przed mistrzostwami świata Polska grała sparing na Marymoncie z Fortuną Düsseldorf (1:1). Wystąpiłem w podstawowym składzie obok Deyny i Kasperczaka. Nie wytrzymałem nawet kwadransa. Znowu kontuzja kolana. Za szybko chciałem wrócić... Zrozumiałem, że nie mam żadnych szans... – z żalem wspomina gwardzista.

Kraska wiele lat grał w Gwardii, potem w Finlandii. Ciągłe był dobrym piłkarzem, choć już bez błysku na miarę reprezentacji. Pogodził się z tym. – Nie narzekam na los, choć wiem, jak wiele przez tę kontuzję straciłem. Jestem jednak mistrzem olimpijskim, grałem w jedynym zwycięskim meczu z Anglikami, byłem częścią drużyny Górskiego. No proszę powiedzieć, czy tak wygląda nieudana kariera?

Urodzony: 24 grudnia 1951 roku w Płocku

Pozycja na boisku: pomocnik

Reprezentacja Polski: 13 meczów, 0 goli

Złoty medalista igrzysk olimpijskich 1972

Kluby: *Mazovia Plock (1962–69), Gwardia Warszawa (1969–83 i 1985–86; 154 mecze, 3 gole), Kuopion Palloseura/FIN (1983–85; 48 meczów, 0 goli)*

Mógł być nową wersją Jana Domarskiego z Wembley, ale w przeciwieństwie do tamtego meczu wyjazdowy remis 1:1 z Holandią oznaczał dla Polski gorzką porażkę. – Futbol bywa okrutny i to w wielu znaczeniach – przyznaje Wojciech Rudy, wytypowany na najlepszego polskiego piłkarza 1979 roku.

Piłka dała mu dużo radości, ale też bolesnych doświadczeń. Przede wszystkim w 1975 roku mógł żarliwie dziękować, że cudem uniknął śmierci. Był wtedy zawodnikiem Zagłębia Sosnowiec i reprezentacji Polski U-23 trenera Andrzeja Strelaui.

– W Wielką Sobotę graliśmy w Bydgoszczy towarzyski mecz z USA i już następnego dnia, w niedzielę wielkanocną, czekało nas ligowe spotkanie w Sosnowcu z Szombierkami, a GKS Tychy miał grać z Pogonią Szczecin. Było mało czasu, a kilometrów do przejechania dużo – opowiada Wojciech Rudy. Po Jana Białasa z GKS został wysłany samochód z kierowcą. – Korzystając z okazji, zabraliśmy się razem z nim, żeby też jak najszybciej dostać się do swoich klubów. A więc obok kierowcy siedział Janek Białas, za

nim ja, a po mojej lewej ręce Leszek Wolski z Pogoni Szczecin – relacjonuje Rudy.

Było już po zmroku. Pod Inowrocławiem skoda z trzema piłkarzami zderzyła się z nieoświetloną furmanką.

– Kierowca gwałtownie skręcił w lewo, ale nie zdążył. Samochód miał silnik z tyłu, więc bez większego oporu przód furmanki uderzył w miejsce, w którym siedział Janek. Oberwał w głowę. Ja byłem tuż za nim i w ostatniej chwili instynktownie rzuciłem się w stronę Leszka. Straciłem przytomność, ale ocalałem życie, została mi tylko szrama na skórze głowy. Gdybym się nie uchylił, rama drzwi pewnie przebiłaby mi czaszkę. A Janek... Tydzień walczył w szpitalu. Nie udało się go uratować... Później jeszcze długo bałem się wsiadać nawet do taksówki. A jeśli już musiałem, zawsze na miejsce za kierowcą – nawet po latach trudno Rudemu wrócić do tamtych wspomnień bez emocji.

Od dawna unikał mediów, w ogóle trzymał się z boku piłkarskiego środowiska, ale z zupełnie innych przyczyn. Znalazł się w cieniu afery korupcyjnej, uczestniczył w niej już tylko w roli klubowego działacza. Po ustaleniach prokuratury i sądu musiał się z tym zmierzyć, czuł się bezwolną ofiarą patologicznego systemu, który niszczył polski futbol. Czas goi rany. Dlatego dopiero po wielu latach milczenia zdecydował się porozmawiać o piłkarskiej przeszłości.

A była to bardzo dobra kariera. Jest co wspominać, późniejsze wydarzenia nie mogą tego przekreślić ani podważyć. Był cenionym polskim obrońcą, jednym z najlepszych złotej

dekady lat 70., srebrnym medalistą olimpijskim, uczestnikiem mundialu w Argentynie i filarem Zagłębia Sosnowiec, wtedy czołowej polskiej drużyny, która zdobywała wicemistrzostwo kraju i dwa razy sięgała po Puchar Polski.

A jednak wyjazdowy mecz Polaków w Amsterdamie przede wszystkim stał się szufladką, do której wpadł na wieki wieków. Biało-Czerwoni w 1979 roku z przygodami i bez efektu walczyli o pierwszy awans do finałów mistrzostw Europy, w których występowało przecież ledwie osiem drużyn. W grupie mieliśmy Holendrów, wicemistrzów świata z dwóch ostatnich turniejów. Pokonaliśmy ich na Stadionie Śląskim 2:0. Cały czas byliśmy jednak na minusie, bo nadprogramowo potraciliśmy punkty z NRD (1:2, 1:1). W naszym ostatnim meczu do awansu potrzebowaliśmy wygranej w Amsterdamie. W pierwszej połowie na strzał z lewej strony pola karnego, na wysokości narożnika, zdecydował się boczny obrońca Rudy. Uderzona lewą nogą piłka zapewne także dzięki podmuchowi wiatru nabrała zadziwiającej rotacji, kompletnie zdezorientowała Pietera Schrijversa i wpadła do siatki! – Kilka goli w życiu strzeliłem, wykorzystując warunki atmosferyczne. Poza tym bramkarz miał prawo spodziewać się dośrodkowania – opowiada obrońca. Przez chwilę było cudownie.

To był przesympatyczny obrazek – zachwycony Rudy biegnie na polską połowę, wymachując rękami, a za nim pędzi Zbigniew Boniek, ciągnie go za ramię, przewraca na

plecy, też wyklada się na murawie i wyściskuje kolegę niczym czuły kochanek.

– No tak, ze Zbyszkiem mieliśmy fajny kontakt. On zawsze się wyróżniał. Nie mówię, że się wywyższał, ale był inny. Kiedy jechaliśmy za granicę i mieliśmy czas, żeby połączyć po marketach, kupić jakieś praktyczne rzeczy do domu, Zbyszek szedł do ekskluzywnego sklepu, kupował marynarkę za ileś tam dolarów, potem zamawiał kawę, siadał przy stoliku i odpoczywał. Nie biegał po sklepach. Tym zajmowali się inni – śmieje się Rudy. I zwraca uwagę na jeszcze jeden fakt. – Z oczywistym szacunkiem dla jego późniejszej piłkarskiej klasy i sławy niech nie zapomina, że przy mnie debiutował w kadrze U-23 – zaznacza, przypominając szczegóły wyprawy do Chaskowa. – W 1975 roku graliśmy tam z Bułgarią ostatni mecz grupowy. Straciliśmy jedyne goła tuż przed końcowym gwizdkiem i to rywale awansowali do ćwierćfinału.

Pięć lat później na mistrzostwach Europy nasi też nie wystąpili, bo w Amsterdamie w drugiej połowie Holendrzy wyrównali. – Pokarał nas przyszły trener Schalke, Huub Stevens – przypomina lewy obrońca polskiej drużyny. W „bułgarskiej” młodzieżówce i w „amsterdamskiej” drużynie grali i Rudy, i Boniek (podobnie jak Paweł Janas i Janusz Sybis), no i obie nasze ekipy prowadził Ryszard Kulesza. Wszyscy mieli czego żałować. Na otarcie łez Rudemu pozostało indywidualne wyróżnienie. Wygrał plebiscyty „Piłki Nożnej” i „Sportu” na piłkarza 1979 roku. Pojawiały się głosy, że nie miałby na to szans, gdyby Boniek, Antoni Szymanowski, Grzegorz Lato i Stanisław Terlecki nie podpadli władzy pamiętnym „szczekaniem” na dziennikarzy przy okazji podróży na mecz

właśnie z Holandią. W związku z tym żaden z nich podobno nie mógł być w takim plebiscycie najlepszy, władza nie pozwoliła. Nie zmienia to jednak faktu, że Wojciechowi Rudemu – jako pierwszemu obrońcy w historii – przypadło wyróżnienie, na które ciężko cały rok pracował, a mecz z Holandią pokazał, że na taki honor zwyczajnie zasłużył.

Do centralnego szkolenia trafił szybko jako obiecujący piłkarz Zagłębia Sosnowiec, choć akurat w piłkę uczył się grać w Gwardii Katowice.

– Był międzynarodowy turniej przyjaźni zespołów młodzieżowych, jak to często w tamtych czasach. Występowały w nim dwie nasze drużyny, w jednej zabrakło obrońcy. Zagrałem ja i już zostałem. Przeszedłem szlak od juniorów, przez młodzieżówkę Andrzeja Strejlaua, dorosłą kadrę Kazimierza Górskiego, Jacka Gmocha, Ryszarda Kuleszy, aż po zespół Antoniego Piechniczka – podkreśla Rudy.

Jeśli po wypadku pod Inowrocławiem mógł uznać, że dostał drugie życie, to jako piłkarz swoją szansę później dobrze wykorzystał. Był na turnieju olimpijskim w Montrealu, potem został ważnym człowiekiem w ekipie Gmocha, walczącej o awans do argentyńskiego mundialu. I cały czas konsekwentnie budował pozycję legendy Zagłębia. Skoro kiedyś do niego trafił, pozostawał mu wierny, choć w Polsce mógł zmienić klub, i to kilka razy. – Byłem jedną nogą w Śląsku Wrocław, jedną nogą w Legii, prawie dwiema w GKS Katowice. A trener Andrzej Gajewski, który prowadził mnie jeszcze w Gwardii Katowice,

a potem budował fundamenty mocnej Stali Mielec, po ligowym meczu z Zagłębiem też gorąco zachęcał, żebym wsiadał z jego drużyną do autokaru, a już w Mielcu ustalimy sobie szczegóły kontraktu. Wszystkim jednak odmawiałem, dobrze mi było w Sosnowcu – przyznaje.

A zagranica? – Gdy był przepis, że o wyjazd można się było starać po osiągnięciu 28 lat, limit podnieśli do 30. A gdy miałem już 30, wprowadzono stan wojenny – tłumaczy Rudy. Wreszcie udało mu się wyjechać do Finlandii. W Kuopion Palloseura spędził dwa lata. To była drużyna polskich medalistów olimpijskich, bo grał w niej też mistrz z Monachium Jerzy Kraska. Trenerem był Bogusław Hajdas.

W Zagłębiu występował oczywiście m.in. z Włodzimierzem Mazurem i Zdzisławem Kostrzewą, ale gdy wchodził do drużyny, został młodszym kolegą takich pomnikowych postaci, jak Józef Gałeczka i Andrzej Jarosik. – Byłem z rezerwami na obozie w Bukownie, przyjechała do nas pierwsza drużyna zagrać sparing. Po meczu trener Ferenc Farsang mówi, żebym się szybko pakował. Młody byłem, przestraszyłem się. „Ale dlaczego?! Nic złego nie zrobiłem” – mówiłem. „Zabieram cię do pierwszej drużyny” – usłyszałem od trenera. Zaopiekował się mną Jarosik. Wiedział, że potrzebuję wsparcia i on mi je okazywał. To był wrażliwy facet, czasami lubił się wyłączyć, być sam, i wszyscy potrafili to uszanować – przypomina pan Wojciech.

Z kolei Gałeczka potem został trenerem Zagłębia, a więc też Rudego. – Były sytuacje,

kiedy chcieliśmy wyjść do jakiegoś lokalu. Żadna balanga, tylko normalna potańcówka. Gdy Gałeczka się nie zgadzał, pytałem go: „Trenerze, a pan pamięta, jak dawniej chodziliśmy na tańce?”. „Dobra, dobra. Nie gadaj przy drużynie”. Próbował mnie wtedy szybko uciszyć, żebym przypadkiem nie powiedział za wiele – śmieje się Rudy, zaznaczając, że generalnie Gałeczka to fajny, otwarty człowiek.

– Miałem szczęście, że trafiałem na ciekawych ludzi, którzy przy okazji umieli dobrze grać w piłkę. Potem różnie w życiu bywało, ale chcę patrzeć do przodu. Afera korupcyjna? O wielu sprawach nawet nie miałem pojęcia, zapłaciłem za to, że byłem dyrektorem. Na mecze reprezentacji nie jeżdżę, na Zagłębie też nie. Ale śledzę, piłka jest moją pasją. I może powoli będę się zbliżał do współpracy z ludźmi, którzy tworzyli jego historię...

Urodzony: 23 października 1952 roku w Katowicach

Pozycja na boisku: obrońca

Reprezentacja Polski: 39 meczów, 1 gol

Srebrny medalista igrzysk olimpijskich 1976,
uczestnik mundialu 1978

Kluby: *Gwardia Katowice (1966–70), Zagłębie Sosnowiec (1970–83 i 1984–85; 275 meczów, 13 goli), Kuopion Palloseura/FIN (1983–84; 10 meczów, 4 gole)*

Zdobywca Pucharu Polski (1977, 1978)

Na poważnie zacząłem trenować jako piętnastolatek, a już siedem lat później zagrałem w reprezentacji Polski. Dzisiaj taka historia nie mogłaby się wydarzyć – mówi Jacek Bayer, legenda Jagiellonii Białystok, choć w ekstraklasie grał dla niej tylko trzy sezony.

Czas akcji: niedzielne popołudnie 9 sierpnia 1987 roku. Miejsce: stadion Gwardii Białystok. Wydarzenie: pierwszy mecz Jagiellonii w ekstraklasie, z Widzewem Łódź. – Byliśmy skoszarowani już dzień wcześniej w hotelu na obrzeżach Białegostoku. Jechaliśmy na mecz w eskorcie milicji, a na ulicach pustki, cisza, jakby miasto wymarło. Gdy dotarliśmy do ulicy Ciołkowskiego, skąd do stadionu było jeszcze parę kilometrów, zobaczyłem ciągnący się sznur samochodów. Wtedy tak naprawdę pojąłem, co się święci. Trybuny były napakowane do granic wytrzymałości. Żadnego skrawka wolnej przestrzeni, morze ludzkich głów! To był stadion w starym, gierkowskim stylu, który kiedyś powstał na dożynki. Po żuźlowej bieżni sunęła dorożka, a w niej miss Podlasia, jeśli dobrze pamiętam, pani Iwona, i inne dziewczyny, dzisiaj powiedzielibyśmy, że cheerleaderki – opowiada Jacek Bayer, najlepszy strzelec tamtej Jagiellonii.

Na pierwszy mecz w ekstraklasie przyszło ponad 35 tysięcy kibiców. Tego rekordu

frekwencji na sportowej imprezie w Białymstoku pewnie już nigdy nie uda się poprawić. – Graliśmy przy wielkiej publice już w drugiej lidze. Bywało 20 tysięcy, nawet trochę więcej, ale tym razem liczba ludzi, którzy chcieli obejrzeć nasz mecz, przeszła moje wyobrażenia. No to czy należy się dziwić, że i tak duże już napięcie nagle jeszcze bardziej skoczyło? Dla nas, chłopaków z Białegostoku i okolic, to był najważniejszy mecz w życiu – dodaje Bayer.

Akurat jemu nie musiały się wtedy trząść łydki, bo w dużej piłce, na oczach milionów Polaków siedzących przed telewizorami, został przetestowany trochę wcześniej. Grał w drugiej lidze, z entuzjazmem strzelając gole dla walczącej o awans Jagi, gdy odezwał się selekcjoner Wojciech Łazarek. Powołał go do kadry narodowej przed gdańskim meczem z Cyprem w kwalifikacjach do mistrzostw Europy. Cypryjczycy byli najsłabsi w grupie, więc tym bardziej należało ich ograć, bezwarunkowo i przykładowo.

– Na zgrupowanie jechałem niesamowicie podekscytowany, bo głowę wypełniała mi myśl, że będę trenował z wielkimi piłkarzami, których znałem z telewizji. Włodzimierz Smolarek, Dariusz Dziekanowski, Jan Urban, Jan Furtok, Mirosław Okoński, a wśród nich ja, chłopak z Białegostoku, który nigdy nie zagrał nawet w ekstraklasie – wspomina napastnik Jagiellonii.

I pewnie obejrzałby cały mecz z ławki, gdyby gra układała się po myśli Polaków. Tymczasem na stadionie przy ulicy Traugutta Biało-Czerwoni walili głową w mur.

Cypryjczycy wszystkie siły skupiali na rozbijaniu akcji Polaków i czynili to skutecznie. Nasi zaczęli się denerwować. Co z tego, że byli znacznie lepsi, czuli to na każdym kroku, skoro nie umieli zrobić rzeczy niby oczywistej – w jakikolwiek sposób wepchnąć piłki do cypryjskiej bramki.

Ta bezsilność zaczynała paraliżować. W przerwie Łazarek podjął zaskakującą decyzję – za Furtoka wchodzi drugoligowy debiutant. I będzie grał z przodu ze Smolarkiem i Okońskim, wspierany z tyłu i z boków przez Jana Karasia, Jerzego Wijasa oraz wspomnianych już Urbana i Dziekanowskiego. Drugoligowiec nie miał czasu myśleć, w jakim nagle znalazł się towarzystwie, choć z uwagi na brak doświadczeń miał prawo uznać, że to pewnie sen. Teraz musiał pomóc Polsce w potrzebie. I naprawdę niewiele brakowało, a by to zrobił! Doszedł do piłki w polu karnym, lecz huknął nad poprzeczką. – Zwykle uderzałem z wyczuleniem na precyzję, a nie na siłę. Wtedy nagromadzone emocje, przeogromna chęć zdobycia bramki sprawiły, że kopnąłem za mocno, za nerwowo. Zmarnowałem ważną okazję, choć gdy po latach oglądam ten mecz, widzę, że wcale nie była ona aż tak dobra. Ale trafić mogłem... – wspomina.

Skończyło się na 0:0, a brutalnie zastopowanym Polakom eliminacje w jednej chwili się posypały. Niby wciąż byli w grze, ale jakby ktoś ich odłączył od prądu. Jeśli nie zdołali wygrać u siebie ze słabiutkim Cyprem, jak liczyć, że poradzą sobie z Holandią czy Grecją? I rzeczywiście nie dali rady. Posypała się też reprezentacyjna kariera Bayera, zanim właściwie się zaczęła. Mógł decydować właśnie ten jeden niecelny strzał. – Jeszcze przed

spotkaniem z Cyprem wypełniałem z innymi kadrowiczami wnioski wizowe na późniejszy wylot do Aten, ale powołania na mecz z Grecją już nie dostałem – opowiada.

Na dodatek, począwszy od meczu w Gdańsku, już do końca sezonu jakoś nie umiał się odnaleźć w Jagiellonii. – Walczyliśmy o awans, ale nie strzelałem tak jak wcześniej. Niedawno byłem na starym stadionie Lechii i zdziwiłem się, że jest taki mały, bo wtedy wydawał mi się wielki... – opowiada Bayer.

Wspominany na wstępie mecz z Widzewem odbył się cztery miesiące po wpadce z Cyprem. Bayer, bogatszy o takie doświadczenia, miał poprowadzić Jagiellonię do pierwszego sukcesu w ekstraklasie. To był młody zespół, no i w zasadzie sami swoi. Nasz bohater nawet dziś potrafi wyrecytować skład z tamtego spotkania. – W bramce Mirek Sowiński, przed nim Mariusz Lisowski i Andrzej Kulesza, na prawej obronie Jarek Bartnowski, na lewej Andrzej Ambrożej, choć później często tam grał Antek Cylwik, w pomocy Heniek Mojsa, ale było tam też często miejsce dla Wieśka Romaniuka, dalej Darek Czykier, skrzydła – Darek Bayer i Jarek Michalewicz, a z przodu Jurek Leszczyk, który przyszedł do nas właśnie z Widzewa, no i ja – wymienia niemal jednym tchem.

W 7. minucie było już 1:0! – Dostałem piłkę w środku pola, zagrałem prostopadle do Michalewicza. Wszedł sam na sam, uderzył nieczysto, ale to dobrze, bo piłka odbiła się przed bramkarzem i wpadła do siatki. Była nagroda za tę pierwszą bramkę, chyba pięć

tysięcy złotych. Trafiła do Jarka, ale podzielił się z kolegami – uśmiecha się Bayer. Potem goście wyrównali. Niby remis z mocną drużyną nie można uznać za zły, ale w Białymstoku wszyscy mieli niedosyt, bo była szansa na zwycięstwo.

– Widzewiacy czuli, co im grozi. Przed sezonem przegrali z nami 1:3 na turnieju w Skarżysku-Kamiennej. Wiedzieli, że ambitnie rzucimy im się do gardeł. Ogłosili stan powszechnej mobilizacji. Mirek Myśliński miał wtedy swój ślub, więc po ceremonii mógł tylko przyjąć życzenia i od razu zwinęli go na mecz, niemal sprzed ołtarza. Nie po weselu – w trakcie wesela! Opowiadał mi o tym później, gdy już grałem z nim w Widzewie – wspomina Bayer.

Złożoną z zuchwałych chłopaków Jagę po swojemu podkreślił Janusz Wójcik, wtedy młody i wściekle ambitny trener. Bayera, który wrócił z Gwardii Białystok jako trzecioligowy supersnajper, zaczepny szkoleniowiec kpiąco nazywał królem strzelców z PTTK.

– No nie było przy nim łatwego życia, dokręcał mi śrubę na każdym kroku. Czasem miałem już naprawdę dość. Teraz wiem, że choć stosował dość szorstkie metody, dzięki niemu trafiłem do Jagiellonii i zostałem jej czołowym strzelcem. To on wzmocnił mnie psychicznie do tego stopnia, że wreszcie zacząłem w siebie wierzyć. Spotkaliśmy się w 2017 roku, na 30-lecie tego historycznego awansu do ekstraklasy, i bardzo sympatycznie pogadaliśmy, wspominkowo. Ten trener wyciągnął nas z piłkarskiej Polski B –

ocenia Bayer. Kilka miesięcy po jubileuszu Wójcik zmarł.

W Jadze Bayer pograł trzy sezony. Odszedł do Widzewa po pamiętnym finale Pucharu Polski z Legią Warszawa, który jego zespół przegrał w Olsztynie 2:5. – Pierwszą cichą propozycję z Łodzi miałem już w drugiej lidze. Wtedy się nie zdecydowałem. A to, że odszedłem do Widzewa, było „zasługą” naszych działaczy, którzy wcale o moje pozostanie nie zabiegali. Zakończyliśmy sezon z finałem Pucharu Polski i nie umiałem pojąć, dlaczego ja i inni koledzy jesteśmy wręcz wypychani z klubu. Poszedłem więc tam, gdzie mnie chcieli... – wspomina napastnik.

W Widzewie nie znalazł szczęścia, bo z utytułowanym klubem spadł z ekstraklasy. Indywidualny wynik, mimo pękniętej kości strzałkowej przed rundą rewanżową, miał jednak przyzwoity – w 20 ligowych spotkaniach zdobył dziewięć bramek, z czego pięć w dwumeczu z Górnikiem Zabrze. – Aż tyle razy po moich strzałach piłkę z bramki wyciągał Józef Wandzik. A wcześniej, gdy grałem w Jadze, strzeliłem mu dwa gole. To zdecydowanie mój ulubiony bramkarz – ze śmiechem mówi Bayer.

Miał jeszcze epizod w drugoligowej Sierce, gdzie piłki ze skrzydeł dogrywali mu młodzi gniewni – Cezary Kucharski i Andrzej Kobylański. W Tarnobrzegu nie czuł się jednak dobrze. Postanowił odejść. Po rocznej karencji wrócił do Jagiellonii i tam, już w drugiej lidze, zakończył profesjonalną karierę.

– Co tu dużo gadać, najlepiej czułem się wtedy, gdy grałem w Białymstoku. To było moje miejsce – mocno podkreśla pierwszy reprezentant Polski z Jagiellonii.

Urodzony: 29 grudnia 1964 roku w Białymstoku

Pozycja na boisku: napastnik

Reprezentacja Polski: 1 mecz, 0 goli

Kluby: *Jagiellonia Białystok (1982–83, 1985–89, 1993–94; 54 mecze, 20 goli), Gwardia Białystok (1984–85), Widzew Łódź (1989–91; 20 meczów, 9 goli), Siarka Tarnobrzeg (1991–92), KP Wasilków (1994–97), Hetman Białystok (1997–98), STP Adidas Suwałki (1998–99), Sparta Szepietowo (1999–2000), Piast Białystok (2000–04)*

Mówisz: Henryk Apostel, myślisz: znany trener i selekcjoner reprezentacji Polski... A przecież wcześniej był cenionym ofensywnym piłkarzem, mistrzem kraju z Polonią Bytom i Legią Warszawa.

Już dawno usunął się w cień. Nie trenuje, nie doradza, nie komentuje. Kiedyś był wziętym szkoleniowcem ze srebrnymi medalami reprezentacji juniorów, ciekawymi meczami w europejskich pucharach, mistrzostwem Polski (z Lechem), Pucharem Polski (ze Śląskiem), awansem do ekstraklasy (z Wisłą Kraków) i z prowadzeniem reprezentacji kraju. To wszystko wcześniej osiągnął również jako zawodnik, bo nawet w kadrze narodowej wystąpił. Co prawda tylko raz, z Marokiem (1:1), w meczu granym rezerwowym składem, no ale w papierach „1 A” stoi jak wół.

Wszystko zaczęło się w Bytomiu. Tam w cieniu szybów kopalni „Rozbark” wychował się Henryk Apostel. W klubie o tej samej nazwie uczył się grać w piłkę, lecz znanym piłkarzem stał się w barwach Polonii, z którą zdobył mistrzostwo Polski.

– Zaczniemy od tego, że nie wiem, czy do Polonii bym trafił, gdyby nie Józef Słonecki – zaznacza Apostel. Słonecki był bardzo ważną osobą w bytomskim sporcie. To lwowiak i przedwojenny piłkarz Pogoni Lwów oraz reprezentacji Polski. W jego przypadku warto też zaznaczyć, że namówiony w 1925 roku przez klubowego trenera, Austriaka Karla Fishera, wyjechał do Włoch. Tam podpisał kontrakt z Ederą Triest i stał się (obok bramkarza Emila Görlitza) pierwszym polskim zawodowym futbolistą.

Otóż właśnie Słonecki już na piłkarskiej emeryturze chodził po małych śląskich klubach, obserwował mecze, podglądał treningi i oceniał, który z młodych chłopaków nadawałby się do Polonii. Dzisiaj nazwalibyśmy go skautem. – Po którymś spotkaniu podszedł do mnie i mówi: „Wiesz co, ja widzę, że ty będziesz grał w Polonii” – wspomina Apostel.

To było ogromne wyróżnienie, bo każdy w Bytomiu marzył, żeby zostać piłkarzem tego klubu. – Lojalnie powiedziałem w Rozbarku, że się przenoszę. Zacząłem jeździć na Polonię. A co tam jeździć, czym jeździć? Ja na Polonię chodziłem. Wtedy wszędzie się chodziło – uściśla pan Henryk.

Miał 19 lat i był zachwycony, bo trafił do świetnej pierwszoligowej drużyny, z dużymi nazwiskami. Do dzisiaj potrafi wymienić całą jedenastkę plus rezerwowych. Ech, te bytomskie gwiazdy – Edward Szymkowiak, Ryszard Grzegorzczak, Kazimierz Trampisz, Henryk Kempny, Jan Liberda... – Do starszych mówiło się na pan. Nie pozwoliłbym sobie wtedy powiedzieć do kogoś z nich na ty. Nie wypadało. Tylko na boisku te zasady nie obowiązywały – tłumaczy Apostel.

Z Polonią zdobył mistrza, ale pograł tylko dwa lata. Upomniało się o niego wojsko. – Dostałem zawiadomienie do domu, że mam się zgłosić do Warszawy, na Łazienkowską 3. Był 1962 rok. Polonia chciała mnie zatrzymać, ale nie miała szans. Armia wzywa, nie ma zmiłuj. Zameldowałem się w stolicy i od razu wysłali mnie do jednostki 2420 przy Czerniakowskiej. Normalne wojskowe koszary, żadnej taryfy ulgowej. Aż żałowałem, że tak łatwo się zgłosiłem. Pierwsze tygodnie były ciężkie. Funkcjonowałem jak każdy rekrut. Musztra, dyscyplina, ćwiczenia. Codziennie przyjeżdżał żołnierz z Legii, żeby zabrać mnie na trening. Wchodziłem do szatni w mundurze, przebierałem się, wychodziłem na boisko, poznawałem „Kicię” Brychczego i inne gwiazdy, trenowałem, kończyłem zajęcia, zakładałem mundur i z powrotem do surowego koszarowego życia – opowiada Apostel.

W końcu zlitował się nad nim Kazimierz Górski, który prowadził drużynę. Powiedział komu trzeba: „Koniec, niech kolega Apostel składa przysięgę i skupi się na grze w piłkę”.

Z Legią też zdobył mistrzostwo i pokazał się w Europie. W walce z Galatasaray Sztambuł o ćwierćfinał Pucharu Zdobywców Pucharów do rozstrzygnięcia trzeba było trzeciego meczu na neutralnym terenie. W Bukareszcie wygrała Legia 1:0 po голу Apostela. Drużynę prowadził wtedy Virgil Popescu, ale Apostel w ocenie trenerów Legii nie jest wyjątkowy: najważniejszy był Czech Jaroslav Vejvoda. Od niego sam nauczył się najwięcej. – To był szkoleniowiec z prawdziwego zdarzenia, najwyższej klasy. Ustawiał nas na boisku, jak

chciał i robił to dobrze – zapewnia napastnik Legii.

Przy okazji opowiada charakterystyczną anegdotę. – Kiedyś pojawił się na zajęciach wysoki rangą oficer, wysłannik z samego MON. Vejevoda zaordynował nam akurat ciężki trening interwałowy, więc po niecałej godzinie zakończył zajęcia i pozwolił iść do szatni. Na to odzywa się ten strasznie ważny pułkownik, któremu nikt nie ośmieliłby się sprzeciwić. Nikt z wyjątkiem Vejevody. „Panie trenerze, a co to, koniec treningu? Po 50 minutach?! Oni muszą więcej trenować!” – w tonie rozkazu krzyknął pułkownik. Ale Vejevoda wcale się nie spieszył. „Pan mi przeszkadza. Jeśli pan chce, to mogę panu oddać gwizdek i od dzisiaj pan będzie prowadził treningi. To jedna możliwość. A druga jest taka, że natychmiast opuści pan boisko i dopóki ja jestem trenerem, to pan tu nie wejdzie i nie będzie nic mówił. Jeśli jednak jest z tym jakiś problem, mogę o tym porozmawiać z pana przełożonymi. Krótko mówiąc: nie chcę tu pana więcej widzieć”. I pan pułkownik rzeczywiście już nigdy na treningu się nie pojawił. Co znaczą charyzma i autorytet trenera...

Apostel grywał w ataku, lecz nie był łowcą goli. Mimo to zdarzyło mu się ustrzelić dwa hat tricki, w dwóch kolejnych meczach ze Śląskiem Wrocław. W jednym sezonie! I na koniec kariery wylądował właśnie w Śląsku, wówczas drugoligowym. – To było już po poważnej kontuzji. Legię prowadził Andrzej Zientara. Mówi mi: „Nie widzę cię w tym zespole. Nie wiadomo, co będzie z twoją formą, dlatego mam propozycję. Do nas

przychodzą z Wrocławia Janek Tomaszewski i Leszek Ćmikiewicz, a ty i Zyga Kalinowski idziecie do Śląska”. Zgodziłem się, skoro i tak miałem nie grać.

Trenerem Śląska był Słowak Josef Stanko, którego nikt nie považał. – Nie wiem, jak on się dostał do klubu. Kiedy robił odprawę, myśmy się śmiali – przyznaje Apostel. Dopiero gdy zespół przejął jeden z dotychczasowych piłkarzy, Władysław Żmuda I, Śląskowi udało się awansować do elity. Apostel już w niej nie wystąpił, bo po raz drugi poleciał grać w Orłach Chicago.

Wróćmy jednak do Legii, której nie opuścił nawet po zakończeniu służby wojskowej, choć powrót do Bytomia proponował mu dawny klubowy kolega. – Rozmawiał ze mną przed meczem finałowym Pucharu Polski, w którym na Stadionie Dziesięciolecia Legia grała właśnie z Polonią. Kończyłem służbę wojskową, więc Liberda mówi: „Najwyższy czas, żebyś do nas wrócił”. Chcieli mnie, ale jakoś nie dysponowali gotówką. Powiedzieli, że jak będą mieli pieniądze, to jestem pierwszy w kolejności. Widocznie już nigdy nie mieli – uśmiecha się Apostel, który w tamtym finale PP strzelił dwa gole i Legia wygrała 2:1 po dogrywce.

Jego przywiązanie do Legii wcale nie wynikało z wielkiej namiętności. Oj, trudny to był związek...

– Pojechaliśmy do Szklarskiej Poręby na zimowe zgrupowanie. Zachorowałem, dostałem bardzo ostrego zapalenia gardła. Lekarz pozwolił mi wrócić do domu, żeby się wykurować. Legia jechała do Bułgarii, a ja

w osiem czy dziewięć dni miałem wyzdrowieć i dołączyć do drużyny już po powrocie do Warszawy. Po tygodniu nie czułem się najlepiej, więc poszedłem w Bytomiu do lekarza i dostałem jeszcze trzy dni zwolnienia. Kiedy przyjechałem do Warszawy, nie przywitani mnie z kwiatami. Trener Longin Janeczek był oburzony, że opóźniłem powrót, ale prezes klubu generał Zygmunt Duszyński, wiceminister obrony narodowej, poszedł dalej. Zostałem odsunięty od zespołu i wysłany do Suwałk, do karnej jednostki. Siedziałem tam dwa miesiące. Legii w lidze szło niespecjalnie. Do Janeczka przyszli „Kici” z Jackiem Gmochem i przekonali, żeby mnie przywrócono – relacjonuje Apostel.

Zaczął grać, ale sprawa miała dalszy ciąg. – Nie było mi wtedy przyjemnie. Trudno czuć sympatię do ludzi, którzy zamiast na boisko wysyłają cię do kompanii karnej. Kończyłem już wojsko, myślę sobie: odchodzę, koniec. Ale od oficerów słyszę, żebym został w Legii. Pomyślałem: „Mam zostać? Po tym, jak mnie potraktowano? Dziękuję za taką ofertę”.

Generał Duszyński chyba jednak nie lubił, gdy ktoś mu odmawia. „Nie chcesz, diable, u nas grać? No to ja ci załatwię przedłużenie służby”. I załatwił. Zostałem przeniesiony do Marynarki Wojennej, a tam się służyło trzy lata. Na szczęście to była formalna decyzja, bo z marynarką nie miałem nic wspólnego – zaznacza Apostel.

Dzisiaj przyznaje, że w Legii generalnie przeżył wspaniały czas, wiele się nauczył, dzięki temu został później dobrym trenerem. Ale to już temat na inną długą opowieść.

Urodzony: 29 stycznia 1941 roku w Bytomiu

Pozycja na boisku: napastnik

Reprezentacja: 1 mecz, 0 goli

Kluby: *Rozbark Bytom (1950–59), Polonia Bytom (1959–62;*

44 mecze, 13 goli), Legia Warszawa (1962–68 i 1970; 136 meczów, 23 gole), Orły Chicago/USA (1969, 1973–74 i 1976), Śląsk Wrocław (1971–72), Polonia Warszawa (1974)

Mistrz Polski (1962, 1969), zdobywca Pucharu Polski (1964, 1966)

„Teraz to ja nie gram” – niepozorna deklaracja zaszufładowała Andrzeja Jarosika na całe piłkarskie życie. Odmówił wejścia na boisko w meczu ze Związkiem Radzieckim i to Kazimierzowi Górskiemu! Zdziałało jak klątwa rzucona na samego siebie.

Ze Związkiem Radzieckim Polacy zagraли w meczu kluczowym w walce o awans do finału olimpijskiego w Monachium w 1972 roku. To był wyjątkowy dzień w dziejach olimpiizmu. Na teren wioski przedostali się palestyńscy terroryści, zabijali izraelskich sportowców. Nikt wtedy nie wiedział, w jakim kierunku potoczą się wypadki, czy nie trzeba będzie natychmiast zakończyć igrzysk.

Tego dnia zagraли tylko piłkarze. Gdy wreszcie zaczęło się spotkanie w Augsburgu, okazało się, że Sowieci są lepsi. Po голу Olega Błochina prowadzili 1:0. Nasz zespół dopiero w drugiej połowie opanował sytuację i powoli, ale systematycznie spychał rywali na ich połowę.

Kiedy do końca spotkania pozostawało niewiele ponad 20 minut, Górski uznał, że trzeba wzmocnić siłę ognia. Za defensywnego gracza (Zbigniewa Guta) chciał wprowadzić

napastnika potrafiącego współpracować z Robertem Gadochą i Włodzimierzem Lubańskim. „Szykuj się, za chwilę wchodzisz!” – rzucił krótko do Andrzeja Jarosika. Ale ten tylko pokręcił głową i wycedził słynne „Teraz to ja nie gram”. Górski podobno był tak zaskoczony, że w pierwszej chwili nie zareagował na skandaliczną niesubordynację piłkarza. Musiał trochę ochłonąć, ale w końcu odpowiedział. Redaktor Stefan Szczepłek na łamach „Rzeczpospolitej” napisał kiedyś, że były to słowa wyjątkowo dosadne, szczególnie jak na człowieka, który bardzo rzadko bluzgał: „A ja, k..., skończę z turystami” – miał syknąć w kierunku Jarosika wzburzony trener. Na boisko wszedł Zygfryd Szoltyś i odwrócił losy meczu. Trzy minuty przed końcowym gwizdkiem zdobył bramkę na 2:1. W zwycięskim finale z Węgrami (2:1) Polska zagrała już bez Jarosika nawet na ławce. Selekcjoner spełnił obietnicę. W dniu finału rano „turysta” poleciał do kraju. Do kadry narodowej już nigdy nie dostał powołania.

45 lat temu Jarosik wyjechał do Francji i dopóki jeszcze grał w piłkę, wiadomo było, że żyje i ma się nieźle. – Poradził sobie w Strasbourgu, strzelił tam kilka goli. Potem już nigdy o nim nie słyszałem. Zupełnie nie wiem, co się z nim dzieje – przyznaje Tadeusz Fogiel, były piłkarski menedżer i francuski korespondent „Przeglądu Sportowego”. Podobnie mówią dawni koledzy Jarosika z boiska, również ci, którzy jak on na stałe osiedli we Francji.

W paru meczach rzeczywiście potrafił błysnąć. Strzelił gola jugosłowiańskiemu bramkarzowi Iliji Panteliciowi w starciu

z Paris Saint-Germain (1:1), trafił do siatki zresztą już w debiucie, w „polskiej” potyczce z RC Lens (2:1). W drużynie rywala zagrały dawne gwiazdy śląskich klubów – Ryszard Grzegorzczak z Polonii Bytom i Eugeniusz Faber z Ruchu Chorzów.

Na koniec Jarosik występował już na zapleczu francuskiej elity, w SC Toulon. Tam u jego boku piłkarską karierę zaczynał Jean Tigana. Polak, grając w tym klubie, złamał nogę. Wtedy usunął się w cień, a ściślej: przepadł jak kamień w wodę. W Zagłębiu Sosnowiec przyznają, że chętnie by go do siebie zaprosili na jakiś mecz, zorganizowali spotkanie z drużyną, z kibicami, ale nikt nie ma z nim kontaktu. I tak już od wielu lat.

W zgodnej opinii Jarosik był najlepszym piłkarzem w historii sosnowieckiego klubu. Trzy razy zdobywał z nim wicemistrzostwo Polski, dwa razy zostawał królem strzelców ligi, w ekstraklasie zdobył w sumie 113 goli, co daje mu pierwsze miejsce wśród graczy Zagłębia i 15. w Polsce.

– Uwielbiałem patrzeć na jego grę, bo to był piłkarski zabójca. Na boisku zawsze myślał o tym, żeby strzelić gola. To go bez reszty pochłaniało od pierwszej do ostatniej minuty – wspomina Antoni Lula. Właśnie Jarosik wprowadzał go do drużyny seniorów Zagłębia. Razem w 1972 roku zdobywali drugie miejsce w lidze, ustępując tylko Górnikowi Zabrze. – Andrzej był bardzo skryty, typ odludka, mało kto gościł u niego w domu. Na przykład z Włodkiem Mazurem spędzaliśmy sporo czasu z rodzinami. Z Andrzejem było to niemożliwe – tłumaczy Lula, choć on z Jarosikiem i tak złapał niezły kontakt. – Nie miał samochodu, ja też nie. Do klubu chodził piechotą, akurat koło mojego

bloku. Umawialiśmy się w tym samym miejscu i dalej szliśmy razem, półtora kilometra w jedną stronę. Zawsze były pogaduchy starszego z młodszym. To znaczy on mówił, a ja słuchałem – dodaje.

W Zagłębiu Jarosik był wtedy pomnikową postacią, wszyscy się z nim liczyli, a co dopiero „młody”. – Gdyby nad klubem nieformalnej opieki nie roztaczał sekretarz Edward Gierek, na pewno najlepszego piłkarza podebrałaby nam Legia albo ktokolwiek inny – przypuszcza Lula. A tak Jarosika można było w drodze wyjątku... na chwilę wypożyczyć, co dwukrotnie udało się Górnikowi Zabrze. Wystąpił gościnnie w barwach zabrzańskiego klubu w serii meczów w Ameryce Południowej w 1968 roku.

– Potem zachwycona prasa pisała, że Jarosik ma włosy jak Szopen i gra jak Szopen – wspomina Lula. Jarosik, za zgodą UEFA, zagrał też w Górniku jeden mecz w Pucharze Intertoto. W lipcu 1974 osłabieni brakiem kilku podstawowych zawodników zabrzanie pokonali duński zespół Hvidovre IF 3:0, a na stadionie w Częstochowie błyszczał gracz awaryjnie wypożyczony z Zagłębia Sosnowiec oraz Andrzej Szarmach. Obaj strzelili po голу, trzeciego dorzucił Stanisław Gzil.

To były ostatnie miesiące Jarosika w Polsce. Wreszcie wyjechał do Francji i nie było to rozstanie w przyjaźni, bo wcześniej miał podobno ofertę z Tottenhamu, ale klub nie chciał go puścić.

Kontuzja, która przedwcześnie zakończyła jego karierę, tylko pogłębiła rozgoryczenie.

Odciał się nie tylko od Polski, ale też od futbolu. Ze światem, w którym do tej pory żył, nie chciał mieć nic wspólnego. – Nawet jeśli udawało mi się dotrzeć do jego rodziny, reakcja była ciągle ta sama: „Andrzej Jarosik nie będzie rozmawiał, bo nie chce o sobie opowiadać” – mówi Wojciech Todur, dziennikarz „Gazety Wyborczej”, który wiele lat temu napisał o nim ciekawy reportaż.

Doszło do tego, że w tej chwili nie ma stuprocentowej pewności, czy najlepszy piłkarz Zagłębia żyje. – W Sosnowcu mieszka jego szwagier, więc może by nam jednak powiedział, gdyby coś złego stało się z Andrzejem – przypuszcza Lula. On też szukał kontaktu z Jarosikiem. – Prosiłem o pomoc byłych kolegów z boiska, którzy grali we Francji – Olka Krasińskiego, Gienka Wiencierza, Tadzia Narbutowicza. Żaden z nich niczego się nie dowiedział. Człowieka, którego podziwiałem w młodości i który wprowadzał mnie do szatni Zagłębia, nie widziałem już od ponad 40 lat. Nikt z nas nie ma pojęcia, gdzie jest, co robi, jak się czuje – mówi Lula.

Kiedy Jarosik wrócił z igrzysk w Monachium, nikt w szatni Zagłębia nie odważył się go nawet zapytać o tę sytuację z meczu ze Związkiem Radzieckim. Kazimierz Górski we wspomnieniowej książce „Z ławki trenera”, wydanej trzy lata po igrzyskach, nie zarzucił Jarosikowi buntu, ale wcale mu tym nie pomógł, bo zasugerował coś, co bardziej może zabolęć piłkarza. „Jarosik zawahał się, nie był pewny, czy udźwignie ciężar odpowiedzialności w takiej chwili” – ocenił trener.

– Nie wierzę, że taki był powód odmowy wyjścia na boisko. Jak znałem Andrzeja, musiało chodzić o to, że wcześniej były inne ustalenia. Pewnie miał grać na igrzyskach w podstawowym składzie albo przynajmniej w tym meczu. No i zareagował emocjonalnie, kiedy okazało się, że trener potrzebuje go dopiero wtedy, gdy już wszystko się wali. Nie tłumaczę go, ale próbuję zrozumieć. Mówimy o naprawdę świetnym piłkarzu. Na turniej jechał jako gwiazda ligi, dwukrotny król strzelców. To czego miałby się bać? – argumentuje kolega z Zagłębia.

Urodzony: 26 listopada 1944 roku w Sosnowcu

Pozycja na boisku: napastnik

Reprezentacja Polski: 25 meczów, 11 goli

Złoty medalista igrzysk olimpijskich 1972

Kluby: *Zagłębie Sosnowiec (1958–74; 265 meczów, 113 goli),*

Racing Strasbourg/FRA (1975–76; 17 meczów, 3 gole),

SC Toulon/FRA (1976–77)

Obronił trzy karne w jednym meczu, zdobył pięć mistrzostw Polski w trzech różnych klubach, błyszczał w legendarnym zwycięskim meczu z ZSRR, podobnie w finale Pucharu Rappana czy w finale Pucharu Ameryki... Nie było lepszego od Edwarda Szymkowiaka!

Dla Ruchu Chorzów, Legii i Polonii Bytom to wielka legenda. Ci, którzy na żywo widzieli go w akcji, niewątpliwie są szczęściarzami. Był bramkarzem kompletnym, z niesłychanym talentem do intuicyjnego przewidywania zagrań rywali. Do tego dokładał wielką sprawność i refleks. Ponad trzynaście lat występował w reprezentacji Polski. A powinien jeszcze dłużej... No i szkoda, że całe życie grał tylko w polskich klubach.

– Ojciec dostawał wiele zagranicznych ofert, o czym pisały niemieckie gazety, ale on nie chciał nawet o nich myśleć, bo i tak nie dostałby zgody na wyjazd. Dzisiaj byłby bramkarzem wielkiego europejskiego klubu – mówi Marek Szymkowiak, jedyne dziecko reprezentacyjnego bramkarza. Od urodzenia żyje w Bytomiu, przy ulicy Solskiego, w mieszkaniu odziedziczonym po rodzicach. Stąd przez park miejski jest kwadrans spacerkiem na podupadły od lat stadion imienia Edwarda Szymkowiaka.

Ernest Pohl, Roman Lentner i Erwin Wilczek w ekstraklasie strzelili w sumie 357 goli. Jednak tego dnia na stadionie Szombierek do siatki nie trafił żaden, mimo że każdy z nich strzelał karnego! Wszystko bronił Szymkowiak. W październiku 1960 roku grająca gościnnie na boisku lokalnego rywala Polonia rozbiła Górnika Zabrze 3:0. W 20. minucie karnego zepsuł Pohl (186 bramek w ekstraklasie), ale sędzia Maciąg nakazał powtórkę, bo jeden z polonistów (Bogusław Widawski) zbyt szybko wbiegł w szesnastkę. Poprawiał Lentner (75 bramek) i efekt był identyczny. 50. minuta – znowu rzut karny (za zagranie ręką pechowego tego dnia Widawskiego) i... trzecia fantastyczna interwencja Szymkowiaka, który wyłapał strzał Wilczka (96 bramek w elicie). Szymkowiakowi można było tylko bić pokłony.

– Uwielbialiśmy go. To był bramkarz ideał. I człowiek też – mówi Waław Kruczkowski, wieloletni działacz Polonii i sędzia piłkarski, rówieśnik Szymkowiaka, rocznik 1932. – Najlepszy golkeeper może i na świecie. Taka prawda – ocenia Władysław Kłoczko, rocznik 1926, całe dekady trener dzieci i młodzieży w bytomskiej Polonii.

W meczu ze Związkiem Radzieckim z 1957 roku (2:1) strzelający dwa gole Gerard Cieślik karcił Lwa Jaszyna, ale przecież wielkim bohaterem okazał się też uwijający się w polskiej bramce Szymkowiak. – Byłem wtedy na Stadionie Śląskim i rozpierała mnie duma, kiedy patrzyłem na fruwającego między

słupkami bramkarza z mojej Polonii. Po ostatnim gwizdku porządkowi nazbierali na trybunach górę worków z pustymi butelkami. Publika miała co oblewać – śmieje się Kruczkowski.

Szymkowiak zemścił się na Ruskich, bo przecież cztery miesiące wcześniej w Moskwie trzy razy wyciągał piłkę z siatki. Ta porażka była gorzka (0:3), ale rewanż nader słodki.

– Wiadomo, jakie nastroje panowały w narodzie. Najprościej można je sprowadzić do hasła: „Bij kacapa!” – mówi syn bramkarza, który zdaje sobie sprawę, że ta spektakularna wygrana dla jego rodziny mogła mieć jeszcze inne znaczenie.

Ojciec Edwarda Szymkowiaka zginął tuż po wybuchu wojny. – W 1938 roku Polska przejęła Zaolzie, a dziadek został komendantem policji w Boguminie. Po agresji niemieckiej mógł zdjąć mundur, nadal żyć z rodziną, ale on chciał walczyć. Ruszył na wschód z nadzieją, że tam będzie można się przegrupować, stawić skuteczny opór. Różne wersje słyszałem na temat jego losów. Również taką, że został pojmany, zapędzony do stodoły i tam spalony wraz z innymi ludźmi. Kto dopuścił się tego bestialstwa? Na pewno nie Niemcy, bo wtedy ich tam jeszcze nie było. Nie ma jednoznacznych dowodów, ale wiele wskazuje, że byli to niestety nasi „przyjaciele” Ukraińcy – opowiada wnuk polskiego żołnierza.

Przyszły bramkarz reprezentacji Polski miał wtedy zaledwie siedem lat. Nic dziwnego, że mecze ze Związkiem Radzieckim miały dla niego ogromny ciężar emocjonalny, a zwycięstwo dało mu wyjątkową radość. – O awansie do finałów MŚ decydowało trzecie

spotkanie w Lipsku, jednak tam już się postarano, żeby wygrał ten, kto miał wygrać. Na trybunach przeważało stacjonujące na terenie NRD ruskie wojsko. Kamanda czuła się jak u siebie w domu, a w naszej drużynie zabrakło ważnego piłkarza. Mojego ojca, który w ligowym meczu z ŁKS złamał rękę – opowiada Marek Szymkowiak.

Związek Radziecki wygrał 2:0 i awansował na mistrzostwa. Absencja Edwarda Szymkowiaka była niepowetowana, bo potrafił błyszczeć przed wielotysięczną publicznością, miał nerwy ze stali. Tak było nie tylko podczas chorzowskiego meczu z ZSRR, ale również w pamiętnym starciu z Santosem na tym samym stadionie albo na otwarciu Camp Nou w Barcelonie, gdzie Polacy zagrali z gospodarzami pod szyldem reprezentacji Warszawy. W tych dwóch ostatnich spotkaniach, rozgrywanych przy stutysięcznej widowni, nasze drużyny przegrywały, lecz Szymkowiak i tak zbierał wysokie noty.

Kochali go kibice reprezentacji, a przez fanów Polonii Bytom był wręcz ubóstwiany. Pierwsze dwa tytuły zdobył dla Ruchu (wtedy występującego jako Unia Chorzów) i może by w nim grał nawet do końca kariery, ale upomniała się o niego armia. A jak wojsko, to oczywiście Legia (wtedy CWKS).

– Koszary, unitarka w GWKS Bielsko-Biała... Opowiadał, że to był dla niego trudny okres. Trafił na mroczne, stalinowskie czasy. W wojsku byli tacy, co go prześladowali. Dobry ligowy bramkarz, więc można się było

na nim wyżyć. Angaż w Legii odczuł jak wybawienie – mówi Marek Szymkowiak.

W stolicy też szybko podbił kibicowskie serca. Czuł się tak dobrze, że po odbębnieniu wojska przedłużył umowę na kolejne dwa lata. W końcu wrócił na Śląsk, ale nie do Chorzowa. – Był już po ślubie, żona w ciąży, ciągnęło ich w stare strony. Zostałem poczęty jeszcze w Warszawie, ale urodziłem się już w Bytomiu – uśmiecha się jednak państwa Szymkowiaków.

No ale dlaczego Bytom, a nie Chorzów? – Dużo ludzi z przedwojennego Lwowa pracowało w stolicy. I oni zaczęli go kusić: „Jeśli już chcesz wracać na Śląsk, to graj w naszej «Polońci». Zbajerowali go, jak to chłopcy ze Lwowa – opowiada syn Szymkowiaka.

Ojciec nigdy tej decyzji nie żałował. Stał się częścią mocnej drużyny i dumnego, tożsamościowego klubu, w którym panowały wręcz rodzinne relacje. – Żeby przekonać go do przyścia do Bytomia, prezes Otton Solewski oddał mu swoje mieszkanie, a sam zamieszkał bliżej klubu – przypomina sobie Władysław Kłoczko.

Inwestycja w Szymkowiaka była piekielnie opłacalna, zwróciła się wielokrotnie. W 1962 roku zdobył z Polonią mistrzostwo Polski. W finałowym barażu bytomianie dwukrotnie pokonali Górnika Zabrze. Najpierw na Stadionie Śląskim było 4:1. – Pamiętam 15 tysięcy kibiców idących piechotą z Bytomia do Chorzowa, bo komunikacja miejska nie dała rady obsłużyć takiego tłumu. Szymkowiak był wielki. Po 20 minutach mogliśmy przegrywać

0:3 i nikt nie miałby cienia pretensji. Ale on wszystko łapał. Wielki bramkarz – powtarza Kłoczko.

A potem był też popis w Pucharze Rappana. W finale Polonia grała z SC Lipsk. Na wyjeździe Szymkowiak nie mógł grać i bytomianie przegrali 0:3. W rewanżu stanął w bramce, Polonia wygrała 5:1 i zgarnęła trofeum.

– Miałem wtedy osiem lat i z dumą patrzyłem z trybun na popisy mojego taty. To są najpiękniejsze wspomnienia – mówi Szymkowiak junior.

Urodzony: 13 marca 1932 roku w Dąbrówce Małej

Zmarł: 28 stycznia 1990 roku w Bytomiu

Pozycja na boisku: bramkarz

Reprezentacja Polski: 53 mecze

Uczestnik igrzysk olimpijskich 1952 i 1960

Kluby: *Ruch Chorzów (1950–52; 24 mecze), Legia Warszawa (1953–56; 85 meczów), Polonia Bytom (1957–69; 245 meczów)*

Mistrz Polski (1951, 1952, 1955, 1956, 1962), zdobywca

Pucharu Polski (1955, 1956)

Kiedy Adam Kensity próbował pokonać z rzutu karnego Toniego Schumachera i z impetem trafił futbolówką w poprzeczkę, jęknęła cała piłkarska Polska. Był zbyt dobrym zawodnikiem, by zmarnować taką szansę...

Tak samo zareagowaliśmy na jego niefortunne zagranie w meczu reprezentacji olimpijskiej z NRD. W niesamowitym zwycięskim starciu z reprezentacją wschodnich Niemiec (2:1), które przedłużało nadzieje na awans do igrzysk olimpijskich w Los Angeles, Kensity zdobył jedną z najpiękniejszych bramek w karierze. Szkoda, że samobójczą.

– Nie ma co gadać, to była efektowna główka. Nawet gdybym bardzo się starał, to nie dałbym rady – z sarkazmem komentuje Kensity. Polacy prowadzili 1:0, ale energowcy atakowali. Mieli rzut wolny, zagrywał Hans-Uwe Pilz. Kensity chciał odbić piłkę, lecz zrobił to tak niefortunnie, że Jacek Kazimierski nie miał szans. I to wszystko w Szczecinie, w którym Kensity mieszkał, na stadionie Pogoni, w której grał. To musiało być bolesne przeżycie. Trener Waldemar Obrębski podjął jedyną słuszną decyzję: rychło zdjął nieszczęśnika z boiska. Spotkanie z NRD skończyło się jednak dobrze, bo zwycięskiego gola strzelił Henryk Miłoszewicz, zresztą kolega Kensego jeszcze z bydgoskich czasów.

Szcześliwego finału nie miał natomiast inny spektakularny mecz na tym samym stadionie, w tym samym 1984 roku, tyle że pięć miesięcy później. O nim Kensy zdecydowanie nie chciałby pamiętać z jednego całkiem istotnego powodu.

Chodzi o rewanż pierwszej rundy Pucharu UEFA z 1. FC Köln. W Niemczech Portowcy przegrali 1:2, choć do przerwy prowadzili po samobójcu Uwe Haasa. Nikła porażka dawała jakieś nadzieje na awans. W Szczecinie trzeba było zagrać uważnie i skutecznie. Wszystko musiało zaskoczyć, pełna koncentracja. Trener Eugeniusz Ksol szykował odważną taktykę, bo nie miał cienia wątpliwości, że można pokonać świetną drużynę z Pierre'em Littbarskim i Klaussem Allofsem. Przebieg spotkania pokazywał, że Polacy rywalom faktycznie nie ustępują. Najpierw etatowy egzekutor Adam Kensy jeszcze przy stanie 0:0 trafił piłką w spojenie słupka z poprzeczką. Do przerwy bez bramek, wciąż wszystko mogło się zdarzyć.

W 50. minucie w polu karnym jeden z obrońców FC Köln fauluje Marka Leśniaka! Piłkę na wapnie ustawia Kensy. Wszyscy wstrzymują oddech, chwila wielkiego napięcia i... futbolówka odbija się od poprzeczki!

– Kilka dni wcześniej zepsułem karnego w lidze, więc do strzelania byłem wyznaczony dopiero jako trzeci (po Januszu Turowskim i Leśniaku – przyp. red.). Ale widziałem, że ci, co przede mną, jakoś nie mają ochoty. Trzeba było to wziąć na siebie – tłumaczy Kensy. Potem Niemcy wykorzystali błąd Portowców przy wyprowadzaniu piłki i do pustej już bramki trafił Uwe Bein.

25 tysięcy ludzi na szczecińskim stadionie traciło nadzieję, aż tu nagle po zagraneniu ręką znowu karny dla Pogoni! Kensy nie miał już najmniejszej ochoty na poprawkę. Tym razem odpowiedzialność wziął na siebie 20-letni Leśniak. Strzelił lekko, Schumacher z łatwością obronił...

Media dworowały sobie z Pogoni. Radziły jej, żeby wróciła do źródeł szkolenia, a na początek niech będą na przykład ćwiczenia w strzelaniu rzutów karnych. Kensy – wtedy już jeden z liderów drużyny – przeżył to mocniej niż inni. Tym bardziej że wcześniej był przecież samobój z NRD. – Tyle fajnych meczów człowiek w życiu zagrał, a jak tylko zaczynam dłużej rozmawiać z kimś o piłce, pojawia się temat akurat tych dwóch spotkań. Nawet jeśli nie chciałbym o nich pamiętać, zawsze znajdzie się taki, co mi życzliwie przypomni. Bywało nawet trochę zabawnie, bo z tego powodu bezbłędnie rozpoznawali mnie celnicy. „O, pan Adam Kensy, który nie strzelił karnego Schumacherowi”. Nie ma co, byłem sławny na granicach – uśmiecha się były reprezentant.

A przecież wiele razy Kensy potwierdzał, że był jednym z najbardziej interesujących polskich pomocników początku lat 80. W piłkę zaczynał grać w Bydgoszczy. Od dziecka był zdolniachą.

– Grałem w kadrze województwa bydgoskiego razem z Heniem Miłoszewiczem, a Zbyszek Boniek siedział na ławce. Przyszedł następny sezon, Zbyszek nagle wystrzelił w górę dosłownie i w przenośni, urósł kilka centymetrów, złapał szybkość, przebojowość.

Od razu nas przeskoczył i już nigdy nie udało się go dogonić – dodaje piłkarz.

Jednak nie trafił od razu do Zawiszy, choć wydawało się to naturalną drogą. Przeniósł się do Szczecina, gdzie jako wciąż piłkarski gołowąs uczył się futbolu od ligowych rutyniarzy.

– Uwielbiałem się kiwać. Brałem piłkę i kręciłem w tę i w drugą stronę niezależnie od tego, czy to miało jakiś sens, czy nie. Na szczęście starsi zawodnicy Pogoni w mig mnie z tego wyleczyli. Wystarczył jeden sparing. Oddawali mi piłkę i... stali. Mogłem sobie dryblować do woli, tylko co z tego, skoro nikt się nie ruszał. Fajna lekcja. Szybko zrozumiałem, co to znaczy gra zespołowa i z moim kiwaniem sam nic nie zrobię. W gronie boiskowych nauczycieli byli Zbigniew Kozłowski, Zenon Kasztelan, Jan Mikulski, Ryszard Mańko i jeszcze kilku innych – opowiada Kensy.

Wielka rodzina Portowców rozpierzchła się po świecie. Nie każdy dożył emerytury. Mańko poniósł śmierć w Kanadzie, mając 48 lat. Został zastrzelony przez narkomana, który wtargnął do prowadzonej przez niego pizzerii. Były piłkarz Pogoni sięgnął po specjalnie przygotowany do odstraszania intruzów kij bejsbolowy, ale intruz sięgnął po pistolet...

Kensy opuścił Szczecin, lecz zanim uczynił to definitywnie, jeszcze raz wrócił. – Wojsko odsłużyłem w Zawiszy Bydgoszcz. Gdy już wypełniłem ten zaszczytny obowiązek, znowu wybrałem Pogoń, choć w Bydgoszczy dawali mi auto i czteropokojowe mieszkanie.

Odmówiłem i narobiło się z tego sporo problemów – przyznaje.

Tu trzeba wspomnieć o głośnej swego czasu sprawie, choć Kensy upiera się, że padł ofiarą specjalnie uszytej przeciwko niemu intrygi. Nie chciał zostać w Zawiszy, więc pożałował. Tak to przedstawia. W maju 1981 roku spotkał się w Bydgoszczy z piłkarzem Widzewa Andrzejem Gręboszem. Prywatnie. Tematem rozmowy miała być finansowa zachęta widzewiaka, aby Zawisza odpuścił mecz z jego walczącą o mistrzostwo Polski drużyną. Widzew rzeczywiście wygrał wtedy w Bydgoszczy 2:1. Kensy i Grębosz zostali czasowo zdyskwalifikowani, lecz do dzisiaj stanowczo twierdzą, że o żadnym korupcyjnym targu nie było mowy, a jedynym faktem jest to, że się wtedy spotkali.

– To było wojsko. Chcieli na siłę zatrzymać, ja się nie zgadzałem, więc się do mnie dobrali. Byłem żołnierzem w czynnej służbie, w takim zderzeniu nie miałem szans. Armia miała swoją wersję zdarzeń – mówi Kensy. – Wysłali mnie do jednostki i teraz mogę powiedzieć, że wiem, co to służba wojskowa. To były bandyckie czasy, działacze wyrywali sobie piłkarzy, chowali ich po hotelach – przypomina.

Wreszcie odbębnił wojsko, uwolnił się od Zawiszy. Nie musiał wracać do Pogoni, bo pojawiła się oferta z Górnika Zabrze. – Żona mi odradziła ze względu na dobro naszych dzieci. Wiadomo, jakie było w tamtych czasach powietrze na Górnym Śląsku. Na pewno zdrowiej się żyło w Szczecinie – argumentuje.

Gdyby jednak trafił do coraz mocniejszego Górnika, może częściej grałby w reprezentacji Polski. A tak zaliczył tylko trzy mecze, wszystkie w eliminacjach ME '84.

– Chwalili mnie za obydwa starcia z ZSRR (1:1 i 0:2). Spotkanie z Portugalią (0:1) we Wrocławiu dziwnie wyglądało, bo nawet polscy kibice byli przeciwko nam. Skoro już wcześniej straciliśmy szansę na awans, koniecznie chcieli, żeby to Portugalia pojechała na mistrzostwa, a nie rywalizujący z nią Ruscy. Może i tak było. Natomiast selekcjoner Antoni Piechniczek w wywiadzie na podsumowanie 1983 roku powiedział, że najlepsi w tym czasie w kadrze byli Młynarczyk, Boniek, Smolarek i Kensy. Do dzisiaj mam ten wywiad. Nie wiem, co się w zimie stało, bo potem już nie otrzymałem powołania – opowiada piłkarz.

Chętnie wspomina stare czasy, ale podkreśla, że trzeba z tym uważać, bo nie można żyć przeszłością. Od lat mieszka w Austrii, w Linz. – Prowadzimy z żoną rodzinną firmę. Nie wyobrażam sobie, żebym usiadł i cały dzień siedział. Pracujemy i podróżujemy. Czasami rodzinnie. Wszyscy byliśmy na przykład na wakacjach na Kubie. Trzy pokolenia. My, córki, zięciowie, wnuczki. Powrót do Polski? Kupiliśmy trochę ziemi koło Bydgoszczy, pięć i pół hektara, więc może kiedyś... Z Linz bliżej mamy jednak do Rzymu, tam mieszka córka, dlatego nie ma pilnego powodu do przeprowadzki – kończy Kensy.

Urodzony: 18 listopada 1956 roku w Białostliwui

Pozycja na boisku: pomocnik

Reprezentacja Polski: 3 mecze, 0 goli

Kluby: *Czarni Nakło, Zacheł Bydgoszcz, Pogoń
Szczecin (1975–79
i 1982–86; 245 meczów, 35 goli), Zawisza Bydgoszcz
(1979–81; 53 mecze, 4 gole), Linzer ASK/AUT (1987–
90; 56 meczów, 5 goli)*

Co można zrobić w sześć sekund? Na przykład strzelić gola po gwizdku rozpoczynającym mecz. Jak Roman Lentner, błyskotliwy lewoskrzydłowy Górnika Zabrze i reprezentacji Polski.

– Ano, człowiek żyje, jak może. Przychodzi dzień całkiem znośny, a następny jest fatalny. Serce ciągle o sobie przypomina. Dawno temu miałem zawał. Jeden, potem drugi. Nie zawsze czuję się dobrze, ale walczę. Jak na boisku albo w kopalni – mówi Lentner.

Od ponad 30 lat mieszka w Berlinie. – Wyjechałem jeszcze za komuny, w 1988 roku. Historia działa się na moich oczach, rok później rozwalali mur berliński. Łączyły się Niemcy, łączyła Europa. Niby za granicą, a jak w domu, bo nie było już przeszkód, by jeździć w rodzinne strony. Człowiek wsiadał w auto i pędził te pięćset kilometrów. Ale teraz już nie, dzieci nie pozwalają, bo zdrowia brakuje – tłumaczy.

Jedno w jego życiu na pewno nigdy się nie zmieni – jak przez wiele lat był piłkarzem wiernym Górnikowi Zabrze, tak teraz jest jego wiernym kibicem. – Panie, ja to już do końca życia będę się martwił, co z tym Górnikiem. Raz z nim ciut lepiej, a raz znowu gorzej. Zawsze dzieje się tak, że jak odchodzą

zawodnicy, którzy już coś pokazali, to młodzi potrzebują czasu, żeby rutyny nabrać. A młodym łatwiej się otrząsać między starszymi. Tylko że ci starsi muszą być naprawdę dobrzy. Miałem podobnie, kiedy przychodziłem do Górnika. 19 lat, ale naładowany ogromną energią. A i tak mogłoby jej nie wystarczyć. W drużynie byli ludzie, z którymi przyjemnie się grało i od których mogłem się uczyć. Niecały rok po mnie przyszedł z Legii Ernest Pohl, a potem z Radlina Staszek Oślizło. Na moich oczach rodziła się wielka drużyna i co tu dużo gadać, z moim udziałem – przyznaje skrzydłowy zabrzan.

Historia Lentnera jest nietypowa, bo zanim trafił do Górnika, grał w LZS Karlino na Pomorzu Zachodnim, drużynie z futbolowej prowincji, uganiając się gdzieś po okręgowych boiskach. Jak to się stało, że znalazł się tam chłopak ze Świętochłowic? – Pojechałem na kolonię jako piętnastolatek i... zostałem. Trudno uwierzyć, co? W domu się nie przelewało, a działacze z Karlina zobaczyli, że nieźle gram w piłkę i obiecywali rodzicom, że się dobrze zaopiekują nami wszystkimi. Bo nie tylko mnie wzięli. Z Górnego Śląska było nas siedmiu czy ośmiu. A za rok po kolonii została następna grupa. Potrzebowali nas do swojej drużyny. Cztery lata tam byłem, doszliśmy do III ligi – opowiada Lentner.

Na mistrzostwach Ludowych Zespołów Sportowych w Poznaniu wpadł w oko trenerom z PZPN, dostał powołanie do reprezentacji Polski juniorów. To był moment zwrotny, bo zauważyły go kluby z pierwszej ligi. A że był Ślązakiem, najbardziej kusili go

ludzie z Ruchu Chorzów i Górnika. – Przyszedłem już nawet na Cichą na trening, ale... woląłem Górnika. No przecież nie dało się grać tu i tu, coś musiałem wybrać – zauważa legendarny piłkarz.

Trafił na rodzącą się potęgę. Zespół akurat awansował do pierwszej ligi. Grało w nim kilku starszych piłkarzy, wśród nich Antoni Franosz, pierwszy kapitan Górnika, człowiek cieszący się niezwykle autorytetem w szatni i uwielbiany przez Zabrze. Rok później zespół prowadzony przez Węgra Zoltana Opatę zdobył mistrzostwo Polski, pierwsze w historii klubu. Lentner uzbierał aż osiem tytułów, ale z tym pierwszym jak z pierwszą miłością – w pamięci zostało najmocniej. W mistrzowskim sezonie w Górniku nie zagrał równie młody piłkarz jak on. Miał niespełna 20 lat, ale już zapracował na uznanie starszyny, bo wytrwale biegał po lewym skrzydle. To była jego naturalna pozycja, lewą nogą grał jak mało kto. Gorzej z prawą.

– Zawsze mówiłem, że lepiej grać jedną nogą bardzo dobrze niż obiema słabo – śmieje się Lentner. I od razu przypomina mecz z 11 kwietnia 1962 roku na Parc des Princes z Francją, wówczas trzecią drużyną mistrzostw świata. Polska wygrała 3:1. Jedną z bramek, tę na 2:1, zdobył on. – Proszę sobie wyobrazić, że właśnie tą niby słabiutką prawą nogą. Tak mi piłka naszła i nie miałem wyboru. Co było robić, musiałem strzelić – przekomarza się 32-krotny reprezentant kraju.

W tym pierwszym mistrzowskim sezonie ustanowił nieformalny rekord, którego być

może nigdy nie uda się poprawić. Nie było wtedy elektronicznego zegara, dającego obiektywną gwarancję niezwykłego wyczynu, ale dziennikarze oglądający spotkanie Górnika z Zagłębiem Sosnowiec zmierzyli, że Lentner zdobył bramkę w szóstej sekundzie meczu! W gazetowych relacjach można przeczytać, że po rozpoczęciu gry piłka od razu poleciała pod pole karne gości i jeden z przeciwników próbował wybić ją tak niefortunnie, że trafił w Lentnera, który w ten sposób stał się przypadkowym, lecz bardzo szczęśliwym strzelcem. – Nie wiem, czy to tak było. Zdawało mi się, że wykorzystałem złe wybicie rywala całkiem świadomie, dzięki refleksowi, ale stary już jestem, może czegoś nie pamiętam... – uśmiecha się Lentner.

Świetna forma młodziana w lidze zaowocowała powołaniem do reprezentacji. Zagrał w towarzyskim spotkaniu z Turcją (0:1) i wydawało się, że na razie tyle wystarczy, że jeszcze musi poczekać na kolejną szansę. To działo się w maju, a w październiku Tadeusz Foryś powołał go na pamiętny mecz ze Związkiem Radzieckim w Chorzowie w eliminacjach MŚ.

– Cieszyłem się, że chociaż usiądę na ławce. W przeddzień spotkania trener podał skład. Na mojej pozycji miał grać Krzysiek Baszkiewicz z Gwardii Warszawa. Wcale mnie to nie dziwiło. Nazajutrz, zaraz po śniadaniu, trener mówi nam, że jest jedna zmiana w składzie: Baszkiewicza na lewym skrzydle zastąpi Lentner. Trochę ciepło mi się zrobiło, nie powiem. W sumie dobrze, że w ostatniej chwili zapadła decyzja. Nie było czasu się denerwować, bo pewnie całą noc myślałbym o tym starciu, w końcu z Ruskimi, 100 tysięcy ludzi na trybunach – wspomina piłkarz, który

w tamtej drużynie Biało-Czerwonych też był zdecydowanie najmłodszy.

Nie zawiódł. Polska wygrała 2:1. – Gdy byłem dzieciakiem, chodziłem na mecze Ruchu i zachwycąłem się Gerardem Cieślikiem, a teraz grałem z nim w reprezentacji Polski. Kto by pomyślał? Ja nie. Jakbym śnił... – zwierza się legendarny as Górnika.

W ostatnim meczu 1957 roku Górnik pokonał Odrę Opole 8:1, Lentner zdobył jedną z bramek. – To była niedziela. Świątowaliśmy mistrzostwo, ale nazajutrz jak w każdy poniedziałek poszedłem na szychcę do kopalni „Zabrze”. – Nawet wtedy było to dziwne. Praca piłkarzy Górnika w kopalni skończyła się w następnych latach, wreszcie mogliśmy się skupić tylko na piłce – mówi Lentner, dodając, że w swoim życiu zdecydowanie więcej czasu spędził na kopalni niż przy Roosevelta.

– Dopadło mnie zapalenie nerwu kulszowego, prawie pół roku leżałem w szpitalu. Kiedy z tego wyszedłem, pojechałem z Górnikiem na mecze do Ameryki Południowej i na nieszczęście złamałem nogę. Trzeba było kończyć z graniem w piłkę. Miałem dopiero 31 lat, musiałem z czegoś żyć. Znowu wróciłem na kopalnię, tyle że już na „Makoszowy”. Pracowałem w sekcji gospodarki materiałów, miałem pod sobą dwa oddziały, na górze i na dole. Zjeżdżałem pod ziemię i sprawdzałem, czy z zaopatrzeniem wszystko w porządku, a jak czegoś brakowało, trzeba było wypisać zlecenie, raportować – opowiada Lentner.

Piłkarz przyznaje, że życie nauczyło go szacunku dla codziennej fizycznej pracy zarobkowej. A że przy okazji był też świetnym piłkarzem i jednym z najlepszych lewoskrzydłowych w historii polskiej piłki? – To już niech inni oceniają. Ja chciałbym zdrowy być. I wszystkim też zdrowia życzę – z uśmiechem mówi ośmiokrotny mistrz Polski.

Urodzony: 15 grudnia 1937 roku w Chropaczowie

Pozycja na boisku: skrzydłowy

Reprezentacja: 32 mecze, 7 goli

Uczestnik igrzysk olimpijskich 1960

Kluby: *Czarni Chropaczów (1947–53), LZS Karlino (1953–56),*

Czarni Chropaczów (1956), Górnik Zabrze (1956–69; 241 meczów, 75 goli), GKS Wesola (1969–70)

Mistrz Polski (1957, 1959, 1961, 1963, 1964, 1965, 1966, 1967), zdobywca Pucharu Polski (1965, 1968, 1969)

Przeżył wielką przygodę z Widzewem Łódź, docierając z nim aż do półfinału Pucharu Europy. Ale mistrzem kraju Tadeusz Świątek został dopiero w Korei Południowej.

Wszyscy wołali na niego „Święty”. Nie tylko koledzy. – Święty, dajesz. Święty, jedziesz! – zachęcali go kibice z trybun. I Tadeusz Świątek jechał po skrzydle jak nakrecony. Wszedł do szatni wielkiego Widzewa i sobie poradził. Tak jak potem w Seulu, choć zderzył się z zupełnie inną rzeczywistością.

Pochodzi z Żarowa na Dolnym Śląsku. – Dobre miejsce dla sportowców, bo przecież stamtąd jest wielki mistrz Paweł Fajdek. Piłkarz Patryk Klimala też tam zaczynał – z uśmiechem mówi Świątek. On dość szybko przeprowadził się z rodziną do Płocka. – Miałem osiem lat, gdy mój tata dostał pracę w Petrochemii, wiele w naszym życiu musiało się zmienić – wspomina.

W Płocku zaczął grać w piłkę i choć z tego miasta pochodzi tylko jeden prawdziwy mistrz (złoty medalista igrzysk w Monachium Jerzy Kraska), solidnych piłkarzy wychowywało się tam całkiem sporo, z wieloma Świątek się zetknął. – Krzysiek Koszarski, Marek

Ostrowski, Marek Rzepka, Bodzio Pachelski – wylicza Świątek i przekonuje: – Gdyby wszystkich zostawiono w Płocku, duża piłka byłaby tam znacznie wcześniej.

Zanim sam opuścił Płock, zasmakował już trochę większego futbolu. W 1981 roku zagrał w drużynie Waldemara Obrębskiego w mistrzostwach świata U-20 w Australii. – Nic tam nie zwojowaliśmy. Nie wyszliśmy z grupy. Dlaczego? Katar nam zaszkodził – opowiada, mając na myśli reprezentację Kataru, która pokonała Polaków w pierwszym meczu turnieju 1:0. Rozczarowanie było ogromne, bo Polacy z m.in. Józefem Wandzikiem, Dariuszem Wdowczykiem, Mirosławem Pękałą, Janem Urbanem, Ryszardem Tarasiewiczem i Dariuszem Dziekanowskim uchodzili za murowanego kandydata do czołowych miejsc.

Świątek zagrał w drugim spotkaniu z Urugwajem, znowu przegranym 0:1. – Tak nieszczęśliwie upadłem, że w zranioną na wysokości kolana nogę wdało się zakażenie i w ostatnim grupowym spotkaniu z Amerykanami już mnie nie było. Pokonaliśmy ich 4:0. Mieliśmy jedną z najlepszych naszych drużyn w tej kategorii wiekowej w polskiej historii, więc trudno było się pogodzić, że tak szybko wracamy do domu – przyznaje.

W 1982 roku Wisła Płock spadała do trzeciej ligi, więc Świątek nie wiązał nadziei z tym klubem. – Już przed końcem sezonu trenowałem z Widzewem i tylko dojeżdżałem na mecze Nafciarzy. Nie będę owijał w bawełnę: ukrywałem się przed wojskiem, bo

czekała na mnie karta powołania do armii. Z młodzieżowej reprezentacji Polski większość miała przygotowane takie papiery. Nie należałem do wyjątków. Dokumenty powstały w jednym czasie, tylko dlatego, żeby mogły na tym skorzystać wojskowe kluby, głównie Legia – twierdzi Świątek.

Jednak on przenieść się akurat do Legii nie miał zamiaru. – Gdy dorastałem, moim ukochanym klubem był Górnik Zabrze, no ale gdy Widzew zaczął grać wspaniałe mecze w Europie, z jednym Manchesterem, z drugim Manchesterem, wreszcie z Juventusem Turyn, z którym zwyciężył w rzutach karnych, trudno było się nim nie zachwycić. Możliwość gry w Widzewie była dla mnie oszałamiającym zaszczytem – przyznaje piłkarz z małego Żarowa.

Najpierw musiał jednak skutecznie zabezpieczyć się przed tym nieszczęsnym wojskiem. Miał 21 lat, do tego od paru miesięcy w kraju był stan wojenny – idealny czas na to, aby znaleźć się w koszarach. Na szczęście ciągle był uczniem. – Prezes Widzewa Ludwik Sobolewski kazał mi się natychmiast wymeldować z Płocka. Wieczornym pekaesem przyjechałem do Łodzi i tam załatwili mi meldunek, w pralni czy gdzieś tam na stadionie. Oczekaliśmy jeszcze wakacje, a potem przeniosłem się do nowego technikum. I tak przetrwałem – wyjaśnia.

Z Widzewa, który akurat zdobył mistrzostwo, po hiszpańskim mundialu odchodzili Zbigniew Boniek i Władysław Żmuda. Mądry prezes Sobolewski wiedział, że w miejsce gwiazd trzeba sprowadzić bardzo

dobrych piłkarzy (stąd przejście ze Śląska Wrocław innego medalisty MŚ Romana Wójcickiego), ale myślał też o młodych, którzy mieliby być dobrą inwestycją. Wtedy przyszli Świątek, Wiesław Wraga, Mirosław Myśliński, Dariusz Waśniewski, Mirosław Kuniczuk. Trzej pierwsi pięknie zapisali się w historii łódzkiego klubu. Świątek w trzeciej kolejce ligi jako piłkarz wchodzący z ławki strzelił zwycięskiego gola Lechowi Poznań (2:1), a w czwartej – w derbach z ŁKS (0:0) – grał już w podstawowym składzie.

Kiedy Widzew rozpoczął pamiętną drogę do półfinału Pucharu Europy, Świątek był pewniakiem w jedenastce. – W ćwierćfinale walczyliśmy z Liverpoolem, a ja się miałem zaopiekować gwiazdą europejskiego futbolu Kennym Dalglishem, który nie tylko dla mnie był nadzwyczajnym piłkarzem – mówi Świątek. Młody zawodnik z zadania wywiązał się znakomicie. Widzew w Łodzi wygrał 2:0, a Szkot nie zrobił gospodarzom żadnej krzywdy.

– Niedawno spotkałem Polaka, który kiedyś mieszkał w Liverpoolu i miał okazję pogadać z Dalglishem o dawnych czasach. On nawet po latach pamiętał, że w Łodzi zagrał taki młody Polak, który zupełnie nie dał mu pograć... – opowiada.

Świątek umiał się odnaleźć w charakternej drużynie. – Starzy szanowali młodych, którzy ciężko pracowali i umieli grać w piłkę. Mnie to pasowało. Dobrze czułem się w tej szatni. Może gdy doświadczeni piłkarze powoli odchodzili z zespołu, my nie umieliśmy ich odpowiednio zastąpić? Bo gdy myślę na przykład o Krzyśku Surlicie, nie mam żadnych wątpliwości, że to przykład prawdziwego widzewskiego charakteru. Przed wyjściem na

boisko na mecz z mocnym rywalem padały z jego ust zwykle proste, twarde słowa: „Dobra, bierzemy się do roboty, oni wcale nie są od nas lepsi!”. Działo to na wszystkich – wspomina widzowiak.

W 1989 roku Świątek znalazł się w Korei Południowej. – Przyleciała do Polski menedżerka z Nowego Jorku, Koreanka. Szukała piłkarzy do Yukongu Seul. Wytypowała dwóch widzowiaków – mnie i Leszka Iwanickiego. Nie wiedzieliśmy, że jedziemy na trwający aż cztery miesiące jeden wielki sprawdzian. Leszek niespecjalnie dobrze się czuł, wrócił do Polski. W jego miejsce przyjechał Witek Bendkowski z ŁKS. Ja zostałem na trzy lata. Wybrali mnie do drużyny roku jako jedyne go piłkarza Yukongu i jedyne go obcokrajowca. Zdarzyło się też, że zostałem graczem miesiąca. No i przede wszystkim był mistrzowski tytuł, jedyny w mojej karierze, ale też nadal jedyny w historii klubu – zaznacza Świątek.

W Korei go cenili. Grywał na środku pomocy, stoperze. Idealnie wtopił się w drużynę. – Tam na pierwszym miejscu podaje się zawsze nazwisko, dlatego musiałem im tłumaczyć, że Tadeusz to jednak imię. Bo gdy przyleciał do Seulu premier Tadeusz Mazowiecki, w klubie pytali, czy to moja rodzina – z uśmiechem wspomina były widzowiak. Wreszcie udało się znaleźć kompromis – w lidze koreańskiej występował jako „Tedu” i wszyscy byli zadowoleni.

– Wówczas poziom tamtejszej piłki według mnie przewyższał polską ligę. Koreańczycy zresztą udowodnili to w mistrzostwach świata

w 2002 roku, kiedy łatwo nas ograli. Jasne, że doszedł również aspekt niedoceny jakości rywala. Szkoda, że przed mundialem nikt mnie nie pytał o zdanie. Też myślałem, że będę tam grał z kurdupłami, a to były normalne, mocne i szybkie chłopcy – argumentuje Świątek.

W Korei mógł jeszcze pograć, ale... – Trochę zgubiła mnie zachłanność. Miałem propozycje z trzech klubów, z tego mojego też. Najbardziej chciał mnie znany koreański piłkarz, a wtedy już trener Cha Bum-kun, który pracował w Ulsan Hyundai. Miałem jednak punkt w kontrakcie, który pozwalał na zmianę klubu w Korei po upływie dwuletniej karencji. Wróciłem do Polski, czekałem na sygnał z Hyundaia, ale nic z tego nie wyszło – przyznaje z lekkim rozczarowaniem.

Koreańczycy byli widocznie Świątkowi pisani, bo jedyny mecz w seniorskiej reprezentacji Polski zagrał towarzysko z reprezentacją Korei Północnej. Biało-Czerwoni zremisowali w Bydgoszczy 2:2, a spotkanie przeszło do historii, bo w naszej drużynie debiutujący selekcjoner Wojciech Łazarek dokonał po przerwie w sumie aż dziesięciu zmian. Świątek zagrał pierwsze 45 minut. I zarazem były to jego ostatnie w kadrze. Dobrze wie, że za mało, ciągle czuje niedosyt, ale nie ma sensu marudzić. Przecież ta pucharowa przygoda z Widzewem była cenniejsza niż niejeden mecz w reprezentacji...

Urodzony: 8 listopada 1961 roku w Świdnicy

Pozycja na boisku: pomocnik

Reprezentacja Polski: 1 mecz, 0 goli

Kluby: *Wisła Płock (1980–82), Widzew Łódź (1982–89;*

178 meczów, 17 goli), Yukong Elephants/KOR (1989–91; 72 mecze, 7 goli), Polonia Warszawa (1992), Hutnik Warszawa (1992)

Zdobywca Pucharu Polski (1985), mistrz Korei Południowej (1989)

Nie miałem aż takiego piłkarskiego talentu jak wielu innych chłopaków z mojego pokolenia, ale od natury dostałem inny cenny dar: nie byłem podatny na kontuzje. Dzięki temu latami mogłem sobie hasać po boiskach – mówi Krzysztof Pawlak.

Dzisiaj należy do tej wycofanej grupy niezłych byłych piłkarzy, na których nazwiska trudno się natknąć w medialnym obiegu. Rzadko zabiera ekspercki głos, a przecież mógłby, bo zagrał sporo meczów w kadrze narodowej i był nawet selekcjonerem. Prawda, że tylko raz, ale za to w zwycięskim meczu (4:1 z Gruzją w czerwcu 1997 roku). Kto inny może pochwalić się taką selekcyjną skutecznością? Gdy to słyszy, tylko się uśmiecha. Samodzielna praca z kadrą była epizodem, przed zatrudnieniem Janusza Wójcika, a zaraz po drugiej kadencji Antoniego Piechniczka. I właśnie u tego drugiego osiągnął najwięcej – był w sztabie szkoleniowym, ale wcześniej grał w jego drużynie. I to całkiem niezłe, skoro wystąpił w mistrzostwach świata w Meksyku.

– Wielu chciałoby wystąpić na mundialu, więc mam się czym pochwalić. Co prawda z grupy wyszliśmy kuchennymi drzwiami, z trzeciego miejsca, ale nie zmienia to faktu, że był awans do kolejnej rundy. Szkoda, że w Monterrey, gdzie rozegraliśmy trzy mecze, nie czuliśmy mundialu. Dopiero gdy przenieśliśmy się do Guadalajary, zrobiło się inaczej. Tylko że tam przegraliśmy z Brazylią 0:4 i trzeba było wracać do Polski – przyznaje Pawlak.

Monterrey zapamiętał jako piekło. – W południe nie mogliśmy opuszczać pomieszczeń, bo temperatura i wilgotność były niewyobrażalne. Udział w meczach kosztował mnie sporo zdrowia. Z Portugalią, grając przeciwko cudownemu piłkarzowi Paulo Futre, w 90 minut zgubiłem cztery i pół kilo, a po meczu z Anglią byłem lżejszy o pięć. Wszystko z powodu potwornych warunków atmosferycznych. Bardzo trudno było w ciągu paru dni doprowadzić organizm do stanu równowagi.

Właśnie od Anglii zaczął się mundialowy kłopot Polaków. Po remisie z Marokiem (0:0) i wygranej z Portugalią (1:0) przegrali 0:3 z Anglią. – Sugestywnie to wszystko wygląda w telewizji, bo jak Lineker strzela nam trzy gole, stwierdzamy, że do piłki nie zdążył Pawlak albo lewy obrońca Marek Ostrowski, tymczasem ktoś inny miał w tym meczu kryć najgroźniejszego snajpera Anglików. Kto? Nieważne. Na pewno można to sprawdzić – z uśmiechem mówi Pawlak.

Sprawdzamy – za krycie Linekera odpowiadał Stefan Majewski.

Potem był mecz o ćwierćfinał z Brazylią (0:4) – najwyższa porażka i paradoksalnie najlepszy występ. Pawlak w nim nie zagrał, nawet nie był wpisany na listę rezerwowych. Czy dlatego, że był wyczerpany po dwóch grupowych meczach? – Broń Boże! Może brakowało mi wrodzonego talentu, ale za to żelaznego zdrowia do biegania i walki miałem w nadmiarze. Nigdy nie pękałem, zawsze chciałem grać – tłumaczy obrońca.

Zastąpił go Kazimierz Przybyś. – Trudno jednak powiedzieć, że zagrał na mojej pozycji. Tam była taka dziwna sytuacja, bo ludzie obserwujący wcześniejsze mecze Brazylijczyków ocenili, że oni nie atakują lewą stroną, więc graliśmy praktycznie trójką obrońców, wzmocnionym środkiem, bez prawego boku. A później okazało się, że tą flanką Brazylijczycy zrobili parę bardzo groźnych akcji, po których też padały bramki... – wspomina Pawlak.

Nie było go w ostatnim meczu, lecz nie pojawił się też w pierwszym, bo mundial na prawej obronie zaczynał Dariusz Kubicki. – Wiele razy rozmawiałem o tych mistrzostwach z trenerem Piechniczkiem, kiedy później pracowaliśmy razem w kadrze. Ciekawiło mnie, dlaczego zmienił prawego obrońcę po pierwszym spotkaniu i zawsze dyplomatycznie odpowiadał, że była to jego decyzja i tyle. Nie chciał w to wnikać – przyznaje były piłkarz Lecha.

Parę kadrowych meczów na pewno zapamięta do końca życia. Choćby z Włochami na Stadionie Śląskim w listopadzie 1985 roku. Polacy pokonali wówczas aktualnych

mistrzów świata 1:0. Pawlak zaczął w podstawowym składzie. – Grałem z kontuzją, ale bardzo chciałem pomóc, powalczyć z Alessandro Altobellim. Nie wytrzymałem nawet pół godziny, bo nie mogłem biegać i poprosiłem o zmianę – tłumaczy Pawlak.

– Najpiękniejszy moment w karierze to „zwycięski”, bezbramkowy remis z Belgią na Stadionie Śląskim, oznaczający awans do mundialu. To było to coś, za czym człowiek tęsknił i o czym marzył – podkreśla obrońca.

Ale wcześniej piękny był również mecz z Grecją w Atenach, który nasz zespół musiał wygrać, aby zachować realne szanse na awans. Przy stanie 2:1 dla Biało-Czerwonych Pawlak przeprowadził znakomitą akcję ze Zbigniewem Bońkiem. – Mam przed oczami moje ostatnie podanie do Zbyszka, który strzela do pustej bramki na 3:1. W tamtych czasach asysty ginęły w statystykach, a dzisiaj eksponowane są nawet te drugiego i nie wiem którego jeszcze stopnia – podkreśla.

Do Bońka zresztą podawał również w meczu z Portugalią na mundialu w Meksyku i był to początek akcji, która skończyła się zwycięskim golem Włodzimierza Smolarka.

Pawlak w kadrze też trafił do siatki. – W meczu z Indiami (2:1) na turnieju o Puchar Nehru w Kalkucie asystowałem przy голу Darka Dziekanowskiego, a potem on podawał do mnie, dzięki czemu strzeliłem gola na 2:0. Na trybunach było ponad 80 tysięcy ludzi – zaznacza reprezentacyjny obrońca.

W kadrze miał wielu kolegów, bo był bezkonfliktowy, nie szukał kłótni. – Zawsze wrażenie robił na mnie Józek Młynarczyk, który był wielkim bramkarzem, ale

w bezpośrednich kontaktach nigdy nie dawał tego po sobie poznać. Wchodziłem do narodowej drużyny, a on zachowywał się tak, jakbyśmy grali razem już od wielu lat. Traktował tak wszystkich, bez wyjątku – zapewnia gwiazda Lecha z lat 80.

Pawlaka przede wszystkim ceniono za końskie zdrowie. Całe lata, w zasadzie bez przerw, grał w Kolejorzu, zdobywał z nim mistrzostwa Polski, występował w reprezentacji – ciągle musiał być dynamiczny i wybiegany. Mimo to nie wypadł z ligowego składu, nie miał groźniejszych kontuzji. – Niepokojący uraz przytrafił mi się tylko w meczu z Widzewem, kiedy starłem się z Włodkiem Smolarkiem. Upadłem na bark. Było groźnie, ale na szczęście obyło się bez złamania. Pauzowałem jeden mecz i wróciłem do gry. W tym mocnym Lechu mieliśmy czym straszyć, były niezłe boki defensywy, bo po drugiej stronie zasuwiał Hieronim Barczak, też wybiegany zawodnik – wspomina.

Do Lecha przeniósł się z Warty w 1980 roku. – Wtedy do klubu przychodził też trener Wojciech Łazarek i to on zainspirował mnie do zmiany barw. Przeżyliśmy w Kolejorzu świetny czas, ale u niego grałem również w reprezentacji, także po raz ostatni – w pamiętnym meczu z Węgrami w Budapeszcie, który przegraliśmy 3:5 – przypomina.

Po Lechu na pół roku, w przerwie zimowej, przeniósł się do Lokeren. – Po mundialu w Meksyku obiecano mi, że nikt nie będzie robił przeszkód z wyjazdem za granicę,

a jednak miałem pod górkę. Byłem w Warszawie, by załatwić zgodę na transfer do szwedzkiego Trelleborga. Sprawa się komplikowała, wychodziło na to, że jeszcze muszę poczekać. Wróciłem do Poznania i słyszę od żony, że mam jeszcze raz gnać do stolicy, bo z Belgii przyjechał Włodzimierz Lubański. Był wtedy drugim trenerem w Lokeren, które na gwałt szukało bocznego obrońcy. Pomyśleli o mnie i przy wsparciu takich ludzi jak Kazimierz Górski i Henryk Loska udało się załatwić zgodę na wyjazd – relacjonuje Pawlak, nie wykluczając, że był pierwszym polskim piłkarzem, który przeszedł do zagranicznego klubu na zasadach półrocznego wypożyczenia.

Lokeren broniło się przed spadkiem i z pomocą Polaka cel osiągnęło, a on już w pierwszym meczu strzelił gola. – Dobrze się tam czułem, tym bardziej że miałem wsparcie Lubańskiego, który jako emerytowany zawodnik na treningach wciąż zadziwiał umiejętnościami. Wiele się nauczyłem też od pierwszego trenera, świetnego wcześniej holenderskiego piłkarza, dwukrotnego wicemistrza świata Wima Jansena.

Po pół roku Pawlak wyjechał z Belgii, ponieważ Trelleborg nie odpuszczał. – Przeniosłem się do Szwecji. Byłem jedynym zawodowym piłkarzem w klubie, bo pozostali bardzo szanowali sobie też inną pracę zarobkową. Awansowaliśmy do najwyższej klasy – zaznacza.

Gdy znowu zakotwiczył w Polsce, miał 34 lata i ciągle nadawał się do grania na ligowym poziomie. – Związałem się z Wartą Poznań, w której kiedyś zaczynałem, i awansowaliśmy do ekstraklasy. To była fajna drużyna. Składała się z kilku bardziej doświadczonych

piłkarzy, jak Zbyszek Pleśnierowicz, Czesiu Jakołcewicz, Waldek Tęšiorowski, Mariusz Niewiadomski, a z przodu byli młodszy Tomek Iwan i Piotrek Prabucki, którzy kończyli nasze akcje. Pamiętam, jak nastał czas upałów, wszyscy w lidze narzekali, ale dziadki z Warty dawały radę – z uśmiechem mówi Pawlak.

Urodzony: 12 lutego 1958 roku w Trzebiechowie

Pozycja na boisku: obrońca

Reprezentacja Polski: 31 meczów, 1 gol

Uczestnik mistrzostw świata 1986

Kluby: *Calisia (1973–75), Warta Poznań (1975–80 i 1993–94;*

39 meczów, 4 gole), Lech Poznań (1980–87; 232 mecze, 15 goli),

KSC Lokeren/BEL (1988; 18 meczów, 2 gole),

Trelleborgs FF/SWE (1988–92; 59 meczów, 1 gol)

Mistrz Polski (1983, 1984), zdobywca Pucharu Polski (1982, 1984, 1988)

Jerzy Bułanow do naszego kraju przyjechał z Moskwy jako Rosjanin. Grał w Polonii Warszawa i aż 17 razy był kapitanem reprezentacji Polski.

Braci Bułanowów było czterech. Wszyscy rwali się do piłki, a gdy zamieszkali w stolicy, zapisali się do Polonii. Największy talent miał Jerzy, a właściwie Jurij. Do czasu rewolucji październikowej rodzina żyła w Moskwie, gdzie wiodło się jej całkiem nieźle. Synowie lubili futbol, co rodzicom podobno niespecjalnie się podobało, ale tolerowali ich pasję. Cieszyli się, że uprawiają sport, choć woleliby jakąś bardziej „arystokratyczną” dyscyplinę.

Wszystko się zmieniło, gdy w stolicy imperium władzę przejęli bolszewicy. Rozpoczęły się czystki, krwawe rozliczenia, polowanie na ludzi, którzy choćby w teorii mogli zaszkodzić nowym komunistycznym porządkom. Atmosfera strachu, podejrzeń i oskarżeń była nie do zniesienia. Rodzina oficera białogwardzisty nie mogła czuć się bezpiecznie. Bułanowowie postanowili uciekać na zachód. Liczyli, że właśnie w odradzającej się Polsce mogą znaleźć schronienie. Po długiej podróży trafili do Warszawy, gdzie osiedlili się i zdecydowali na integrację z Polakami.

– Z tego, co udało mi się ustalić, ojciec był skarbnikiem mniejszości rosyjskiej emigracji w Polsce. Ci ludzie żyli nadzieją, że wrócą do ojczyzny oswobodzonej z rąk bolszewików. Mówię o grupie umiarkowanej socjaldemokracji, która miała w nosie wielką mocarstwową w Rosję „od morza do morza” i rozumiała naszą niełatwą przeszłość polsko-rosyjską. Dobrze myśleli o Polakach, byli im wdzięczni za przyjęcie – opowiada doktor Robert Gawkowski, historyk kultury fizycznej i sportu.

Ale nadzieja na powrót Rosjan w rodzinne strony szybko stała się złudzeniem. Trzeba było zakotwiczyć w Polsce na stałe. Uczyć się po polsku, chodzić do tutejszych szkół, pracować, oswoić się z codziennym życiem. I ewentualnie grać w piłkę w polskich klubach. Na taki los zdecydował się także Jerzy Bułanow.

Piłkę kopał już w moskiewskich drużynach. W opublikowanych w międzywojennej prasie wspomnieniach pisał, że miał mniejsze predyspozycje do futbolu od swojego o dwa lata starszego brata Borysa. Można się w tym doszukiwać pewnej kokieterii, tym bardziej że takie uwagi przedstawiał, gdy było już wiadomo, że zrobił zdecydowanie większą karierę.

– Chyba że chodzi o czasy, kiedy był naprawdę młody i mały. Grał przecież w juniorskich rozgrywkach już w trakcie pierwszej wojny światowej, jeszcze za carskiej Rosji – przypomina doktor Gawkowski.

A Borys? Przede wszystkim budził respekt. – On był trochę szalony, taki zapalczywiec. Miał

nawet sprawę za kopnięcie sędziego. Arbiter podał go do sądu i zgodnie z wyrokiem piłkarz musiał mu zapłacić odszkodowanie za kopniaka w tyłek – zaznacza naukowiec.

W Polsce bracia zapisali się do A-klasowej Korony Warszawa i szczególnie Jerzy bardzo szybko dał się poznać jako niezwykle utalentowany obrońca. Stolica po paru miesiącach wiedziała, że w tym klubie gra osiemnastolatek z Rosji, który daje sobie radę z czołowymi ligowymi piłkarzami. Był tak dobry, że rok później wystąpił w... reprezentacji Polski.

To był niesamowity debiut. Najpierw został zaproszony na konsultacje w Krakowie. A gdy pokazał się w grze kontrolnej, nikt nie miał wątpliwości, że zasługuje na występ w międzypaństwowym meczu. Był jednak problem, bo formalnie nie posiadał jeszcze polskiego obywatelstwa. Na dodatek mecz miał się odbyć w Rumunii (w Czerniowcach – dzisiejsza Ukraina) i istniała obawa, że jako Rosjanin może być zatrzymany na granicy. Działacze znaleźli na to sposób, w który z dzisiejszej perspektywy aż trudno uwierzyć. Bułanow pojechał na mecz kadry narodowej na papierach innego zawodnika, bramkarza Stefana Popiela z Cracovii, zresztą uczestnika wojny z bolszewikami z 1920 roku. Trzeba dodać, że lewe paszporty mieli też inni uczestnicy z trudem skompletowanej ekspedycji.

Bułanow sam przyznawał, że podczas tego niespodziewanego debiutu czuł się wyjątkowo nieswojo. Nagle reprezentował Polskę, do której niewiele wcześniej przywędrował.

Wszystko odbyło się tak szybko, że niemal bezrefleksyjnie. W każdym razie w PZPN refleksja na pewno przyszła później. Ktoś się zorientował, że jest jednak Rosjaninem i że do końca nie wiadomo, co to za jeden.

– Parę ładnych lat musiał czekać na wyrobienie paszportu, co nawet nie dziwi. Z pewnością trzeba było gruntownie zbadać, czy nie jest to jakiś aktywny białogwardzista albo zakamuflowany bolszewicki agent. Pamiętajmy, że przybył do Polski jednak z obcego mocarstwa. W każdym razie w kadrze ponownie zagrał dopiero w 1928 roku i przerwa raczej nie wynikała z powodów sportowych, bo był znanym i dobrym piłkarzem – analizuje dr Gawkowski.

Stolica wreszcie zaczęła go cenić, zapominając, że on i Borys są Rosjanami z Moskwy. Nie od razu było tak pięknie, bo zanotował w pamiętnikach, jak na własnej skórze doświadczał nieprzyjemnych, by nie powiedzieć wrogich reakcji ze strony polskich kibiców, którzy potrafili grać na strunach nacjonalistycznych. „Gdy tylko któryś z nas zagrał ostro, ale nie brutalnie, słychać było głosy: „Bolszewiki... Moskale... Precz do Rosji!” – pisał. Docinki jednak ustały, gdy bracia przenieśli się do stołecznej Polonii.

Tym bardziej trzeba dowartościować drogę przebytą przez Bułanowa, który w ciągu kilku lat zdobył uznanie kibiców i trenerów do tego stopnia, że nie tylko wrócił do kadry narodowej, ale w 1931 roku po raz pierwszy założył opaskę kapitańską. Przed drugą wojną światową nosił ją najczęściej spośród wszystkich reprezentantów Polski!

Ten pierwszy raz przypadł znowu na mecz z Rumunią (2:3), tym razem na stadionie Legii, i było to spotkanie, w którym debiutował inny przedwojenny as, Teodor Peterek. Bułanow był już piłkarzem-instytucją, solidnym obrońcą, tworzącym w kadrze niezwykle wartościowy duet defensorów z legionistą Henrykiem Martyną.

Ostatni raz w reprezentacji Polski wystąpił w sierpniu 1935 roku, kiedy w Katowicach Biało-Czerwoni przegrali 2:3 z Jugosławią. Miał 32 lata i kapitan związkowy Józef Kałuża uznał, że czas na młodszego obrońcę. Partnerem Martyny najczęściej bywał Antoni Gałęcki, a także inna przedwojenna legenda Polonii Władysław Szczepaniak. Bułanow w tym samym 1935 roku musiał zakończyć karierę po kontuzji kolana, ale do tej pory jest rekordzistą Polonii pod względem liczby meczów w ekstraklasie – ma ich 163. Potem był trenerem Czarnych Koszul, lecz to nie zaspokoilo jego ambicji. Spełniał się jako rysownik, kreślarz i literat. Napisał nawet powieść („Prawo pięści”), i to już w 1928 roku, kiedy był w najlepszym piłkarskim wieku.

– Rozmawiałem swego czasu z piłkarzami Polonii Henrykiem Przepiórką i Zdzisławem Gierwatowskim, którzy pamiętali końcówkę lat 30., kiedy nasz bohater zajmował się już trenowaniem i zupełnie inną twórczą działalnością. Potwierdzali, że naprawdę był człowiekiem wielu talentów – zapewnia doktor Gawkowski.

W czasie wojny Bułanow dotarł do Armii Andersa. Zapewne nie walczył na pierwszej linii frontu, bo dostał zadania adekwatne do

swoich kwalifikacji. Zajmował się papierkową robotą, podobno tworzył drużynę piłkarską.

Po 1945 roku do Polski już nie wrócił. Życiowe plany znowu do góry nogami wywrócili mu rosyjscy rodacy. – Większość Rosjan, którzy obojętnie z jakich powodów znaleźli się w naszym kraju po rewolucji październikowej, miała naprawdę duże kłopoty. Nie chodziło nawet o polską bezpieczeństwo. Przeszłości Bułanowowi nie darowałyby przede wszystkim NKWD, dlatego wolał zamieszkać jak najdalej od Rosji. Wybrał Argentynę – opowiada Gawkowski.

– W 1978 roku podczas piłkarskiego mundialu w tym kraju szły biało-czerwone flagi, zresztą razem z Paulinem Frydmanem, mistrzem szachowym, polskim Żydem, który tuż przed wojną szczęśliwie wyjechał z kraju, dzięki czemu uniknął zagłady. Uczył też Mazurka Dąbrowskiego dzieci argentyńskich Polonusów. A wszystko po to, żeby jak najlepiej przyjąć uczestniczącą w mistrzostwach naszą kadrę narodową. Był polskim patriotą do samego końca, ale też zawsze pamiętał o rosyjskiej kulturze. Ciągnęło go do rosyjskiej mowy, do herbaty z samowaru... No i był też wielkim fanem Polonii Warszawa. Całe życie wysyłał do klubu pocztówki. Życzenia, pozdrowienia, a czasem gratulacje, gdy na przykład cudem udało się utrzymać w II lidze – uśmiecha się Gawkowski.

Przedwojenny kapitan reprezentacji Polski zmarł w Buenos Aires i gdzieś tam, na obczyźnie, jest jego grób.

Urodzony: 29 kwietnia 1903 roku w Moskwie (RUS)

Zmarł: 18 marca 1980 roku w Buenos Aires (ARG)

Pozycja na boisku: obrońca

Reprezentacja: 22 mecze, 0 goli

Kluby: *MKŁS Moskwa/RUS (1914), Nazdar Moskwa/RUS (1914–17), Korona Warszawa (1919–22), Legia Warszawa (1922), Polonia Warszawa (1923–37; 180 meczów, 10 goli)*

W czasach PRL żołnierskie kluby lubiły ubierać piłkarzy w mundur na siłę. Ale Marek Kusto do armii zgłosił się na ochotnika.

Utalentowany napastnik, reprezentant Polski grał sobie w Wiśle Kraków, czyli był nie do ruszenia nawet przez armię. Zasady w resortowych klubach brzmiały bowiem prosto i nawet nie potrzebowano ich spisywać w formie obowiązującego prawa – jesteś w milicji, nie musisz być w wojsku. Dlatego podpadająca pod jurysdykcję Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Wisła miała ten komfort, że nie drżała przed zakusami Legii czy Śląska, będącymi pod kuratelą Ministerstwa Obrony Narodowej.

Kusto się wyłamał, bo pod koniec 1976 roku jako perspektywiczny 22-latek sam się zgłosił do Legii. Decydowały lepsze warunki kontraktu, niby sam to przyznawał, ale dorzucał do tego szczyptę modnej wówczas ideologii.

– Legia jest klubem wojskowym, mój ojciec jest podpułkownikiem Wojska Polskiego. Wychowałem się w kręgu określonych tradycji i ten fakt zadecydował. Po zakończeniu kariery sportowej swoją przyszłość chciałbym również

powiązać z zawodową służbą wojskową. W tej sytuacji wybór klubu był chyba rzeczą oczywistą – opowiadał Kusto redaktorowi Zygmunтови Lenkiewiczowi na łamach „Piłki Nożnej”.

To, że zawodowym wojskowym nigdy nie został, stało się zaskakującą puentą do głośnej swego czasu historii. Zresztą kilka innych spraw też potoczyło się w nieprzewidzianym przynajmniej przez niego kierunku. Oto inna znamienna wymiana zdań z wywiadu dla „Piłki Nożnej”.

Kusto: (...) A jednak całkowicie świadomie postanowiłem odejść z tego klubu.

Dziennikarz: Dlaczego?

Kusto: Bo chcę być piłkarskim mistrzem Polski!

Dziennikarz: Przecież Wisła już od dawna uchodzi za poważnego kandydata do tytułu. Powszechnie się uważa, że wcześniej czy później cel ten osiągnie.

Kusto: Nie jestem tego zdania. Ostatnio wręcz wydaje mi się, że klub ten nie uplasuje się w tabeli wyżej trzeciego miejsca...

W kolejnych odpowiedziach piłkarz tłumaczył, że Wisła na młodzież stawia... zbyt odważnie, że z taką strategią skuteczną walka o tytuł nie jest możliwa. Co innego Legia. Ona ma bardziej doświadczonych, klasowych graczy, więc z nią do mistrzostwa jest znacznie bliżej.

Ale w następnym sezonie ta młoda Wisła po raz pierwszy w historii wygrała ligę! Kusto musiał obejść się smakiem. Zapewne pożałował wcześniejszych ocen i publicznych analiz. Gdyby nie odchodził

z Wisły, byłby mistrzem. – No nie wiem, bo Andrzej Iwan w swoim znanym, złośliwym stylu zawsze mi zwraca uwagę, że gdybym wtedy przy Reymonta został, to mistrzostwa by nie było – z uśmiechem mówi dzisiaj Kusto.

Stare sprawy nie są już dla niego ważne, przenosin do Legii nie żałuje. Nie dorabia do niej górnolotnych, wydumanych teorii. Nie robił zresztą tego nawet zaraz po zakończeniu kariery.

– Kilka klubów chciało mnie pozyskać, a w tym czasie przewyższały one dość skromne oferty Wisły. Rozmawiała ze mną Stal Mielec, Ruch Chorzów, w końcu zdecydowałem się na propozycję Legii, która nie tylko oferowała mieszkanie. Tam był doskonały trener, najlepszy, jakiego spotkałem w karierze, Andrzej Strelau. Byli doskonali zawodnicy, na przykład Heniu Miłoszewicz, z którym świetnie rozumiałem się na boisku. Decyzji nie żałuję. Sportowiec nie powinien ustawicznie siedzieć w jednym miejscu – tak rozliczał się z przeszłością w 1993 roku w „Gazecie Krakowskiej”.

Od dawna znowu jest mocno związany z Krakowem. Bywał trenerem Wisły, w ogóle jest starym, szanowanym wiślakiem z krwi i kości.

Wówczas jednak przenosiny do nielubianej Legii musiały zostać potraktowane przez zadeklarowanych fanów Białej Gwiazdy jako – delikatnie rzecz ujmując – akt niełojalności. Działacze Wisły też swoje myśleli, ale byli bezsilni, skoro chłopak zapragnął iść do wojska. W grudniu 1976 roku Kusto złożył

wniosek o zwolnienie z klubu, który uzasadnił przesłaną do Sztabu Generalnego deklaracją ubiegania się o status zawodowego żołnierza. Aby w ogóle było to możliwe, musiał odbyć trzymiesięczne szkolenie, na które uzyskał zgodę władz wojskowych. Nie mógł zatem grać w Wiśle, nie pojechał na zimowe zgrupowanie do Limanowej (po wielu latach do tego miasta jednak trafił – został trenerem Limanovii). Zapewne liczył się z dotkliwymi konsekwencjami, bo byłby wyjątkowo naiwny, zakładając, iż jedno informujące pismo sprawi, że Wisła pogodzi się ze stratą wartościowego napastnika.

Ostra reakcja nastąpiła szybko. Klub wystąpił z wnioskiem o roczne, bezwzględne zawieszenie. W starciu dwóch resortów siłowych PZPN nie chciał opowiadać się po żadnej ze stron. Podstawy do sportowej dyskwalifikacji były, więc została zastosowana. Kusto wiosną 1977 roku mógł się skupić na zajęciach wojskowych, jeśli naprawdę były jego pasją.

W rzeczywistości prowadzono zakulisowe rozmowy w sprawie skrócenia zawieszenia. Udało się wypracować kompromis. Piłkarz wypadł z gry tylko na pół roku.

Wejście do nowej drużyny miał bezbolesne. – Gdyby wtedy przyszedł ktoś z Legii do Wisły, toby się w szatni zdziwili. W drugą stronę było to dosyć normalne, bo Legia brała piłkarzy z całej Polski – zwraca uwagę Kusto. Przenosin do stolicy nie żałuje. – A dlaczego miałbym żałować? Oba kluby dały mi bardzo wiele, ale w różnych momentach kariery.

Wiśla to moje młodzięcze lata, a w Legii już bardziej dojrzałe – ocenia.

Od początku sezonu 1977/78 mógł już grać w nowej drużynie. Był w dobrej formie, zdążył nawet zapracować na nominację do kadry na finały MŚ w Argentynie, na jego drugi mundial i kolejny, w którym nie zagrał ani minuty.

Za pierwszym razem był po prostu zachwycony, że znalazł się w drużynie Kazimierza Górskiego, fantastycznej ekipie, która w 1974 roku z Niemiec wróciła z medalem. – Trafiłem do niej prosto z młodzieżówki, miałem tylko dwa towarzyskie mecze z Haiti, gdzie w istocie też grała drużyna młodzieżowa. W jednym z tych spotkań strzeliłem gola – przypomina Kusto.

– Miałem 20 lat i byłem wniebowzięty, bo nie brakowało świetnych napastników, którzy wtedy na mistrzostwa nie pojechali. Tam była taka konkurencja, że nie mam prawa narzekać na rolę rezerwowego. Natomiast w Argentynie do grania miałem bliżej, selekcjoner Jacek Gmoch dawał mi szanse w sprawdzianach, lecz w decydujących momentach stawiał na kogoś innego – dodaje.

Udało się zagrać dopiero za trzecim razem. Na mundialu w Hiszpanii wszedł na boisko w trzech meczach. W obu spotkaniach z Włochami i z Kamerunem; w sumie 53 minuty. Ten medal siłą rzeczy miał zatem większą wartość. Dwa razy na podium mistrzostw świata? Z Polaków udało się to tylko Władysławowi Żmudzie, Grzegorzowi Lato, Andrzejowi Szarmachowi i Markowi Kusto.

Do Wisły trafił, a jakże, z wojskowego Wawelu Kraków. Wypatrzył go tam nieodżałowany trener młodzieży i łowca talentów Lucjan Franczak. – Grałem w ataku z Leszkiem Brzezińskim, który poszedł do Górnika Zabrze. Bardzo zdolny, wtedy przypominał mi trochę Włodka Lubańskiego – zaznacza Kusto.

Zmarły w 2017 roku Brzeziński w Górniku zaistniał, ale jakiejś oszałamiającej kariery nie zrobił, do kadry narodowej w przeciwieństwie do Kusty się nie przebił. Ten zawsze zwracał na siebie uwagę piłkarskimi umiejętnościami, choć zarzucano mu brak regularności i że potrafi zaskoczyć też w złym znaczeniu. Natomiast dryg do piłki miał bez dwóch zdań.

– Wszyscy mówią o mojej technice, szybkości, lecz ważną rolę były też dogrania, podnoszenie piłki ze skrzydła na głowę środkowego napastnika. Tych asyst, choćby do Kazka Kmiecika, trochę by się nazbierało. W Legii oczywiście też szukałem podań do snajperów – zapewnia.

Mistrzostwo kraju w końcu zdobył, tylko że dopiero w KSK Beveren. Ofertę z Belgii dostał w czasie zgrupowania kadry przed MŚ w Hiszpanii. Miał szczęście, bo właśnie wtedy obniżono limit wieku uprawniający polskiego piłkarza do zagranicznego transferu, mógł więc wyjechać jako 28-latek. – Zaliczyłem tam ponad 200 meczów, strzeliłem prawie 40 goli. Grałem z bardzo cenionymi w Belgii piłkarzami, jak Paul Theunis czy Marc Baecke, który był naszym rywalem na hiszpańskim mundialu – podkreśla Kusto.

– Nie puszczali nas łatwo na Zachód, ale za to mogę się cieszyć, że grałem w polskiej lidze w tak dobrych czasach dla naszego futbolu

i z tak znakomitymi zawodnikami. I wszystko mam świetnie udokumentowane. Uzbierało się dziesięć zeszytów formatu A4, od 1972 roku aż do Belgii, zdjęcia, relacje, mecze. Mama wycinała z gazet każdy artykuł, każdą wzmiankę z moim nazwiskiem. Jestem jej bardzo wdzięczny, bo dzisiaj zaglądam do nich i przypominam sobie wszystkich ludzi, których spotkałem na boisku...

Urodzony: 29 kwietnia 1954 roku w Bochni

Pozycja na boisku: napastnik

Reprezentacja Polski: 19 meczów, 3 gole

Uczestnik mistrzostw świata 1974 (3. miejsce), 1978, 1982 (3. miejsce)

Kluby: *Wawel Kraków (1967–72), Wisła Kraków (1972–77; 112 meczów, 20 goli), Legia Warszawa (1977–82; 131 meczów, 37 goli), KSK Beveren/BEL (1982–90; 232 mecze, 38 goli), KAV Dendermonde/BEL (1990–91)*

Zdobywca Pucharu Polski (1980, 1981), mistrz Belgii (1984), zdobywca Pucharu Belgii (1983), zdobywca Superpucharu Belgii (1984)

Lech Poznań miał wielu znakomitych piłkarzy, lecz żaden nie był tak wielki jak Teodor Anioła. Legendarny tercet poznańskich bombardierów A–B–C zaczynał się od litery jego nazwiska nie tylko dlatego, że była pierwsza w alfabecie.

Istniało jedno zajęcie, które Anioła lubił równie mocno jak strzelanie goli: łowienie ryb. – Po meczach wyjazdowych wracaliśmy do Poznania zwykle bardzo późno, więc dostawaliśmy wolne poniedziałki. Teodor brał kije i jeździł z jednym kolegą nad jezioro do Strykowa (nie mylić ze Strykowem w województwie łódzkim – przyp. red.). A ja mieszkalem w Stęszewie, bliźutko. Kiedyś mówi do mnie: „Weź się wyśpij i przyjeźdź do nas o drugiej”. Wsiadłem na rower, bo to tylko parę kilometrów, a po drodze kupiłem pół litra Czystej, taka z czerwoną etykietką wtedy była. Zajeżdżam, oni drzemią, ale widzę, że ryb nałowili. Obudziłem ich. Ogień się rozpałiło, ryby się upiekło, zjadło, pół litra we trzech się wypilo – z uśmiechem mówi Henryk Pietrzak, były piłkarz Lecha, rocznik 1933. Grał z Aniołą w Kolejorzu osiem lat.

Mówisz: Teodor Anioła, myślisz: legenda Lecha, klubowa ikona – największa i najbardziej okazała. Takiego drugiego snajpera w dziejach Kolejorza nie

było. Anioła był też najważniejszą częścią innej legendy – dumnego ofensywnego tercetu A–B–C, który w latach powojennych tworzył z Henrykiem Czapczykiem i Edmundem Białasem. Nazywano ich dębieckimi bombardierami, bo na poznańskim Dębcu grał wtedy Lech, chwilowo pod nazwą Kolejarza.

Prawy łącznik Anioła i lewy Białas skupiali się na zdobywaniu bramek, grający między nimi Czapczyk też umiał strzelić, ale zajmował się również mądrym rozdzielaniem piłek, oczywiście do Anioły i Białasa. Legenda A–B–C jest tak mocna, że trochę umyka fakt, iż nieśmiertelny tercet wystąpił w zaledwie 35 meczach (w dwóch sezonach). Efektem tego było aż 66 bramek autorstwa tych dżentelmenów, a więc średnio niemal dwie na mecz! O ile jednak od wielkich nazwisk A–B–C nazwano trzy trybuny stadionu przy Bułgarskiej, o tyle Teodor Anioła zasługuje na miano patrona całego obiektu.

Kiedy się zostaje królem ekstraklasowych strzelców trzy razy z rzędu, za każdym razem zdobywając po 20 goli – nie może to być przypadek. Gdy w jednym meczu wali się rywalowi sześć bramek, też nikt nie nazwie sprawcy tego wyczynu farciarzem. Jeśli sezon po sezonie, wiele lat jest się najlepszym strzelcem swojej drużyny – nie ma mowy o splocie szczęśliwych okoliczności.

Anioła w Lechu był jedyny w swoim rodzaju. Przymierzał i strzelał. Z każdej pozycji. I rzadko się mylił. Bez niego Lech w 1949 i 1950 roku nie byłby trzeci w Polsce, a potem nie dałby rady utrzymać się w ekstraklasie.

Górnolotna przesada? Chyba nie. 30 sierpnia 1953 roku w meczu z Polonią Bytom (2:2) bramki dla poznaniaków zdobył Władysław Deska. Od tej pory aż do 17 kwietnia 1955 roku dla Lecha w lidze – z wyjątkiem pojedynczych trafień Floriana Wojciechowskiego, Kazimierza Wróbla i Zygryda Słomy – gole strzelał tylko „Diabeł”, bo tak nazywano Aniołę. To prawie 600 dni!

– Nazywali nas wtedy murarzami, bo myśleliśmy przede wszystkim o obronie, a jak już coś strzeliliśmy, to rzeczywiście Teodor – przyznaje Pietrzak. – Gdy przychodziłem do Lecha ze Stężewa, właśnie on wprowadzał mnie do drużyny i podpowiadał, jak w niej funkcjonować, co robić na boisku. Wtedy był już legendą, trzykrotnym królem strzelców, więc chłonałem jego uwagi – mówi Pietrzak, który był zachwycony postawą Anioły na boisku. – Leciał do każdej piłki. Inny by machnął ręką, że już nie zdąży, ale on zawsze próbował, gdy był choćby cień szansy. Żle mu podałeś? Ani słowa nie powiedział. A wiemy, jacy bywają niektórzy łowcy goli – dodaje Pietrzak.

Anioła podobno nie był mistrzem techniki. – Pewnie mógłby być ciut lepszy, ale za to potrafił niesamowicie walczyć. Tak się umiał z piłką zastawić, że stoper rywali miał duży problem, żeby się do niego dostać. Czy był szybki? Dość. Pamiętam takie ćwiczenie. Anioła biegnie sprintem 100 metrów. Osiąga jakiś tam czas. Potem biegnie 100 metrów, prowadząc piłkę przy nodze, i... czas jest taki sam! To tyle w kwestii jego techniki użytkowej – zaznacza Pietrzak.

W kadrze narodowej as Wielkopolski zagrał tylko siedem razy, w żadnym o punkty. W meczu z NRD (3:0) jako gracz Lecha

(a ściślej Kolejjarza) strzelił swoje dwa reprezentacyjne gole, wchodząc na boisko z ławki. Wystąpił u boku Gerarda Cieślika, który wtedy do siatki akurat nie trafił. Istnieje teoria, że Cieślik nie palił się do grania z Aniołą, bo nie przestawał go traktować jako rywala do wiodącej roli w kadrze. Nie zmienia to faktu, że Cieślik był gwiazdą reprezentacji, a on pozostał tylko gwiazdą Lecha i ligi.

Kolejorzowi był wierny, ale w 1959 roku, kiedy zespół grał w drugiej lidze, nieoczekiwanie postanowił zmienić klub i wybrał sobie innego drugoligowca, lokalnego rywala, Wartę Poznań. Złożył podanie, czym nie tyle zmartwił, co oburzył działaczy Lecha. Takiej decyzji nikt się nie spodziewał, tym bardziej że wcześniej Anioła posłusznie wypełnił wniosek paszportowy, bo „Kolejorz” wybierał się na serię meczów towarzyskich do Belgii. Nagle wykonał wolte, poprosił szefów Warty, by przyjęli go do grona członków klubu i zaczął się pojawiać na treningach nowej drużyny.

Ośłupienie działaczy Lecha trwało krótko. Zareagowali energicznie i stanowczo. Wysmażyli pismo, które było jak wypowiedzenie wojny. Nikt nie zamierzał głaskać klubowej legendy, próbować zrozumieć ani kuszącymi obietnicami nakłonić do zmiany decyzji. Jeżeli w negocjacyjnej metodzie kija i marchewki równorzędne znaczenie mają motywująca zachęta i odstrasżająca groźba, to w tym przypadku został zastosowany wyłącznie ten drugi element. Piłkarz najzwyczajniej w świecie został przez Lecha zawieszony, a uzasadnienie decyzji dla legendy musiało

być szczególnie bolesne: „za szkodliwą działalność wobec klubu”. Ten kochany i wysławiany pod niebiosa Anioła, który strzelił dla Lecha w lidze grubo ponad 100 goli, który trzy razy z rzędu był królem strzelców ekstraklasy, nagle bez żadnych ceregieli został uznany za tego, który Lechowi szkodzi...

A to był dopiero początek sankcji, ledwie pierwsza szpilka. Za chwilę Anioła suchym komunikatem został poinformowany, że ma niezwłocznie opuścić służbowe trzypokojowe mieszkanie i przenieść się do jednopokojowego, które nie było jeszcze gotowe. Ostatecznie udało mu się obronić przed przymusowym przesiedleniem z poznańskich Jeżyc, lecz ta historia kosztowała go sporo nerwów. Bezwarunkowa dyskwalifikacja odbiła się szerokim echem nie tylko w Poznaniu, ale i w sportowej Polsce. W końcu chodziło o lubianego, cenionego i już starszego, 34-letniego zawodnika, który nagle dostał zakaz gry w piłkę. Żadne protesty nie pomogły, skoro Anioła nie chciał grać w Lechu, to nie mógł nigdzie.

– Rozumiałem jego decyzję. Dostał znacznie lepszą ofertę z Warty. Chciał na koniec grania trochę zarobić i nigdy nie miałem sumienia go za to krytykować. Mówił nam zresztą w szatni o swoich planach i nie pamiętam, by ktoś z nas się obruszał – mówi Pietrzak.

Ale Anioła wrócił do Lecha jeszcze przed końcem sezonu! Jak nagle się z nim rozstał, tak nagle zaskoczył złożeniem rezygnacji w Warcie. Trenerem Kolejorza był wtedy Henryk Czapczyk. Stary kolega z boiska

ułatwił sensacyjny powrót. Anioła zdążył zagrać w dwóch ostatnich kolejkach, a w następnym sezonie mocno przyczynił się do awansu, strzelając 12 goli. Po powrocie do elity zagrał już tylko raz. Pożegnano go z żalem. Incydent z Wartą był tak niezręczny, że wszyscy woleli udawać, że go nie pamiętają.

Po zakończeniu piłkarskiej kariery pracował jako trener. No i jak wcześniej gole, tak ciągle łowił ryby. – Tego nigdy nie odpuszczał. W 1956 roku byliśmy z drużyną w Czechosłowacji, w Pieszczanach. Z mostu było widać, jak pływają półmetrowe ryby. Tubylcy łowią, a Teodor patrzy i aż go nosi. Nie wytrzymał. Poleciał do sklepu, kupił sprzęt i też łowił. Długo nic nie mógł złapać, choć od ryb było aż gęsto, inni wędkarze co chwila je wyciągali. Wołaliśmy do niego: „Teodor, pewnie ryby zauważyły, że nie jesteś tutejszy!”. Wszyscy się śmiali. Ale się zawziął, jak to on, i wreszcie zaczęły brać – wspomina Pietrzak.

Anioła wędkował też na emeryturze. Zmarł nagle, mając 68 lat. Na rybach.

Urodzony: 4 listopada 1925 roku w Poznaniu

Zmarł: 10 lipca 1993 roku w Strykowie

Pozycja na boisku: napastnik

Reprezentacja Polski: 7 meczów, 2 gole

Kluby: *Lech Poznań* (1945–59 i 1959–61; 196 meczów, 138 goli),

Warta Poznań (1959)

Przed meczem z Anglią na Wembley Kazimierz Górski dość szybko podał nam skład, ale bez bramkarza. Dopiero w szatni powiedział, że broni Tomaszewski – mówi Zygmunt Kalinowski.

Był wielką gwiazdą Śląska Wrocław. Wygrywał z nim ligę, Puchar Polski, pokazał się w europejskich rozgrywkach, ma medal mistrzostw świata. W ekstraklasie debiutował jednak w Legii Warszawa. A w ogóle to jest wychowankiem Pilicy Warka, w której zaczynał jako... napastnik.

– Graliśmy w juniorach na Warszawiance. Bramkarz złamał rękę, nie mieliśmy rezerwowego. Nasz trener Zdzichu Wspaniały, Panie, świeć nad jego duszą, w przerwie pyta, kto chce stanąć między słupkami. Upał był, myślę sobie, zgłoszę się, przynajmniej nie będę już musiał w tej duchocie biegać. Bronilem instynktownie, trochę jak pajac, nogami odbijałem. Skończyło się na 1:1. Potem na treningu trener Wspaniały mówi: „Coś mi się zdaje, że ty masz większy dryg do bramki niż do napadu”. I za dwa miesiące napastnik został podstawowym bramkarzem Pilicy. Wygryzłem Podkowińskiego, który miał za sobą grę w II lidze – opowiada Kalinowski.

Do Legii przyszedł, by odsłużyć wojsko, zresztą podobnie jak Kazimierz Deyna. – Mieliśmy wspólną szafkę. Taką żołnierską – wspomina bramkarz. W pierwszej drużynie pojawiał się rzadko. Zagrał w trzech ligowych meczach, które Legia wygrała bez straty gola. Do tego było jeszcze 2:1 z IFK Göteborg w Pucharze Europy. I tyle.

– Kończyła mi się służba, w Legii nie miałem miejsca w pierwszym składzie, a chciał mnie Śląsk. Przeniosłem się do Wrocławia, ale zaraz za kratki trafił bramkarz Legii Włodek Grotyński. Zapytali, czy w takim razie może bym do nich wrócił. Miałem się żenić, więc zagrałem twardo. „Potrzebuję dwóch pokoi z kuchnią”. „Jasne, że dostaniesz, ale za dwa lata” – odpowiedziała Legia. „Dajemy ci od razu” – usłyszałem w Śląsku. No to zgadnijcie, którą ofertę wybrałem? Druga liga, ale warunki miałem lepsze niż w Legii – z uśmiechem mówi Kalinowski.

Przy Oporowskiej grał jeszcze Władysław Żmuda I, który już zaczynał pracę trenerską. To on zabiegał o ściągnięcie Kalinowskiego. – Zdążyłem z Władkiem zagrać jeszcze w drugiej lidze. Na starej Garbarni mieliśmy mecz, w samo południe, ciepło. Nagle Włodek woła do mnie: „Zyga, szkło kontaktowe mi wyleciało!”. A bez niego Włodek na jedno oko nic nie widział. No i weź teraz szukaj soczewki w polu karnym, jak mecz się toczy. Na szczęście słońce rzuciło promień i szkło błysnęło w trawie. Podniosłem i śliną przyklejałem mu do oka. Udało się, mógł grać – opowiada Kalinowski.

Żmuda musiał skończyć karierę z powodu kontuzji w wieku 32 lat i skupił się na prowadzeniu drużyny. – Miałem w sobie jeszcze sporo piłkarskiej energii, więc

„wyżywałem się” na bramkarzach, strzelałem im, ile się da, różne gierki mieli ze mną. Zyga dawał radę, miał tak niespożyte siły, że piłkarze z pola mu zazdrościli. Nad techniką bramkarską musiał jednak pracować. Bardzo dużo się nauczył. To był jeden z najcenniejszych ludzi w moim Śląsku – podkreśla trener Żmuda.

– We Wrocławiu przeżyłem najlepsze piłkarskie lata. Po awansie do ekstraklasy w debiucie graliśmy z ŁKS, który prowadził Kazimierz Górski, równocześnie selekcjoner Biało-Czerwonych. Wygraliśmy u siebie 1:0, bronilem wszystko. Pan Kazimierz po spotkaniu ocenił, że świetnie gram na przedpolu i w takiej formie potrzebuje mnie w reprezentacji – wspomina bramkarz.

W kadrze Górskiego był już ponad rok wcześniej jako regularny drugoligowiec! Znalazł się w ekipie szykującej się do startu na złote igrzyska w Monachium. – Na turniej pojechali Hubert Kostka i Marian Szeja. A ja miałem być pod parą w Warszawie, żeby w każdej chwili ruszyć do Niemiec, gdyby któremuś coś się stało. Trenowałem przy Łazienkowskiej pod kierunkiem Andrzeja Strejlaua, spałem w hotelu MDM przy placu Konstytucji i oglądałem igrzyska w telewizji... – opowiada rezerwowy kadrowicz.

Dwa lata później przed mundialem w Niemczech Kalinowski walczył o „jedynekę” w kadrze z Janem Tomaszewskim. Górski długo się zastanawiał, na kogo postawić. Wiosną 1974 roku w ostatnich meczach najczęściej bronił Kalinowski. Wcześniej była też opcja, że wystąpi w spotkaniu na Wembley

z Anglią (1:1). W próbie generalnej z Holandią (1:1) w pierwszym składzie zagrał Tomaszewski, puścił gola. Po przerwie wszedł Kalinowski i zachował czyste konto.

Na mundialu usiadł na ławce, choć znowu był bliski występu. – W meczu z Jugosławią (2:1) Janek sygnalizował uraz, byłem już gotowy, żeby go zastąpić, ale w tym samym czasie jakiś kłopot zgłosił Kazio Deyna i on został zmieniony, bo Janek stwierdził, że jakoś wytrzyma – mówi Kalinowski, który jednak do kolegi z reprezentacji ma mały żal: – Po cichu liczyłem, że zagram przeciwko Haiti. Janek mógł zgłosić taki pomysł. Nic by się nie stało, rywal był słaby, a ja zaliczyłbym mecz na mundialu...

Tomaszewski nie tylko wtedy stawał na drodze reprezentacyjnych planów Kalinowskiego. Jego zdaniem to właśnie „Tomek” niechcący przyczynił się do tego, że z kadry na dobre wykreślił go podejrzliwy i przesadnie wrażliwy na swoim punkcie Jacek Gmoch. Ale po kolei...

– Gdy Gmoch został selekcjonerem, kompletował skład i pomyślał o mnie. W końcu występowałem w Śląsku, w czołowej drużynie. 1 września 1976 roku graliśmy z ŁKS, tym razem w Łodzi. Na trybunach pojawiło się ze 40 tysięcy ludzi. To był chyba mój najlepszy mecz, a nowy selekcjoner pofatygował się z Warszawy, żeby obejrzyć kandydatów do reprezentacji. Pamiętam ten występ w szczegółach, przebieg, kulisy – zapewnia Kalinowski i rozpoczyna barwną opowieść...

– Wyznaczony sędzia nie dotarł, bo miał wypadek. Zgodziliśmy się na zastępstwo Wiesława Karolaka. Z Łodzi, ale niech sędziuje, byleby mecz się odbył, skoro publika aż tak dopisała. U gospodarzy Bulzacki, Dziuba, Miłoszewicz, Sadek, Drozdowski, Terlecki, w bramce oczywiście Tomaszewski. Piękny mecz, atak za atak. ŁKS dwa razy wychodził na prowadzenie, ale dwa razy wyrównywaliśmy. Pod koniec mówię do sędziego: „Kończmy mecz, jest 2:2, wszyscy zadowoleni, kibice biją brawo”. Karolak patrzy na zegarek: „Zyguś, nie mogę, bo jeszcze cztery minuty”. Nie to nie. Miałem akurat piłkę w rękach, rzuciłem ją do naszego stopera Władka Żmudy, ten zagrał prostopadle do Tadeka Pawłowskiego, który w pełnym biegu wycofał do Sybisa. A Jasiu mocno przymierzył w środek bramki i Tomaszewski się tylko rozkraczył. Od razu poleciał do liniowego, że spalony, ale bzdury opowiada! Gdzie był spalony, kiedy Tadek podawał do tyłu?! Sędzia uznał bramkę, 3:2 dla nas i dopiero wtedy zaczęła się awantura, bo kibicom ten wynik wyraźnie mniej się podobał niż wcześniejszy remis. Zrobiło się niebezpiecznie, wkroczyła milicja. Poleciało parę kamieni. Oberwałem jednym w głowę, miałem rozciętą skórę. Po meczu podchodzi do mnie Karolak. „Miałeś rację, trzeba było skończyć przy 2:2” – były bramkarz Śląska relacjonuje tak, jakby ten mecz dopiero co się skończył.

Wygrana uśmierzyła mu ból głowy, no i Gmoch nie miał wyjścia – takiego Kalinowskiego musiał sprawdzić w kadrze.

– Mieliśmy dwudniową konsultację w Chorzowie, przy Stadionie Śląskim.

Z Tomaszewskim szliśmy na stołówkę na obiad. W drzwiach Janek woła do kolegów, a ja przecież stoję obok niego: „A wiecie, że Jacek Gmoch miał brata? Najpierw urodził się Jacek i potem ten jego brat. Jak zobaczył Jacka, to nie przeżył”. Towarzystwo parsknęło śmiechem, choć niespecjalnie mądry dowcip, ale gorzej, że trener go usłyszał. A już całkiem źle, że uznał, że to ja powiedziałem. „U mnie w kadrze już nie zagrasz!” – syknął przez zęby. Mogłem się tłumaczyć, że to nie ja mówiłem, ale ugryzłem się w język, bo nie chciałem wydawać Janka. No i nie wierzyłem, żeby za taką bzdurę naprawdę miał mnie skreślić. Nigdy jednak u niego nie zagrałem – przyznaje bramkarz.

Po latach Kalinowski był trenerem bramkarzy w kadrze Antoniego Piechniczka. W lutym 1997 roku Biało-Czerwoni grali mecze na Cyprze. W odwiedziny przyjechał Gmoch, który wtedy pracował w APOEL Nikozja. – Przywitał się i pyta, czy się na niego gniewam. Mówię mu, było, minęło, jestem wierzący i po chrześcijańsku wybaczyłem. Ucieszył się, postawił po kieliszku na zgodę. Jeśli do tej pory nie wiedział, że to nie ja zażartowałem o tym jego bracie, to właśnie teraz się dowiaduje...

Urodzony: 2 maja 1949 roku w Laskach

Pozycja na boisku: bramkarz

Reprezentacja Polski: 4 mecze

Uczestnik mistrzostw świata 1974 (3. miejsce)

Kluby: *Pilica Warka (1964–68), Legia Warszawa (1968–70;*

3 mecze), Śląsk Wrocław (1971–79; 163 mecze),

Motor Lublin (1979–81 i 1982–86; 89 meczów), Polonia Sydney/AUS (1981–82),

Stal Kraśnik (1987–88), North York Rackers

*Toronto/CAN (1988), Ruch Ryki (1992), Prywaciarz
Tomaszów Lubelski (1992–96)
Mistrz Polski (1977), zdobywca Pucharu Polski (1976)*

Gdy reprezentacja Polski ostatni raz pokonała Holandię (2:0), na Stadionie Śląskim błyszczał debiutant: najmłodszy w drużynie Leszek Lipka. – Udał się nam wielki mecz – uśmiecha się były pomocnik krakowskiej Wisły, który asystował przy голу Zbigniewa Bońka.

2 maja 1979 roku Polacy grali w Chorzowie piekielnie ważny mecz w eliminacjach ME. Holendrzy byli aktualnymi wicemistrzami świata, w finale mundialu wystąpili drugi raz z rzędu. Na Śląskim nie dali jednak rady Biało-Czerwonym, którzy po trochę rozczarowującym starcie na mundialu w Argentynie wciąż marzyli o wielkich sukcesach. Jeszcze nigdy nie zegrali w mistrzostwach Starego Kontynentu. Ekipa Ryszarda Kuleszy przymierzyła się do tego celu. W grupie jednak zdążyła się potknąć, przegrywając w Lipsku z NRD (1:2). Wobec tego dwa tygodnie później należało bezwzględnie wygrać ze świetnym zespołem Oranje.

Rywali „napoczał” w 20. minucie Zbigniew Boniek, po kapitalnej akcji: Lipka do Bońka, Boniek do Lipki, znowu Lipka do Bońka i holenderska defensywa posypała się

w drobny mak. 1:0 dla Polski! Dzięki prowadzeniu w drugiej połowie nasi mogli częściej czyhać na błędy rywali i kontrować. Po jednej z takich akcji na pustą już bramkę strzelał Grzegorz Lato, a kapitan Ruud Krol zatrzymał piłkę ręką. Rzut karny „w stylu Panenki” wykorzystał Włodzimierz Mazur. Cała Polska była w euforii! Wróciła wiara w moc drużyny, która potrafi przenosić góry. I choć na mistrzowski turniej do Włoch pojechała Holandia, bo w przeciwieństwie do nas nie traciła punktów z NRD, tamto majowe popołudnie na Stadionie Śląskim było jedną z przyjemniejszych chwil w historii polskiej piłki.

Lipka uczestniczył w niej raczej niespodziewanie. Filigranowy, błyskotliwy zawodnik Wisły Kraków mógł się cieszyć, że w ogóle został wezwany na kadrę, ale żeby od razu znaleźć się w jedenastce? Selekcjoner ustawił go na prawej pomocy, w tej formacji zagrał też zorientowany bardziej na ofensywę Boniek i mający więcej zadań defensywnych klubowy kolega Lipki z Wisły Adam Nawalka. Komentujący mecz z Holandią Jan Ciszewski w zachwycie stwierdził, że to „najmłodsza druga linia świata”. Zachwyt jak najbardziej uzasadniony. Boniek miał wtedy 23 lata, Nawalka 22, a Lipka 21.

– Z Adamem zdarza mi się chwilę pogadać, w końcu łączy nas Kraków i Wisła. Ale Zbyszka Bońka od tamtego czasu nigdy nie spotkałem. Zmieniliśmy się przez tyle lat, ale jakoś byśmy się pewnie poznali. Biorę to na siebie. Kiedy się przedstawię, może skojarzy moje nazwisko – z uśmiechem mówi Lipka. Jak niestety wielu byłych reprezentantów i ludzi, którzy coś dla polskiego futbolu naprawdę zrobili, dzisiaj jest na peryferiach

piłkarskiego świata. Nie chodzi po telewizyjnych studiach, nie udziela się jako ekspert. Niektórzy twierdzą, że z takim charakterem kariera trenera czy działacza jest niemożliwa. Bo z piłkarzami sprawa wygląda inaczej – naprawdę dobry na boisku zawsze się obroni bez względu na charakter. A on akurat był dobrym zawodnikiem.

Wszystko zaczęło się od turnieju dzikich drużyn. – Zebraliśmy się na osiedlu i z pomocą opiekuna zgłosiliśmy swój udział w zawodach. Grało się siedmiu na siedmiu na małych boiskach. Dużo było w tym zabawy, ale też zdrowej pasji jedenastoletnich ludzi. Naszej rywalizacji przyglądali się trenerzy Wisły i mieli co oglądać, bo było ze sto drużyn. Wpadłem im w oko. Kazali przyjść na trening, trafiłem do trampkarzy – wspomina Lipka. Jego drużyna miała całkiem groźną nazwę: Everton. – I w ten sposób do Wisły trafiłem z Evertonu – śmieje się późniejszy reprezentant Polski.

Przy Reymonta szybko stał się jednym z ulubieńców trybun, bo trudno było nie lubić faceta, który zawsze biega, drybluje i walczy. Klub szczycił się swoimi wychowankami, on był jednym z nich. W 1975 roku drużyna prowadzona przez Lucjana Franczaka zdobyła mistrzostwo Polski juniorów. Finał z Wartą Poznań (0:0, potrzebna była powtórka w Łodzi, wygrana przez Wisłę 4:1) odbył się na Stadionie Śląskim jako przedmecz reprezentacji Polski z... Holandią. Wtedy też chodziło o eliminacje ME, Holendrzy również byli wicemistrzami świata i też przegrali (1:4). – Oglądałem ten mecz z trybun między innymi w towarzystwie Adasia Nawałki.

Mogliśmy pomarzyć o występie w tak niesamowitym meczu, na oczach takich tłumów – przyznaje Lipka. Cztery lata później jego marzenia się spełniły.

W kadrze nie grał zbyt długo, ale za to bardzo intensywnie. Należał do ulubieńców Ryszarda Kuleszy, który ufnie na niego stawiał. – My naprawdę mieliśmy podobne charaktery. Skupialiśmy się na robocie, unikaliśmy niepotrzebnej wrzawy. Nadawaliśmy na tych samych falach – opisuje dawny piłkarz.

Najlepszy dla Lipki był 1979 rok. Wisła była mistrzem Polski, tytułu nie obroniła, ale świetnie grała w Pucharze Europy. Na początek, jeszcze jesienią 1978 roku, odpawiła z kwitkiem FC Brugge. Na wyjeździe przegrała 1:2, w rewanżu długo utrzymywał się wynik 1:1 i wtedy do siatki trafił Lipka. Osiem minut do końca. Wiślacy dostali skrzydeł, strzelili jeszcze jednego gola, awansowali bez dogrywki. Po wyeliminowaniu czechosłowackiej Zbrojovki Brno byli już w ćwierćfinale elitarnych rozgrywek, w których wtedy grali jeszcze wyłącznie mistrzowie krajów.

Wiosną Białą Gwiazdę czekało starcie z Malmö FF. W Krakowie wygrała 2:1. Na wyjeździe Kazimierz Kmiecik w 58. minucie zdobył bramkę na 1:0. A potem wydarzyło się coś, co dla każdego wiślaka na zawsze pozostanie traumą. Mistrzowie Szwecji wyrównali w 66. minucie z rzutu karnego, a następnie strzelili jeszcze trzy gole! Gdy było 1:3, trener Orest Lenczyk zdjął z boiska słabo dysponowanego bramkarza Stanisława

Goneta... To były 24 minuty, które wstrząsnęły Wisłą.

– Do tej pory nie mogę sobie wytłumaczyć, co się wtedy z nami stało, choć nieraz się zastanawiam, bo nawet po ponad 40 latach trudno machnąć ręką na wielką szansę, która w dziwny sposób wymknęła nam się z rąk. Czasami słyszało się, że ktoś mógł ten mecz Szwedom puścić, ale ja zwyczajnie nie wierzę. Przecież bylibyśmy już w półfinale z perspektywami na awans do finału Pucharu Mistrzów! No kto mógłby coś takiego zlekceważyć, to jest niemożliwe – dowodzi Lipka, jakby ciągle sam siebie przekonywał.

Wtedy przykrą porażkę nieco sobie osłodził zwycięstwem nad Holandią, lecz uważa, że jeśli chodzi o walory piłkarskie, to lepiej zagrał w rewanżu z NRD. Problem w tym, że Polacy we wrześniu 1979 roku na Stadionie Śląskim tylko zremisowali (1:1) i w eliminacyjnej grupie ustawiło ich to pod ścianą. Co z tego, że potem w Amsterdamie wydarli punkt Holandii (1:1), skoro potrzebowali zwycięstwa, a nie remisu.

Tercet Lipka – Boniek – Nawalka już nie był tak efektywny, choć wciąż miał widoki na przyszłość.

Właśnie jesienią 1979 roku Lipka został wybrany na najlepszego polskiego piłkarza w XI Plebiscycie katowickiego „Sportu”. W głosowaniu uczestniczyli dziennikarze z całej Polski, a Lipka jako jedyny znalazł się na wszystkich przesłanych kartach. Docenił go też „Przegląd Sportowy”, bo dostawał najwyższe noty za ligowe występy. „Kmieciak strzelał najcelniej, a Lipka grał najlepiej” –

informowała na pierwszej stronie gazeta w artykule podsumowującym piłkarską jesień. Po ekstraklasowych trawnikach biegały wtedy takie tuzy, jak Boniek, Lato czy Szarmach, ale chwilowo byli w cieniu młodszego od nich Lipki. Tylko że trzy lata później oni strzelali gole na medalowych dla nas mistrzostwach świata, a jego w Hiszpanii w ogóle nie było.

Kiedy po aferze na Okęciu odszedł z kadry selekcjoner Kulesza, skończyła się też reprezentacyjna historia Lipki. W wyjazdowym meczu z Malcią, który otwierał kwalifikacje do hiszpańskiego mundialu, w 77. minucie strzelił swojego jedyne goła w kadrze, na 2:0. Maltańscy piłkarze, a za nimi miejscowi kibice uznali, że bramka padła ze spalonego. Sędzia liniowy rzeczywiście podniósł chorągiewkę, ale sygnalizował w ten sposób pozycję Marka Dziuby, niebiorącego udziału w akcji. Sędzia główny Dusan Maksimović „puścił” grę. Na sędziów, piłkarzy i na polską ławkę rezerwowych poleciały nie tylko butelki, ale i kamienie. Mecz został zakończony przed czasem.

Kuleszę zastąpił Antoni Piechniczek i powołał Lipkę na pierwsze, zimowe zgrupowanie, zagrał w jego selekcyjnym debiucie z Rumunią (0:2) i na tym koniec. Wiślak wypadł z kadry na zawsze. – Gdyby nie afera na Okęciu, trenerem pewnie dalej byłby Kulesza, to może i ja nadal byłbym w reprezentacji – zastanawia się Lipka, który ciągle był wierny Białej Gwiazdce.

Został w niej nawet wtedy, gdy spadła z ekstraklasy i aż trzy lata trzeba było walczyć o powrót do elity. Z sukcesem. – Do dzisiaj, gdy spotykam starszych kibiców, słyszę, że tę moją wierność klubowym barwom doceniają. I wie pan co? Miło się tego słucha... –

przyznaje jeden z bohaterów ostatniej
zwycięskiej bitwy z Holandią.

Urodzony: 4 czerwca 1958 roku w Krakowie

Pozycja na boisku: pomocnik

Reprezentacja: 21 meczów, 1 gol

Kluby: *Wisła Kraków (1970–90; 242 mecze, 12 goli),
Błękitni Kielce (1990–93)*

Mistrz Polski (1978)

Adam Walczak cudów w polskiej piłce nie zrobił, ale zapisał się na wieki wieków jako kadrowicz okrągłą liczbą. I to w jedynym meczu, w którym Polacy potrafili pokonać Hiszpanię (2:1).

Jeszcze niedawno był wuefistą w szkole podstawowej w Wejherowie. – Na gdańskiej AWF miałem specjalizację z piłki nożnej i piłki ręcznej, więc się przydała. Przeszłość sportowca zawsze pomaga. Skoro w życiu coś osiągnąłeś, łatwiej dzielić się tym z innymi. Wielkim mistrzem nie byłem, ale prawie ćwierć tysiąca spotkań w ekstraklasie się zagrało, w tym dwa sezony od deski do deski, po 2700 minut. Do tego z 70 występów w juniorskich i młodzieżowych drużynach narodowych. No i ten mecz, w którym byłem 500. reprezentantem Polski w dziejach naszej kadry. I to jeszcze taka prestiżowa wygrana. Ale mi się trafiło! – cieszy się Walczak.

Ten najważniejszy mecz z orłem na piersi odbył się w Barcelonie na nieistniejącym już dzisiaj Estadio de Sarria – tym samym, na którym później podczas hiszpańskiego mundialu Włosi w porywającym spektaklu pokonali 3:2 Brazylię, a na igrzyskach olimpijskich Polska wygrała z Italią 3:0.

Dla Walczaka historyczna data to 12 listopada 1980 roku. Przed spotkaniem selekcjoner Ryszard Kulesza podał jego nazwisko w wyjściowym składzie. Miał grać na lewej obronie, obok niego na środku Paweł Janas z Władysławem Zmudą, na prawym boku Marek Dziuba, w bramce Józef Młynarczyk. W ofensywnej formacji między innymi Zbigniew Boniek, Włodzimierz Smolarek, Andrzej Iwan.

– Niecałe pół roku wcześniej awansowałem z Bałtykiem Gdynia do ekstraklasy, a teraz już mecz w kadrze narodowej, w grupie fantastycznych piłkarzy! Musiałem się od początku maksymalnie skupić, bo Hiszpanie nie dość, że czarowali techniką, to jeszcze imponowali szybkością. Po moim skrzydle biegał taki jeden, co wyraźnie się uparł, żeby mi pokazać, kto tu rządzi. Umiałem sprinterom dotrzymać kroku, ale on miał taki start do piłki, że ani na pół sekundy nie można było się zagapić – podkreśla były gracz Bałtyku Gdynia, Zawiszy Bydgoszcz i Widzewa Łódź.

Kulesza w przerwie zastąpił go Wojciechem Rudym, tak samo jak Smolarka Januszem Kupcewiczem. – Prowadziliśmy 1:0, więc selekcjoner chyba nie miał wielkich pretensji do któregośkolwiek z piłkarzy. W końcu graliśmy mecz towarzyski, więc trener sprawdzał różne warianty – analizuje ówczesny obrońca Bałtyku.

W 88. minucie z karnego wyrównał Dani, lecz minutę później swoją drugą bramkę zdobył Iwan. – Walnąć dwa gole w takim meczu! Szacunek dla niego, no ale ja też na tym skorzystałem. Czy kiedyś wcześniej albo później Polska pokonała Hiszpanię? Tym,

którzy się teraz zastanawiają, podpowiem: nigdy. Tylko wtedy – dodaje Walczak.

Tydzień później Polska rozgromiła w Krakowie Algierię (5:1), a Walczak był na ławce rezerwowych. Pod koniec tego samego miesiąca wydarzyła się afera na Okęciu, która doprowadziła do dymisji Kuleszy. Stery kadry przejął Antoni Piechniczek. W styczniu był zaplanowany wyjazd do Japonii na serię meczów z reprezentacją tego kraju. Nowego selekcjonera taka chałturka nie interesowała, chciał porządnie przygotować zespół do meczów w eliminacjach MŚ. Odwołanie wyprawy do Japonii wiązałoby się z poważnymi stratami finansowymi, dlatego PZPN wysłał tam de facto kadrę młodzieżową, która tylko z powodów marketingowych „udawała” pierwszą reprezentację. Szefem tej wycieczki był Waldemar Obrębski, który siłą rzeczy „udawał” selekcjonera.

Na pokładzie samolotu znalazło się też miejsce dla Walczaka. Zagrał w trzech z czterech zakontraktowanych spotkań, w jednym strzelił nawet gola. Skoro gry były zaksięgowane jako oficjalne mecze międzypaństwowe, mógł sobie to wszystko zapisać do reprezentacyjnego CV.

– Nigdy się nie oszukiwałem, że były to mecze pierwszej reprezentacji. Przecież nie było tam z nami nawet selekcjonera Piechniczka. Miałem natomiast małą nadzieję, że może to jednak być szansa na mecz w prawdziwej reprezentacji, jak wtedy z Hiszpanią... Ale nic z tego, Piechniczek nigdy mnie nie powołał. Nie mam do niego żalu, w końcu zbudował drużynę na medal

mistrzostw świata, więc o co mógłbym mieć pretensje? – przyznaje Walczak.

Urodził się w Sopocie, lecz na tym kończą się jego mocne związki z tym miastem. – Wychowałem się w Gdyni, a mama zawsze mówiła mi, że ten Sopot tylko dlatego, że akurat tam był dyżur na porodówce – tłumaczy były piłkarz, trener i wuefista.

W piłkę uczył się grać w Bałtyku, choć w mieście wyżej notowana była Arka. – Mój ojciec był sędzią piłkarskim, dobrze znał to środowisko i zależało mu, żebym trenował w Arce. Zaprowadził mnie do dyrektora klubu. „A ile ty masz, chłopcze, lat?”. „Dwanaście”. „O, to już za późno”. W taki sposób zostały zweryfikowane moje umiejętności przez ważnego dyrektora. Nie musiałem grać, wystarczy, że koło niego stałem i już wiedział, że się nie nadaję...

Dopiero wtedy ojciec poszedł z synem na Bałtyk, z którego sam się wywodził. Nie robili problemu, zapisali dwunastoletniego chłopaka, pozwolili grać. – Tam był fantastyczny trener, pan Władysław Sobociński. Wychował wielu dobrych piłkarzy i mi też bardzo pomógł – podkreśla Walczak.

Z Bałtyku ruszył się dopiero wtedy, gdy upomniała się o niego armia. – Prezes Bałtyku cały czas obiecywał, że jakoś to wojsko mi załatwi, że dalej będę mógł u nich grać, ale robiło się coraz bardziej nerwowo, bo chciał mnie Zawisza Bydgoszcz. Do Legii miał odejść Stefan Majewski i potrzebowali obrońcy. Ojciec dostał konkretną wiadomość: jeśli nie pójde do Zawiszy, to trafię do kompanii karnej – opowiada były poborowy.

– Nie chciał igrać z ogniem, tym bardziej że jednak to był sportowy awans. Bałtyk grał wtedy w drugiej lidze, a Zawisza w pierwszej. Zgłosił się do klubu z Bydgoszczy. – Pamiętam jak dzisiaj, 3 stycznia 1978 roku. Staję przed trenerem Wiesławem Gałkowskim i jego ludźmi, a on do mnie: „No dobra, jutro wyjeżdżamy do Zakopanego na obóz, a ty zostaniesz na miejscu i będziesz zasuwał z drugą drużyną. Potem trenerzy powiedzą mi, jak się spisywałeś i podejmiemy dalsze decyzje”. Oj, podniósł mi tym ciśnienie. Nie wytrzymałem. „Straszycie mnie kompanią karną, żeby tylko mnie wyciągnąć z Bałtyku, a jak do was przyjeżdżam, to mi każecie z rezerwami trenować?! W takim razie mam to wszystko głęboko w dupie!”. Dosłownie tak powiedziałem – zapewniam.

Do dzisiaj uważa, że zachował się najlepiej, jak mógł. – Chcieli mnie sprawdzić, jaki mam charakter, czy potrafię się bić o swoje. Pokazałem, że nie jestem tu gościem od sprzątnia, tylko od budowania. Pojechałem na to zgrupowanie do Zakopanego i grałem w pierwszej drużynie – mówi Walczak. Dwuletni pobyt w bydgoskim klubie zostawił w jego życiu trwałe i ważne ślady. – Poznałem tam kobietę, która została moją żoną – uśmiecha się Walczak.

Po dwóch latach wrócił do Bałtyku, w kolejnych sezonach grał w ekstraklasie. – Miałem ofertę z Legii. Pojechałem do Warszawy pogadać z trenerem Jerzym Kopą. Potrzebował mnie na lewą obronę, ale warunki nie były tak dobre, żebym chciał się przeprowadzać z rodziną. Zamiast mnie wzięli z Gwardii Darka Wdowczyka. Na spotkanie

z Legią pojechałem po kryjomu. Zgłosiłem, że jestem chory i nie mogę być na treningu. Wszystko by się ładnie udało, ale w drodze powrotnej do Gdyni w pociągu natknąłem się na naszą sekretarkę z Bałtyku. Musiałem się w klubie gęsto tłumaczyć z tej wycieczki do stolicy – przyznaje Walczak.

Bałtyk w końcu opuścił, ale później. W 1985 roku przeniósł się do Widzewa. – Wszedłem do mocnej drużyny, o ustalonej hierarchii. Romek Wójcicki, Marek Dziuba, Krzysiek Kamiński, Krzysiek Surlit, Wiesiek Wraga... W Bałtyku byłem wychowankiem, a w Widzewie trzeba było o wszystko twardo walczyć. Trenerem był Bronisław Waligóra, który pracował ze mną w Gdyni, skoro mnie ściągnął do Łodzi, to znaczy, że chyba coś potrafiłem – przytomnie zauważa Walczak.

W Widzewie szybko został podstawowym piłkarzem. Zespół nie był już tak dobry, jak jeszcze kilka lat wcześniej, kiedy walczył z europejskimi mocarzami, ciągle jednak w Polsce wszyscy się z nim liczyli.

Na koniec kariery parę ładnych lat pograł jeszcze w Szwecji, choć część roku, kiedy była przerwa w rozgrywkach, spędzał w Polsce. – To, co tam zarobiłem, musiało w kraju wystarczyć na dwanaście miesięcy. Dawałem radę. Tak jak przez całą karierę – zapewnia reprezentant Polski numer 500.

Urodzony: 7 grudnia 1957 roku w Sopocie

Pozycja na boisku: obrońca

Reprezentacja Polski: 4 mecze, 1 gol

Kluby: *Bałtyk Gdynia (1975–77, 1980–85 i 1989–90; 140 meczów, 7 goli), Zawisza Bydgoszcz (1978–80; 26 meczów, 3 gole),*

*Widzew Łódź (1985–89; 74 mecze, 2 gole),
Finnskoga/SWE (1990–94)*

Krzysztof Rześny zagrał w przełomowych i zwycięskich meczach drużyny Górskiego i później Gmocha, jednak w obu przypadkach potem wypadał z reprezentacji. Odbił to sobie w Stali Mielec, z którą rządził w Polsce i pokazał się w Europie.

W czerwcu 1973 roku na Stadionie Śląskim w Chorzowie Polska pokonuje Anglię 2:0 w jednym z najlepszych i najważniejszych meczów w dziejach naszej piłki, rozpoczynając efektowny marsz po awans i medal mistrzostw świata. W październiku 1976 roku na Estadio das Antas w Porto Polska wygrywa z Portugalią 2:0 w pierwszym i od razu kluczowym spotkaniu w walce o udział w mundialu w Argentynie.

W obu starciach na prawej obronie występuje Krzysztof Rześny. Ale to jego jedyne mecze w reprezentacji o punkty. – Jak to wytłumaczyć? Chyba tylko tym, że zabrakło mi szczęścia, albo że czasami za bardzo chciałem pomóc drużynie klubowej i grałem z niezaleczoną kontuzją, czym zaszkodziłem sobie w kadrze. Pewnie, że byłem rozczarowany, ale dajmy spokój. Swoje w piłce osiągnąłem, w paru ważnych meczach zagrałem. A w latach 70. poziom narodowej drużyny czy liczba świetnych kandydatów do

gry były naprawdę nieporównywalne do sytuacji, jaką mamy teraz – zapewnia Rześny.

Dzisiaj jest starszym, 74-letnim panem, który wciąż z pasją nie tylko rozmawia o futbolu, ale swoją wiedzę nadal próbuje przekazać młodszym pokoleniom. – Prowadzę indywidualne zajęcia z dziećmi, które uczą się grać w piłkę. Mamy zdolnych chłopaków, zdziwiłby się pan jak bardzo – zapewnia Rześny.

Wiele lat był podstawowym graczem Stali Mielec, na Podkarpaciu na dobre zapuścił korzenie. Jego przeszłość jest jednak trochę pogmatwana. Na świat przyszedł w Łukowie, ale gdy zaczynał chodzić do szkoły podstawowej, przeniósł się z rodziną do Szczecina. Tam występował najpierw w Chrobrym, a potem w Pogoni.

– Miałem 18 lat i już zagrałem w ekstraklasie. To był niezły zespół, występował w nim m.in. Marian Kielec, gwiazda Szczecina – wspomina Rześny.

W elicie zaliczył tylko dwa mecze i przeniósł się na drugi kraniec Polski. – Znajomi z rodzinnych stron przekonywali mnie, abym zagrał w Motorze Lublin. Problemem był fakt, że to tylko druga liga. Nie wiem, czy dobrze wybrałem, ale widocznie tak musiało być. Zostałem tam aż sześć lat – opowiada obrońca.

W Lublinie był ważnym piłkarzem, kapitanem drużyny, lecz ciągle jedynie na zapleczu ekstraklasy. Tymczasem w 1970 roku awans do elity wywalczyła Stal Mielec. Na mapie Polski rodziła się nowa siła. Grali już w niej 22-letni bramkarz Zygmunt Kukła, 24-

letni Henryk Kasperczak i 20-letni talent Grzegorz Lato.

– Trener Andrzej Gajewski tworzył drużynę szybkościową, a więc opartą na zawodnikach o dobrych predyspozycjach biegowych. Chciał mnie w składzie, bo miałem zdrowie do walki i biegania od pierwszej do ostatniej minuty, byłem niezły w odbiorze. Zgodziłem się na zmianę klubu, ale ciągle nie było to takie proste. Przed sezonem pojechałem na zgrupowanie do Węgierskiej Górki już ze Stalą, ale wróciłem... znowu z Motorem, który też przygotowywał się w tamtej okolicy. Byłem rozdarty. Lubelscy działacze przekonali mnie, żebym jeszcze u nich pograł, że chcą powalczyć o awans. Nie chciałem w takiej chwili osłabiać drużyny – mówi Rześny.

Trener Gajewski jednak postawił na swoim. – Jak się na coś uparł, nie było mowy, że odpuści. Pasowałem mu do koncepcji i nie wyobrażał sobie, bym nie przyszedł do jego zespołu. Tak długo mnie namawiał, że ponownie zmieniłem zdanie. W październiku podpisałem umowę ze Stalą i od razu zacząłem grać w podstawowym składzie. I tak przez kolejne sezony – dodaje reprezentant Polski.

Stal była coraz mocniejsza, w drużynie pojawiali się kolejni klasowi piłkarze, m.in. Jan Domarski, którego później zastąpił Andrzej Szarmach. W 1973 roku mielczanie wygrali ligę. W mistrzowskim sezonie coraz bardziej wyróżniał się Rześny. Nie uszło to uwadze Kazimierza Górskiego. Do kadry powołał go już w 1972 roku, ale wtedy jeszcze nie zagrał. – Twardo walczyliśmy o miejsce

w składzie, miałem znamienitych konkurentów: Zbyszka Guta i Antka Szymanowskiego. Byłem starszy, ale oni grali – przyznaje Rześny.

Tymczasem po wyjazdowej porażce z Walią (0:2) Górski podjął brawurową decyzję. W meczu z Anglią na prawej obronie zagrał debiutant. Guta w ogóle nie było w kadrze meczowej, a Szymanowski usiadł na ławce.

– Nie wnikałem, skąd taka decyzja. Kiedyś Jacek Gmoch powiedział mi, że to była jego sugestia, bo cenił mnie za szybkość, więc podpowiedział Górskiemu, że warto na mnie postawić. W Chorzowie w spotkaniu z Anglią nie mogłem zawieść. Patrzyła na nas cała Polska. Wszyscy zagraliśmy wielki mecz – mówi Rześny.

Jeszcze latem 1973 roku poleciał z kadrą na towarzyskie spotkania do Ameryki, ale tam częściej grał już Szymanowski.

– W następnym sezonie, w meczu Stali z Crveną Zvezdą Belgrad w Pucharze Europy, doznałem kontuzji mięśnia dwugłowego. Zamiast zejść z boiska, grałem do końca i uraz się pogłębił. Dochodziłem do siebie kilka tygodni, a Polacy wygrali w rewanżu z Walią 3:0, a potem był remis na Wembley. Co z tego, że już zupełnie wyzdrowiałem. Trudno było wskoczyć do drużyny, która osiągnęła taki sukces – wspomina obrońca Stali.

Gmoch rzeczywiście go cenił, bo następny raz w kadrze narodowej zagrał dopiero wtedy, kiedy on został selekcjonerem. Nowy szef Biało-Czerwonych chciał trochę pozmieniać po swoim poprzedniku i na prawej obronie wrócił do Rześnego, rezygnując między

innymi z Szymanowskiego. Piłkarz Stali miał wtedy 28 lat, ale w drużynie, która rozpoczynała walkę o awans na mundial w Argentynie, pojawiło się też kilku młodych zawodników ze Zbigniewem Bońkiem i Stanisławem Terleckim. Efekt był znakomity.

– Gmoch przed meczem z Portugalią podkreślał, że to kluczowe spotkanie, a wygrana otworzy nam drogę do Argentyny. Właśnie tak się stało – zwraca uwagę Rześny.

Miał wkład w ten sukces, lecz na mistrzostwa znowu nie pojechał. Selekcyjner odkurzył Szymanowskiego.

Rześny tak to przedstawia: – Plany pokrzyżowała mi kontuzja i... mój klubowy trener. Był nim Edmund Zientara, dawny piłkarz i szkoleniowiec Legii. Doskonale znał się z Gmochem, zresztą kiedyś grali razem w drużynie z Łazienkowskiej. Oczywiście dłuższy czas współpracowałem w Mielcu z Zientarą, ale jakoś nie nadawaliśmy na tych samych falach, nic na to nie poradzę. Miało to jednak niestety wpływ na moją przyszłość w kadrze narodowej. W ważnym ligowym meczu Stali z Legią grałem z urazem, na blokadzie i w drugiej połowie musiałem zejść z boiska. Przegraliśmy w Warszawie 2:3, a Zientara zaraportował selekcyjnerowi, że jestem w słabej formie, że do kadry się nie nadaję. I Gmoch wziął sobie do serca uwagi kolegi. Przestał mnie powoływać. Temat reprezentacji był dla mnie definitywnie zamknięty. Nie grałem już w eliminacjach, więc tym bardziej nie miałem szans na miejsce w 22-osobowym składzie na mundial.

Rześny ma się jednak czym chwalić. Nie chodzi tylko o te wygrane z reprezentacją, ale o ważne mecze ze Stalą w europejskich pucharach. Były więc potyczki ze wspomnianym już mistrzem Jugosławii, lecz także z innymi mocnymi wówczas drużynami: z Carl Zeiss Jena, Interem Bratysława, Hamburgerem SV. I przede wszystkim z Realem Madryt.

– W Mielcu przegraliśmy 1:2, w rewanżu było 0:1. Szkoda, że wtedy nie mógł grać Andrzej Szarmach, który przyszedł do nas z Górnika Zabrze, ale kluby nie mogły się dogadać, początkowo był zawieszony – przypomina Rześny.

Dzisiejsza Stal o takich meczach może tylko pomarzyć. Tym bardziej Rześny dla dzisiejszych piłkarzy z Mielca jest dowodem, że nie tylko talentem, ale też ciężką pracą można zejść bardzo daleko.

Urodzony: 2 sierpnia 1946 roku w Łukowie

Pozycja na boisku: obrońca

Reprezentacja Polski: 6 meczów, 0 goli

Kluby: *Orlęta Łuków (juniorzy), Chrobry Szczecin (juniorzy), Pogoń Szczecin (1963–64), Motor Lublin (1964–70), Stal Mielec (1970–78;*

197 meczów, 3 gole), Falcons/USA, Adria Chicago/USA, Wisła Chicago/USA, Panhalenik Toronto/CAN, Polonia Hamilton/CAN

Mistrz Polski (1973, 1976)

Wszystko wyszarpałem sobie sam, od zera. Dlatego wiem, że ciężką pracą można dojść bardzo daleko. Ale ja mogłem jeszcze dalej – mówi Jan Furtok.

W Hamburgu pamiętają go do dzisiaj, bo jest Polakiem, który umiał błyszczeć przy takich asach jak Oliver Bierhoff, Thomas von Heesen, Thomas Doll i Uwe Bein. Dla kibiców tego klubu najpierw był anonimowym przybyszem, ale szybko podbił ich serca, bo w 1. Bundeslidze potrafił w jednym sezonie strzelić 20 goli. Tak się spełniał jego sen o wielkim futbolu, bo kilkanaście lat wcześniej o podobnej karierze mógł tylko śnić.

– Ciasne mieszkanie na Kostuchnie, pełno dzieciaków. Było nas dziewięcioro, ale jedno szybko zmarło. A ja najmłodszy. Starsi grali w piłkę, to patrzyłem i próbowałem tak jak oni. Żaden wysoko się nie wybił, a mnie wzięli do GieKSy. Chyba dobry byłem, że się nadawałem – mówi Furtok.

Jest tak dużą legendą GKS Katowice, że w ligowej drużynie nikt nie ma prawa zakładać koszulki z numerem 9, bo „dziewiątkę” to on nosił na plecach. – Wiadomo, że GieKSa jest dla mnie najważniejsza, ale ja lubiłem też Górnik Zabrze. Tak mnie kusili, że niewiele

brakowało, a wylądowałbym przy Roosevelta
– śmieje się Furtok.

Górnik w latach 80. miał piekielnie silną ekipę. Furtok do konstelacji zabrzańskich gwiazd pasował, bo był szybki, dynamiczny i skuteczny. Na boisku zadziora, bezlitosny, jak złapał, to nie puszczał. O takich piłkarzach mówiło się, że mają naturalny ciąg na bramkę.

– Ludzie z Górnika wszędzie za mną łazili, podstawiali samochód, żebym nie musiał tracić czasu. Wozili do domu, na sprawunki, wszędzie, gdzie było trzeba. Miałem kontuzję, nogę w gipsie, ale w ogóle się nie zrazili. Zrobili się wtedy jeszcze bardziej uczynni. Pomagali we wszystkim, paczki do szpitala wysyłali. A potem dalej wozili – opowiada napastnik drużyny z Bukowej.

Z transferu nic nie wyszło, bo mający sporo do powiedzenia w GieKSie Marian Dziurów był nie w ciemną bity. Wiedział, że Furtoka warto zatrzymać za wszelką cenę, a potem sprzedać do Niemiec czy Francji za „prawdziwe” pieniądze. W końcu dopiął swego. Przekonał piłkarza, żeby nie zmieniał klubu. A że Górnik był lepszy i bogatszy? Może i tak, ale GieKSa też miała swoje ambicje, no i Górnikowi potrafiła wyrządzić krzywdę.

Największą 1 maja 1986 roku, w finale Pucharu Polski na Stadionie Śląskim. 50 tysięcy ludzi przecierało oczy ze zdumienia, gdy rozjuszony faworyt nadziewał się na katowickie kontry. Górnik – GKS 1:4! Furtok strzelił trzy gole! – Czy to był mój najlepszy mecz? Może i tak, pewnie najbardziej spektakularny, w najodpowiedniejszym dla

mnie momencie. Bo hat tricki to ja miałem też w 1. Bundeslidze – zaznacza snajper GKS.

Bezpośrednio po meczu w Chorzowie rozpoczynało się zgrupowanie reprezentacji Polski przed mistrzostwami świata w Meksyku. Furtok szybko dołączył do kadrowych kolegów z drugiej strony barykady. On z GieKSy był sam, a z Górnika aż sześciu chłopów, co dobrze obrazowało różnicę między dwoma klubami i skalę pucharowego sukcesu drużyny trenera Alojzego Łyski.

– Byłem w formie jak cholera, ten finał Pucharu Polski dodał mi tylko energii. Selekcjoner Antoni Piechniczek mówił, że będę grał na mundialu. A potem, że jednak nie będę. No i skończyło się na tym, że dał mi 30 minut w 1/8 finału z Brazylią, kiedy przegrywaliśmy 0:2 i wszyscy czuli, że jest już pozamiatane. Miałem wejść i sam ograć tych Brazylijczyków? Czułem, że dostałem pół godziny tylko dla świętego spokoju, żeby się nie czepiali, że Furtok był na mundialu w dużej formie, ale nawet murawy nie powąchał. No to powąchałem. Ot, i cała moja mundialowa historia. Tego żałuję, bo mogło i powinno być więcej powodów do przyjemnych wspomnień... – opowiada napastnik z Katowic.

Po powrocie do ligowej rzeczywistości nadal błyszczał w GKS, a w strzelaniu był regularny – jeden sezon: 16 goli, następny: 18. Ekstraklasa stawała się dla niego za ciasna. Czuł, że jeśli wyjeżdżać, to właśnie teraz. Miał 26 lat, optymalny wiek, za chwilę może być za późno. Niemcy już go znali, obserwowali. Wiosną 1988 roku ważyły się losy awansu

reprezentacji Polski do igrzysk olimpijskich w Seulu. Warunkiem przedłużającym nadzieje była wygrana z RFN. 27 kwietnia, niemal dokładnie dwa lata po pamiętnym finale Pucharu Polski, znowu na Stadionie Śląskim, znowu przy 50-tysięcznej publiczności Furtok zagrał jeszcze ważniejszy mecz. Długo utrzymywał się bezbramkowy rezultat. Kwadrans przed końcem spotkania Polacy za faul na Marku Leśniaku mieli rzut karny. Napastnik GieKSy wykorzystał go z zimną krwią. – Lubilem strzelać karne. Jak się umie, to człowiek nie ma stresu – uśmiecha się Furtok.

Kibice od kilku minut skandowali „Seul! Seul!” i w uniesieniu zaczęli śpiewać Mazurka Dąbrowskiego. Nagle zamarli. Niemcy wyrównali w doliczonym czasie gry. Igrzyska przepadły, zostały już tylko jakieś iluzoryczne szanse, bez znaczenia. – To jedno z moich najgorszych piłkarskich przeżyć, może najgorsze. Na mundialu byłem rezerwowym, a teraz uciekał mi inny wielki turniej...

Niemcom podobał się coraz bardziej. Jeszcze tego samego roku wyjechał do 1. Bundesligi, choć transfer rodził się w bólach. Chciał go Hamburger SV, Dziurowicz znowu był twardym negocjatorem. Zaczął się nowy sezon, a Furtok ciągle grał w Katowicach. Pomógł mu międzypaństwowy towarzyski mecz z NRD w Cottbus. Polacy wygrali 2:1, Furtok strzelił dwa gole. Determinacja Niemców już była duża, ale wtedy jeszcze wzrosła, spełnili warunki polskiego klubu. Zapłacili półtora miliona marek. – Pieniądze na pewno były spore, ale akurat nie dla mnie – uściśla Furtok.

Zanim podpisał kontrakt, kontaktował się z Mirosławem Okońskim, który właśnie skończył grę w HSV. Bywały z nim problemy, bo lubił się zabawić, ale przy tym piłkarzem był zupełnie niepowtarzalnym.

– Mirek to Mirek, jedyny w swoim rodzaju. Kibice go kochali, bo bardzo przyjemnie się oglądało, jak gra. Opowiedział mi trochę o Hamburgu, o pieniądzach, które można tam zarobić. Ale ja aż takich nie dostałem – jeszcze raz zaznacza piłkarz z Kostuchny.

W HSV miał być następcą „Oko”, ale też Bruno Labbadii, który ostatni mecz w barwach tego klubu rozegrał tuż przed debiutem Furtoka. – Patrzyli na mnie z nadziejami, skoro byłem rodakiem Okońskiego, ale też z obawami, czy na pewno sobie poradzę. Wrzucili mnie na głęboką wodę, wstawili do wyjściowego składu. Graliśmy z Karlsruher SC, w bramce gości Aleksander Famuła, były zawodnik Górnika Zabrze. Bierhoff dogrywa mi piłkę, a ja kieruję ją do siatki na 1:0. Tak się przedstawiłem kibicom, potem było już łatwiej. Żał mi było trochę Olka, ale każdy musi walczyć o swoje, nie ma przebaczenia... – wspomina katowiczanie.

W Hamburgu cieszył się coraz większym uznaniem. – Robiłem, co umiałem najlepiej, czyli strzelałem gole, to się i wicekrólem strzelców zostało. Poza tym chciałem normalnie żyć, na poziomie, który umożliwia mi gra w 1. Bundeslidze. Nie szalałem, ale też święty nie byłem. Czasami i piwko się wypilo, w końcu to też dla ludzi. Chyba mnie cenili. Mam dowody, bo gdy potem czasem jeździłem do Hamburga, to

w restauracjach kucharze otwierali przede mną drzwi – argumentuje były reprezentant, który w kadrze został jednak zapamiętany jako ten, który w Łodzi strzelił San Marino gola ręką.

Była bowiem „ręka Boga” Diego Maradony na mundialu w Meksyku, to i Furtok zafundował Polakom „boską” rękę, choć akurat tym razem było to jakieś zaściankowe i w ogóle niespektakularne. W każdym razie sędzia bramkę uznał, tak samo jak Argentynie w meczu z Anglią. Furtok ręki się nie wypiera, bo też trudno zaprzeczać obrazowi telewizyjnemu, ale jednocześnie zauważa, że tylko dlatego udało się wygrać mecz o punkty w eliminacjach MŚ 1994 (1:0). Dziwne to było starcie. W następnym miesiącu na wyjeździe Polacy łatwo wygrali 3:0.

W tym samym 1993 roku Furtok przeniósł się do Eintrachtu Frankfurt, spędził tam dwa sezony. W drużynie Juppa Heynckesa strzelił gola Juventusowi Turyn (1:1) w ćwierćfinale Pucharu UEFA i... postanowił wrócić do Polski. – Mówię do żony: „Już mam dość, nic mi się nie chce. Wracajmy do domu”. W klubie nie mogli uwierzyć, bo miałem jeszcze ważny kontrakt. Nie chciałem już tego ciągnąć, achillesy coraz bardziej mnie bolały. I wróciliśmy.

Na koniec znowu grał w swojej GieKSie. – Ale już bardziej chodziłem po boisku. Parę goli jeszcze strzeliłem. Pomogłem tyle, ile jeszcze mogłem. Fajnie, że na koniec znowu byłem na Bukowej – przyznaje najlepszy piłkarz w historii GKS.

Urodzony: 9 marca 1962 roku w Katowicach

Pozycja na boisku: napastnik

Reprezentacja Polski: 36 meczów, 10 goli

Uczestnik mistrzostw świata 1986

Kluby: *MK Górnik Katowice (1976–77), GKS Katowice (1977–88*

i 1995–97; 209 meczów, 85 goli), Hamburger SV/GER (1988–93;

135 meczów, 51 goli), Eintracht Frankfurt/GER (1993–95;

53 mecze, 9 goli)

Zdobywca Pucharu Polski (1986)

Drugiego takiego snajpera GKS Tychy nigdy nie miał. Kazimierz Szachnitowski we wszystkich oficjalnych meczach strzelił grubo ponad 100 goli. I miał w sobie coś ze znanego Argentyńczyka.

Długie, rozwiane włosy, fantazja, imponujący ciąg na bramkę rywala. Taki był Kazimierz Szachnitowski. I taki był Ruben Ayala, którego w 1974 roku polscy kibice dobrze znali, bo grał w reprezentacji Albicelestes na wspaniałych dla nas mistrzostwach świata. Charakterystyczna sylwetka oczywiście musiała zapaść w pamięć komentującego mistrzowskie mecze dla telewizji Jana Ciszewskiego. Sześć tygodni po turnieju zaczął się nowy sezon rozgrywkowy w Polsce, zupełnie wyjątkowy dla GKS Tychy, który po raz pierwszy występował w ekstraklasie. Na inaugurację zremisował z Lechem Poznań (1:1), potem przegrał w Zabrzu z Górnikiem (1:4). Trzecim rywalem była Legia.

– Mecz pokazywali w telewizji. Komentował go Janek Ciszewski, który szybko doszedł do wniosku, że przypominam mu Ayalę i podczas transmisji zaczął mnie tak nazywać. No i później byłem już Ayalą z Tychów. Na dobre przyłgnęło do mnie nazwisko Argentyńczyka – opowiada Szachnitowski.

26 sierpnia 1974 roku był dla niego ważnym dniem, bo GKS pokonał Legię 2:1. Pierwsze zwycięstwo w ekstraklasie, ale on na swojego gola w elicie musiał jeszcze trochę poczekać. Strzelił od razu dwa – w październiku ze Śląskiem Wrocław (3:1), który między słupkami miał mundialowego dublera Zygmunta Kalinowskiego.

GKS Tychy w latach 70. w ekstraklasie zagrał tylko trzy sezony i był to dla niego szalony czas. Po dramatycznej walce przegrał o włos mistrzostwo Polski ze Stalą Mielec. Spróbował prawdziwej europejskiej piłki w pucharowych meczach z 1. FC Köln, po czym... spektakularnie spadł do drugiej ligi. Ważnym uczestnikiem wszystkich tych zdarzeń był Szachnitowski.

Pochodził z Jasienia na ziemi lubuskiej, ale w piłkę na poważnie zaczął grać w Zastalu Zielona Góra. Pokazał się w drugiej lidze, dostawał ciekawe oferty. – Chcieli mnie w Lechu Poznań, w Stali Mielec, ale wybrałem Tychy. Zmieniło się życie całej mojej rodziny, bo na Górny Śląsk przenieśliśmy się z mamą, tatą i rodzeństwem – przyznaje piłkarz.

O wojsko nie musiał się martwić, bo choć miał kategorię A, to dzięki pracy w straży pożarnej dołożono mu kategorię D, co oznaczało, że jest niezdolny do czynnej służby wojskowej w czasie pokoju. Mógł się skupić na graniu w piłkę bez narażania na kuszenie przez mundurowe kluby, które w stosunku do młodych zawodników lubiły używać koszarowych argumentów.

– Byłem już chyba pół roku w Tychach, gdy zgłosiła się Legia. Gdybym nie miał

załatwionych spraw z armią, różnie mogłoby być. A tak ze spokojnym sumieniem podziękowałem za zainteresowanie i dalej grałem w swoim klubie – opowiada Szachnitowski.

Z drugiej strony dzisiaj jeszcze bardziej zdaje sobie sprawę, że przejście na Łazienkowską otworzyłoby przed nim nowe możliwości. – Gdybym grał w Legii, pewnie byłbym w drużynie na igrzyska olimpijskie w Montrealu i na mistrzostwa świata w Argentynie – ocenia. W obu przypadkach był powoływany do szerokiej kadry, w 1976 roku przez Kazimierza Górskiego, a później przez Jacka Gmocha. Przegrywał rywalizację. Jest jednak przekonany, że status piłkarza Legii prostował drogę do reprezentacji.

Poprzestał na grze w kadrze B. – Strzelałem w niej nawet gole. Tyle mojego... – mówi po latach.

Wtedy, w połowie lat 70., pewnie się nie spodziewał, że jego przywiązanie do GKS Tychy będzie tak trwałe. W Polsce nie zagrał już w żadnym innym klubie. Stał się jedną z najważniejszych postaci tyskiego futbolu, choć konkurentów miał zacnych – wicemistrza olimpijskiego Romana Ogazę, innego reprezentanta Polski Eugeniusza Cebrata, Alfreda Potrawę czy Krzysztofa Sitkę. – Doliczyłem się 300 oficjalnych meczów, w których zdobyłem 127 bramek. Następni na tej liście nie przekroczyli nawet 100 – zwraca uwagę najlepszy strzelec w historii GKS.

Jego życiowy sezon był także najlepszy dla Tychów. Nigdy wcześniej ani później takie piłkarskie cuda w tym mieście się nie działy.

Zarazem Szachnitowski na własnej skórze przekonał się, co to znaczy otrzeć się o sportowy szczyt, by po chwili głową w dół runąć w przepaść.

W 1976 roku w naszej lidze było kilku mocarzy z medalistami mistrzostw świata w składzie, ale wszystkich mógł pogodzić GKS Tychy. Zespół Szachnitowskiego radził sobie doskonale. W przedostatniej kolejce mielecka Stal tylko zremisowała u siebie z Polonią Bytom (0:0), a GKS wygrał na wyjeździe z Legią (1:0). Przy Łazienkowskiej jedyne goła tuż przed przerwą strzelił Szachnitowski. – To dla mnie jedna z najpiękniejszych chwil. Wyrwaliśmy punkty wielkiej Legii, z Deyną i Ćmikiewiczem. Utrzymaliśmy się w grze o tytuł – przypomina bohater opowieści.

Przed finałową kolejką Tychy i Stal zgromadziły tyle samo punktów, ale mielczanie mieli znacznie lepszy bilans bramkowy. Tyszanie grali jednak u siebie z Pogonią Szczecin, a Stal jechała na trudny teren do Rybnika. Plan w Tychach był prosty i realny – pokonać Portowców i liczyć, że ROW nie przegra ze Stalą.

– Piłkarze z Rybnika odgrażali się, że nie odpuszczą, że w ogóle nie ma mowy, że tytuł mistrza Polski będzie na Górnym Śląsku. Naprawdę im uwierzyłem. Dlatego później byłem rozczarowany, bo stało się coś dokładnie odwrotnego – mówi Szachnitowski. Co z tego, że GKS wygrał 2:1, strzelając zwycięskiego gola z rzutu karnego w 89. minucie, skoro ROW przegrał aż 2:5! Pretensje o podejrzenie pasywną postawę gospodarzy w tamtym meczu można usłyszeć w Tychach do dzisiaj, i to nie tylko od Szachnitowskiego.

– Ale jakie pretensje? Dostali 5:2, jechaliśmy z nimi jak z furą siana. Mieliśmy wtedy superskład, nawet naszą ławkę rezerwowych każdy inny zespół w ekstraklasie wzięłoby z pocałowaniem ręki. Byliśmy najlepsi i w tej ostatniej kolejce nic nam nie mogło zaszkodzić – opowiadał kiedyś as Stali Grzegorz Lato.

GKS został więc wicemistrzem Polski, co i tak było oszałamiającym sukcesem. W nagrodę zagrał w Pucharze UEFA, trafiając na naszpikowany znanymi piłkarzami 1. FC Köln. W pierwszym meczu tyszanie przegrali 0:2. Rewanż odbył się na Stadionie Śląskim, na który po wyjazdowej porażce przyszło tylko 20 tysięcy kibiców.

– Szkoda, że jednak nie zagraliśmy na swoim boisku. Podobno nasi działacze obawiali się kar z UEFA, bo nie było odpowiedniego wyposażenia technicznego dla niemieckich dziennikarzy, którzy mogli później protestować, więc bezpieczniej było zagrać na Śląskim – przypomina sobie Szachnitowski. Sensownie brzmi również wersja, że klub, decydując się na przenosiny, chciał sporo zarobić na przychodach z wysokiej frekwencji. No i się przeliczył.

Mecz miał dużą dramaturgię, bo po trafieniu Romana Ogazy już w 18. minucie gospodarze długo prowadzili. Drugi gol dawałby im dogrywkę. Niespodzianka wisiąca w powietrzu. Trener Aleksander Mandziara na 20 minut przed końcem spotkania wpuścił do gry dwóch ofensywnych piłkarzy, m.in. Szachnitowskiego. Tyszanie już trochę mniej myśleli o defensywie, co Niemcy wykorzystali. Po jedynym błędzie świetnie broniącego

Cebrata wyrównał Dieter Müller, świeżo upieczony król strzelców mistrzostw Europy.

– Słynny trener Hennes Weisweiler tak bardzo się cieszył, że uderzył głową o ramę ławki trenerskiej – mówi syn trenera GKS Adam Mandziara, który dzisiaj jest prezesem Lechii Gdańsk. Wtedy miał dziewięć lat i siedział na trybunach. – Wielkie przeżycie. Byłem bardzo dumny z ojca, mimo że jego drużyna nie awansowała, ale przecież remis to też duża sprawa. Zresztą właśnie po tym meczu został w Niemczech zauważony. Po jakimś czasie udało mu się wyjechać na Zachód i miał ułatwiony start w tamtejszym futbolu – tłumaczy Mandziara junior.

Dla Szachnitowskiego ten mecz żadną przepustką jednak się nie okazał. Był niczym łabędzi śpiew dla drużyny, która w tym samym sezonie spadła z ekstraklasy i już nigdy jako GKS do niej nie wróciła (w Tychach w latach 90. grał jeszcze Sokół – sztuczny twór po fuzji z Sokołem Pniewy).

– Po wicemistrzowskim sezonie wszystko poszło nie tak. Za dużo było odcinania kuponów od sukcesu, a za mało porządnej piłkarskiej pracy. Latem na przykład bezsensownie ze szkoleniowego punktu widzenia pojechaliśmy do Ameryki. Traciliśmy czas, nie skupialiśmy się na piłce i doszło do katastrofy – smutno analizuje Szachnitowski, który następnie pięć lat grał w Finlandii, lecz potem wrócił do trzecioligowca z Tychów i tam zakończył karierę.

Urodzony: 5 lutego 1953 roku w Jasieniu

Pozycja na boisku: napastnik

Kluby: *Stal Jasień (do 1966), Zastal Zielona Góra (1966–74),*

*GKS Tychy (1974–77 i 1988–89; 88 meczów, 19 goli),
Myllykosken Pallo/FIN (1983–88)*

W kultowym filmie fikcyjny piłkarz Jan Laguna „złamał poprzeczkę Związkowi Radzieckiemu”. Jak najbardziej prawdziwy napastnik Jerzy Sadek nie był gorszy – zerwał siatkę Szkocji.

W „Piłkarskim pokerze” Laguna jest jak Gerard Cieślik, który w 1957 roku w Ruskim co prawda poprzeczki nie złamał, ale dwa zwycięskie gole na Stadionie Śląskim strzelił. W prawdziwym świecie Jerzy Sadek w 1965 roku na Hampden Park dał Biało-Czerwonym wygraną 2:1 w meczu ze Szkocją. Na cztery minuty przed końcem spotkania nawinął sobie rywala w polu karnym i oddał mocny, celny strzał. Piłka nie zatrzepotała jednak w siatce. „Zerwał ją!” – miał krzyknąć komentator, a podobno w jego głosie podziw zmagął się z niedowierzaniem. I tu zaczyna się legenda, bo przecież skutki solidnego strzału Polaka dało się zupełnie niesensacyjnie wytłumaczyć. Siatka nie została porządnie napięta na wszystkie zaczepy, więc futbolówka jakoś się przecisnęła. Inna sprawa, że w tamtych czasach niekoniecznie ściągano ją po każdym meczu, była narażana na szybsze niszczenie, więc łatwiej dawała się nawet rozerwać bez użycia niespotykanej siły.

I w końcu rzecz najistotniejsza: z telewizyjnych migawek z tamtego meczu nie

wynika, że po strzale Polaka siatka została zerwana, bo piłka nie pomknęła hen, w kierunku trybun, ale grzecznie zatrzymała się w okolicach narożnika bramki... Od czego jednak mamy wyobraźnię. Niech zatem będzie! Sadek na Hampden Park grzmotnął z taką mocą, że sito nadawało się tylko do wymiany. Strzelił tak potężnie, że gdyby trafił w poprzeczkę, toby ją niechybnie złamał jak Laguna. Prawda, że piękna opowieść?

– Ale kopnięcie to on faktycznie miał, na dodatek z obu nóg, nie robiło mu różnicy. W lidze rywale się tego bali, a on ten respekt bezlitośnie wykorzystywał. Wykonywał więc zamach, że niby strzela, obrońca się wtedy odwracał, by nie przyjąć centralnie potężnego uderzenia z najbliższej odległości, a on wtedy walił na bramkę z drugiej nogi. Na karne miał prostszy sposób. Kopał na siłę, w środek bramki, górą. Bramkarze sobie z tym nie radzili – opowiada Mirosław Bulzacki, jego kolega z ŁKS.

Mecz ze Szkotami przybliżał nas do awansu na MŚ w Anglii, ale w ostatnim spotkaniu trzeba było wygrać na wyjeździe z Włochami. Tym razem cudowne umiejętności Sadka nie pomogły. Polacy przegrali 1:6. To jedna z najdotkliwszych porażek w dziejach naszej reprezentacji. Biało-Czerwoni na angielski mundial nie pojechali, ale pół roku przed mistrzostwami na Wyspach nogę postawili, by w towarzyskim meczu sprawdzić formę późniejszych zdobywców tytułu. I wywalczyli zaskakujące 1:1, a czas pokazał, że w 1966 roku dla Anglików było to jedyne z ośmiu przedturniejowych spotkań, którego nie wygrali. Nigdy wcześniej nasza reprezentacja

nie zmierzyła się z dumnymi Synami Albionu, a po latach też wiemy, że na 19 prób udało się z nimi wygrać tylko raz – w 1973 roku 2:0 w Chorzowie.

Na otwarcie polsko-angielskich potyczek jako pierwszy na Goodison Park w Liverpoolu gola strzelił Sadek. Tym razem nie było odpalenia armaty, lecz przytomne dołożenie nogi z pięciu metrów do piłki dogrywanej z prawego skrzydła. Wielki Gordon Banks nie miał szans. Polacy na przerwę schodzili z prowadzeniem, dopiero w drugiej połowie wyrównał Bobby Moore.

W ten sposób Sadek stał się specjalistą od poskramiania Wyspiarzy. Najpierw Szkocja, teraz Anglia – to nie mogło przejść niezauważone. Skoro błysnął na Goodison Park, szczególnie zainteresował się nim Everton. Oferował za niego 100 tysięcy funtów, lecz w tamtych czasach legalny transfer nie wchodził w rachubę. Był za młody, miał dopiero 24 lata, za granicę ewentualnie puszczali dopiero po trzydziestce, w zasadzie na piłkarską emeryturę. Można oczywiście było to zrobić z naruszeniem przepisów i potem stawiać polskie władze przed faktem dokonanym. Tak uczynił kolega Sadka z kadry narodowej Janusz Kowalik, który jako 23-latek wyemigrował do USA, gdzie z powodzeniem grał w North American Soccer League, a dwa lata później wrócił do Europy i został gwiazdą ligi holenderskiej w Sparcie Rotterdam. Przypomnienie opisywanej szczegółowo w innym miejscu historii Kowalika ma tutaj znaczenie, bo to właśnie za jego sprawą Sadek trafił do klubu z Rotterdamu. Był początek 1973 roku, miał 31 lat i choć do reprezentacji nie dostawał już

powołań, był gwiazdą ligi i ofensywnym filarem ŁKS.

– Sparta szukała solidnego i doświadczonego zagranicznego napastnika. Skoro ja sobie dobrze radziłem (w sezonie 1971/72 Kowalik w Eredivisie strzelił 20 goli – przyp. red.), szefowie klubu uznali, że powinni sprowadzić jeszcze jednego Polaka. Bez wahania wskazałem na Jurka Sadka – wspomina wychowanek Cracovii.

Dla wszystkich była to idealna opcja, bo w zupełnie nowej rzeczywistości Sadek w dawnym koledze z reprezentacji miał duże wsparcie. – Mieszkaliśmy po sąsiedzku przy jednej ulicy i spędzaliśmy razem sporo czasu. Jurek szybko zdobył uznanie w klubie, bo trudno było nie zauważyć, że umie grać w piłkę, a te jego mocne strzały robiły prawdziwą furorę – zaznacza były piłkarz Sparty.

W Holandii Polaków ceniono, ale wtedy nie było ich tam zbyt wielu. Zanim pojawił się Sadek, już parę lat wcześniej oprócz Kowalika w tym kraju grali m.in. Jan Liberda, Norbert Pogrzeba, Kazimierz Frąckiewicz, Zygmunt Schmidt, a w tym samym czasie co Sadek również Jerzy Wilim i Jerzy Musiałek.

Sparta była klubem z ligowej czołówki. Przybysz z Łodzi zetknął się z reprezentantami Holandii – bramkarzem Pimem Doesburgiem (8A), obrońcami Hansem Eijkenbroekiem (18A), Hansem Vennekerem (4A), natomiast w ataku obok niego i Kowalika trzecim cudzoziemcem był znany Austriak Willi Kreuz, który później w narodowej drużynie grał jeszcze na mundialu w Argentynie. Sadek do

końca swojego pierwszego sezonu strzelił pięć goli, Sparta zajęła czwarte miejsce.

W sezonie drugim zdążył zagrać 10 meczów, nie strzelił w nich żadnego gola i późną jesienią zmienił klub na HFC Haarlem. Była to dobra decyzja – od listopada do końca sezonu w 20 występach strzelił pięć goli, przy czym wyszedł mu jeden kosmiczny mecz. W starciu z De Graafschap (ciekawostka: w drużynie rywali grał m.in. Guus Hiddink) jego nowy zespół wygrał 6:3, a Sadek cztery razy pakował piłkę do siatki! Dwa pierwsze gole w 3. i w 5. minucie!

W następnych rozgrywkach, w lidze demonstrujących piękny, nowoczesny futbol świeżo upieczonych wicemistrzów świata, nabierał dziewięć bramek i był najlepszym strzelcem drużyny. Haarlem spadł jednak do drugiej ligi. Sadek wciąż w nim grał i dopiero po awansie, mając 34 lata, wrócił do ŁKS. W takim wieku napastnik wieszał już buty na kołku, ale nie on. Ciągłe występował w ekstraklasie i miał już status piłkarskiego profesora.

Późna jesień. Na pokrytym kałużami, rozmokłym boisku trenują piłkarze ŁKS. Trener zarządza gierkę. Utalentowany osiemnastolatek walczy o piłkę z weteranem Jerzym Sadkiem i oczywiście nie zamierza odpuścić, wkłada całą swoją energię i inwencję. Mija rutyniarza, posyłając piłkę między jego nogami. Sadek momentalnie się prostuje i gromi zuchwałego juniorka: „Ej, młody, nie waż się robić tego więcej!”. „Przepraszam, panie Jerzy, nie chciałem.

Przypadkowo wyszło. Na pewno już nie będę”
– kaja się młodzian.

– To wcale nie jest anegdota, ale najczystsza prawda. Sadek był panem piłkarzem i należał mu się szacunek objawiający się także w tym, że na treningu nie należało mu zakładać siatek – wspomina „winowajca” Marek Chojnacki. – Wchodziłem dopiero do drużyny, a Sadek był postacią, która młodych chłopaków inspirowała. Grał w reprezentacji, strzelał gole Wyspiarzom, zaistniał w wymagającej lidze holenderskiej. I wrócił do naszego ŁKS, żeby nam jeszcze pomóc. Dzisiaj mogę tylko powiedzieć, że miałem zaszczyt przez pół roku trenować z Jerzym Sadkiem – podkreśla Chojnacki, który w barwach ŁKS zagrał 452 ekstraklasowe mecze.

Po zakończeniu kariery Sadek pozostał wiernym kibicem ŁKS, mocno przeżywał jego spadek z ekstraklasy i późniejszą degrengoladę. Nie doczekał jego powrotu do elity. Zmarł w Żyrardowie w 2015 roku.

Urodzony: 13 stycznia 1942 roku w Radomsku

Zmarł: 4 listopada 2015 roku w Żyrardowie

Pozycja na boisku: napastnik

Reprezentacja: 18 meczów, 6 goli

Kluby: *Stal Radomsko (1954–56), Czarni Radomsko (1956–61),*

ŁKS Łódź (1961–72 i 1976–78; 213 meczów, 69 goli),

Sparta Rotterdam/NED (1973; 23 mecze, 5 goli),

HFC Haarlem/NED (1973–76; 54 mecze, 14 goli)

Mówią, że Lech Wałęsa musiał przeskoczyć przez płot, aby dołączyć do strajkujących stoczniovców. W Gdańsku wcześniej przez ogrodzenie skakał Tomasz Korynt. I to nie raz – aby zdążyć z uczelni na trening Lechii.

Wtedy jeszcze był piłkarzem Biało-Zielonych, ale wkrótce przeniósł się do Arki Gdynia. Z jednej strony taki ruch był zrozumiały, bo arkowcy grali w pierwszej lidze, a Lechia w drugiej, poza tym on od zawsze mieszkał w Gdyni. Z drugiej jednak wywołał zdumienie, bo ojciec, wybitny piłkarz Roman Korynt, był legendą Lechii i kiedyś właśnie do tego klubu zaprowadził syna na pierwszy trening.

– W szkole wołali za mną: „Lechia dziady”, a po przenosinach do Arki przez parę ładnych lat nie mogłem się pokazać w Gdańsku. Miałem niepisany szlaban. Nie było tam dla mnie tak całkiem miło i bezpiecznie – przyznaje Korynt. – Wracałem kiedyś z meczu Bałtyku z Lechią, grałem wtedy w Arce, oglądałem go z trybun. No i w trójmiejskiej kolejce spotkałem się z szalikowcami Lechii, którzy nagle w mocnej grupie wparowali do niemal pustego wagonu i oczywiście mnie rozpoznali. Pot zrosił mi czoło, marzyłem, żeby dojechać do następnej stacji. Udało się,

ale to była chyba najdłuższa podróż w moim życiu – opowiada traumatyczną historię.

Palców obu rąk wystarczy, by policzyć polskich reprezentantów, którzy doczekali się synów również z występem w naszej kadrze narodowej. Taką parę tworzą Koryntowie.

– Ojciec zainteresował mnie futbolem i potem przerodziło się to w pasję. Prowadził albumy z pomeczowymi wycinkami z gazet i ze zdjęciami, często tam zaglądałem. Fascynowały mnie te wszystkie opisy, relacje, wywiady, informacje o składach, strzelcach goli, no i wyróżnianie mojego taty. Zacząłem marzyć, że jak będę duży, zostanę piłkarzem. Od najmłodszych lat kopałem piłkę. Mama mnie zabierała na wszystkie mecze, w których ojciec grał w Gdańsku – opowiada Tomasz Korynt.

Nic dziwnego, że dla małego Tomka tata był piłkarskim idolem. – Mecze z udziałem ojca pamiętam jak przez mgłę. Byłem wtedy bardzo mały, jednak konkretne przebłyski zostały przechowane w dziecięcej głowie i są tam aż do dzisiaj. Na przykład było takie spotkanie Lechii z Polonią Bytom: w bramce gości Szymkowiak, wielki zawodnik, budzący respekt. Lechia wówczas wygrała, strzelała gole wielkiemu bramkarzowi, a mój tata był jednym z bohaterów. Pamiętam to! Duma mnie rozpierała – wspomina.

Dla ojca powodem do szczególnej chluby było przede wszystkim legendarne zwycięstwo nad Związkiem Radzieckim w 1957 roku na Stadionie Śląskim (2:1). Gole strzelał Cieślik, asystował Brychczy, lecz bezcenną robotę w defensywie wykonywał Korynt senior. –

Nigdy drobiazgowo nie wypytywałem ojca o ten wygrany mecz z ZSRR, pewnie dlatego, że często opowiadał o nim dziennikarzom. Sytuacja jest więc taka, że odkąd sięgam pamięcią, wiem, że mój tata występował w tym pamiętnym spotkaniu – mówi.

Młody Korynt był więc skazany na futbol, ale wybrał nietypową drogę, bo zadbał również o staranną edukację. Będąc pierwszoligowym graczem, zdobył dyplom inżyniera.

– Studia traktowałem jako coś na później, po zakończeniu kariery, i wcale to nie oznaczało, że wątpilem, że będę dobrym piłkarzem. Rodzice też mnie namawiali, żebym poważnie traktował naukę i próbował się specjalizować w konkretnym kierunku. Takie rozmowy w domu były już przed wyborem szkoły średniej.

Wybrał Technikum Samochodowe, później Politechnikę Gdańską i Wydział Budowy Maszyn, kierunek: samochody i ciągniki, studia w trybie dziennym. Nigdy później w tym zawodzie nie pracował, ale prowadził firmę transportową, więc przekornie zauważa, że na coś lata niełatwej edukacji się przydały.

– Uparłem się, że pogodzę studia z graniem w piłkę i dałem radę. Kosztowało mnie to dużo wysiłku, przed egzaminami do rana ślecząłem nad książkami. Treningi na tym cierpiały, więc musiałem pracować indywidualnie, żeby wszystko nadrobić. Na szczęście Politechnika miała siedzibę tuż za ogrodzeniem, wystarczyło przeskoczyć przez płot i już byłem na stadionie. Skakałem przez niego jak Lecha Wałęsa? Nigdy nie skojarzyłem tych dwóch

historii, ale może to rzeczywiście gdańska specjalność.

Był uparty, dlatego do wymarzonej kadry narodowej też się dostał. Na krótką, ale podniosłą chwilę. 4 kwietnia 1979 roku zagrał z Węgrami (1:1) w meczu towarzyskim, ale z godną oprawą, bo na Stadionie Śląskim, w obecności 60 tysięcy ludzi. Na boisku pojawił się na końcówce 16 minut, zastępując innego debiutanta, Michała Wróbla z Wisły Kraków.

– Grywałem wcześniej w kadrze B, w reprezentacji U-23, między innymi z Jurkiem Gorgoniem i Zbyszkiem Bońkiem. Wejście do reprezentacyjnej szatni przed debiutem z Węgrami oczywiście zrobiło na mnie wrażenie, ale dobrze się w niej czułem. Rozumiałem swoją drugoplanową rolę. Wiedziałem, że są tam ludzie, którzy coś już dla reprezentacji zrobili, niektórzy bardzo dużo. Boniek miał swoje głośne zdanie, ale myślę, że rządził Grzesiek Lato – zaznacza napastnik z Trójmiasta.

Starcie z Madziarami było próbą generalną przed czekającymi drużynę Ryszarda Kuleszy meczami w eliminacjach ME 1980 z NRD w Lipsku i z Holandią w Chorzowie. – Liczyłem, że nie skończy się tylko na debiucie. Trener Kulesza powołał mnie jeszcze na mecz z Holendrami, czyli znowu na Śląski. Polska wygrała 2:0, piękny sukces, a jednak ja całe spotkanie obejrzałem jedynie z ławki. Wymieniłem się koszulką, tyle mojego. A myślałem, że nadchodzi mój czas. Andrzej Szarmach szykował się już do zagranicznego wyjazdu, więc była nadzieja, że wskoczę na

dłużej do kadry. Na mojej pozycji selekcjoner wolał jednak stawiać na Włodka Mazura i Romka Ogazę. Na pewno nie pomagała mi postawa Arki, bo w lidze orłami nie byliśmy – tłumaczy.

Wiosna 1979 roku była dla Tomasza Korynta mimo wszystko udana, bo oprócz reprezentacyjnego debiutu właśnie z tą przeciętną w lidze Arką zdobył Puchar Polski. W wygranym 2:1 finale z Wisłą Kraków jednak nie zagrał. – W półfinale z Szombierkami Bytom (3:0) strzeliłem nawet gola, ale wielki finał obejrzałem z hotelowego łóżka w telewizji. Zmogła mnie angina. Nawet już wychodziłem z choroby, lecz po przyspieszonej kuracji byłem tak osłabiony, że ugiwały się pode mną nogi. Nie było mowy o żadnym graniu, w takim stanie na pewno bym nie pomógł – zauważa gwiazda tamtego zespołu.

Zagrał już za to w Pucharze Zdobywców Pucharów. W pierwszym meczu w Gdyni Arka wygrała z Beroe Stara Zagora 3:2, a on strzelił dwa gole. W rewanżu nie udało się obronić skromnej przewagi. Było 2:0 dla Bułgarów. Siedem lat po pamiętnym meczu reprezentacji (1:3 z Bułgarią) klątwa tego miasta dosięgła Arkę. – Wiem, że przegrani chętnie krytykują arbitrow, ale proszę mi uwierzyć, że naprawdę nas skrzywdzili. Bardzo żał tej porażki, tym bardziej że Bułgarzy w drugiej rundzie trafili na Juventus Turyn. Włosi zresztą też nie mieli z nimi łatwo. W Starej Zagorze przegrali 0:1 i awans wywalczyli dopiero po dogrywce – zaznacza napastnik dwóch gdyńskich klubów, bo po Lechii i Arce grał również w Bałtyku.

– Dopóki tata żył (Roman Korynt zmarł 15 lipca 2018 roku – przyp. red.), chodziłem z nim niemal na wszystkie domowe spotkania Lechii i Arki. Po jego śmierci na mecze do Gdańska już rzadko jeżdżę. Nadal bywam na stadionie Arki, jestem z nią na dobre i na złe – przyznaje inżynier Korynt.

Urodzony: 27 października 1954 roku w Gdyni

Pozycja na boisku: napastnik

Reprezentacja Polski: 1 mecz, 0 goli

Kluby: *Lechia Gdańsk (1970–77), Arka Gdynia (1977–82; 135 meczów,*

41 goli), Bałtyk Gdynia (1982–83 i 1987–89; 51 meczów, 8 goli),

First Vienna FC/AUT (1984), Limoges/FRA (1984–86),

Favoritner AC/AUT (1989), FC Seitenstetten/AUT (1990–91),

Orzeł Choczewo (1997–99 i 2004)

Zdobywca Pucharu Polski (1979)

Pół wieku temu każdy dzieciak kopiący piłkę na Śląsku Opolskim chciał być taki jak on. Dziś o największym futbolowym asie regionu mało kto pamięta. Nazywał się Jarek. Engelbert Jarek.

O tym, jak ubóstwiany niegdyś snajper popadł w obecnych czasach w zapomnienie, najlepiej świadczy fakt, że gdy w 2005 roku w opolskim dodatku „Gazety Wyborczej” ukazała się informacja, że żyjący jeszcze wówczas Engelbert Jarek jest jednym z kandydatów na patrona stadionu Odry Opole, nadgorliwy korektor poprawił autora tekstu, zmieniając personalia legendy opolskiego futbolu na „Jarosław Engelbert”. Spec od wyłapywania dziennikarskich błędów arbitralnie uznał, że to niemożliwe, aby piłkarz miał na imię Engelbert, a na nazwisko Jarek. No i „mądrze” poprawione poszło do druku.

Przedstawioną sytuację można potraktować jako zabawną anegdotę, ale całkiem możliwe, że zmarły w 2017 roku piłkarz, czytając tamten artykuł, jednak nie pękał ze śmiechu. Strzelił przecież 456 goli w 578 meczach, z czego 93 w ekstraklasie. Wszystko w barwach Odry Opole, której jako piłkarz był

uparcie wierny przez ćwierć wieku, choć kusiły go inne kluby. To chyba wystarczające powody, by nikt z Jarka nie robił Jarosława.

– Wszyscy chodziliśmy na mecze Jarka. „Betel”, bo tak go nazywaliśmy, to był gość! Uwielbiało go nie tylko Opole, ale cała Opolszczyzna. Jak był rzut wolny dla Odry z 18 metrów, już cieszyliśmy się z gola, bo jasne było, że „Betel” tak, za przeproszeniem, dupnie, że piłka na bank wpadnie do bramki. I wpadała – opowiada Bruno Tomaszek, znany działacz PZPN i były prezes Odry, który pół wieku temu, jak niemal każdy opolanin, był wielkim fanem zjawiskowego napastnika.

– Odra miała wielu dobrych piłkarzy, przecież w 1964 roku była trzecia w lidze, przed Legią Warszawa, Polonią Bytom, Ruchem, ale jeśli porównuję z Jarkiem innych naszych opolskich asów, dochodzę do wniosku, wszyscy byli doskonałymi rzemieślnikami, a on artystą – mówi Feliks Śmietański, który przez 23 lata był szefem Opolskiego Związku Piłki Nożnej.

– Pewnie, że chodziłem na Odrę, no jakże mógłbym nie chodzić?! Opole to moje miasto, przecież tu się urodziłem. Ojciec był kolejarem, miał darmowe bilety PKP, więc na wyjazdy też się jeździło – mówi były bramkarz Odry Andrzej Krupa. Za wielki honor poczytuje sobie fakt, że Jarek, którego jako dzieciak oglądał z wielkim podziwem, potem stał się jego kolegą z boiska. Dzieliło ich 13 lat, on wtedy wchodził do drużyny, a „Betel” był w niej niekwestionowanym autorytetem.

– Z jego zdaniem liczyli się inni piłkarze i nawet trener, a co dopiero ja, który dopiero

uczyłem się dorosłego futbolu – mówi Krupa, który debiutował w ekstraklasie jako siedemnastolatek.

Wiele razy Jarek prowadził Odrę do sukcesów. Jej starsi kibice świetnie pamiętają choćby mecz z Legią z 1965 roku, kiedy przy Łazienkowskiej goście już po pięciu minutach dzięki golom Antoniego Kota i Jarka prowadzili 2:0. Z Legią umiał się też rozprawiać w Opolu. Strzelał również potężnemu wówczas Górnikowi i na swoim stadionie, i w Zabrzu. Ale przy Roosevelta dostał też wielkie lanie. W ostatnim meczu 1957 roku Górnik do pierwszego w historii mistrzostwa Polski potrzebował zwycięstwa nad Odrą, której już nie groził spadek. Gospodarze wygrali 8:1, a między słupkami na dziesięć minut musiał stanąć prawy łącznik Jarek, bo podstawowy bramkarz doznał kontuzji. Awaryjny dubler bohatersko stawał na drodze zabrzańskich strzałów, pokonał go tylko młody Roman Lentner.

Górnik dla Jarka był wyjątkowy, ale z innych powodów. Mimo że rozkochał w sobie Opolszczyznę, nie pochodził z tamtego regionu. Wychowywał się w Rokitnicy, która dzisiaj jest dzielnicą Zabrze. Kopał więc piłkę pod nosem ludzi z Górnika, ale nikt się na jego talencie nie poznał, choć jak wspominał, zagrał nawet w jednym sparingu tego klubu. Musiał więc inaczej planować piłkarską przyszłość, choć ta obojętność zabrzan go bolała. Poszedł do Technikum Rolniczego w Izbicku i tak się zaczęły związki z ziemią opolską. Grał w Ogniwie Nysa, skąd wreszcie trafił do Odry. Miał 19 lat.

– Był z niego wielki elegancik, bardzo dbał o wygląd. Podobał się dziewczynom. Spokojnie mógłby się zatrudnić jako model – zapewnia Tomaszek. Ale przede wszystkim był maszyną do strzelania goli, zaś stałe fragmenty gry stanowiły jego znak firmowy. W ekstraklasie wykonał bezbłędnie 18 rzutów karnych z rzędu!

Dla Odrzy był bezcenny, dlatego wpływowi ludzie dbali, żeby nikt go nie „porwał”. Najłatwiej było wcielić rekruta do armii i zainstalować w wojskowym klubie. Jarek opowiadał w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”, że musiał udawać chorego, gdy miał stawać przed komisją wojskową. Brał tabletki, które wywoływały chwilowe nadciśnienie i palpacje serca. Od zaufanych lekarzy otrzymywał zaświadczenie, że w piłkę gra na własną odpowiedzialność, bo stan zdrowia nie pozwala mu na uprawianie sportu wyczynowego. Ostatecznie i tak o jego pozostaniu w Odrze zdecydowały intensywne zabiegi partyjnych działaczy z Komitetu Wojewódzkiego. Udało im się przekonać towarzyszy z Komitetu Centralnego, aby bohatera ludu pracującego Opolszczyzny nikt im nie zabierał.

Błyszczał w Odrze, lecz kariery w reprezentacji Polski nie zrobił. Zagrał w niej raptem trzy mecze towarzyskie, strzelił jednego gola. Był na igrzyskach olimpijskich w Rzymie, ale turniej przesiedział na ławie. Opolscy kibice oczywiście mieli na to swoją teorię: „Jarek nie występował w kadrze, bo grał w Odrze. Gdyby poszedł do Legii, występowałby regularnie”.

Prezes Śmietański w braku powołań Jarka do kadry nie doszukuje się żadnych spisków. – On lubił rządzić na boisku. Miał posłuch w drużynie. Młodzi musieli na niego pracować, bo jeśli czegoś mu brakowało, to kondycji. W Odrze grę ułożono wybitnie pod niego i trudno było sobie wyobrazić, że tak samo byłoby w drużynie narodowej, która miała sporo znakomitych piłkarzy – argumentuje wieloletni szef opolskiego futbolu.

Po zakończeniu kariery Jarek był trenerem Odry i to kilka razy. – Gdy ustępował ze stanowiska, w klubie zajmował się czym innym, a za jakiś czas znowu wracał do trenowania pierwszej drużyny. To pokazuje, jakiej dorobił się pozycji. Nikt nie odważyłby się go zwolnić całkowicie – mówi Krupa, który bronił w prowadzonych przez Jarka zespołach.

Jako szkoleniowiec pożegnał się z Odrą w 1975 roku. Drużynę przejął po nim Antoni Piechniczek. Było jasne, że musi się zmierzyć z mitem lokalnego herosa. – Jarek był dla Opola pomnikową postacią. Doskonale pamiętałem go z boiska, przecież graliśmy przeciwko sobie w lidze. Potem poznałem go osobiście, był kulturalnym i skromnym człowiekiem. Wyjechał do RFN, ale ciągle nam pomagał. Na przykład wyposażył drużynę w nowoczesne stroje – opowiada Piechniczek, który doprowadził Odrę do rozgrywek w Pucharze UEFA.

W Niemczech Jarek mieszkał na stałe, ale przyjeżdżał do Opola, pojawiał się na stadionie Odry. – Spiker krzychał: „Proszę państwa, dzisiaj na meczu jest z nami

«Betel!» i cały stadion jak na komendę wstawał i bił brawo – mówi Tomaszek.

– Podczas takich wizyt Engelbert pamiętał o starych kolegach, zapraszał ich na uroczysty obiad, za który płacił z własnej kieszeni – opowiada Michał Karbowski, który jako dziennikarz „Gazety Wyborczej” podczas jednej z jego wizyt przeprowadził z legendą opolskiego futbolu interesujący wywiad. Były piłkarz ujawnił w nim, że w rzeczywistym debiucie w II-ligowej Odrze zagrał na papierach innego piłkarza, bo nie był jeszcze uprawniony do gry.

Zmarł w Niemczech i tam został pochowany. Prezes Śmietański mówi, że pod koniec życia cierpiał na chorobę Alzheimera.

– Perfekcyjnie władał niemieckim, ale podobno gdy leżał w szpitalu, dziwił się, dlaczego wszyscy się wygłupiają i mówią do niego w tym języku, bo przecież on umie po polsku... – opowiada Śmietański.

Urodzony: 7 czerwca 1935 roku w Rokitnicy (dziś Zabrze)

Zmarł: 24 sierpnia 2017 roku w Sinzing (GER)

Pozycja na boisku: napastnik

Reprezentacja Polski: 3 mecze, 1 gol

Uczestnik igrzysk olimpijskich 1960

Kluby: *Górnik Rokitnica (1946–53), Ogniwo Nysa (1953–54), Odra Opole (1954–69; 222 mecze, 93 gole), SC Sinzing/GER*

Czesław Boguszewicz dobrze wie, co to znaczy szczęście w nieszczęściu. Groźna kontuzja oka złamała mu piłkarską karierę, ale nie uczyniła go inwalidą. Potrafi to docenić.

– Trzeba się godzić z losem i uznawać, że zawsze mogło być gorzej. Nie pojechałem na mundial, najadłem się strachu i bólu, ale przecież później jako bardzo młody trener zdobyłem z Arką Gdynia Puchar Polski. Nie miałem wtedy nawet 29 lat – wspomina Boguszewicz.

W takim wieku biega się po boisku, zwykle jest to najlepszy piłkarski czas. Solidnym trenerem zostaje się znacznie później. W przypadku Boguszewicza zadziałał tryb przyspieszony. Było dramatycznie, ale nie skończyło się bardzo źle.

Wtedy był solidnym bocznym obrońcą Arki, którego docenił selekcjoner Jacek Gmoch. Zagrał w wyjazdowym meczu z Danią (2:1), dzięki któremu awans do finałów MŚ w 1978 roku mieliśmy już na wyciągnięcie ręki. – Dania była nieobliczalna, miała Allana Simonsena, który właśnie w 1977 roku został uznany najlepszym piłkarzem Europy – przypomina Boguszewicz.

Piłkarz Arki mecz rozpoczynał na ławce, ale już w 24. minucie wszedł na boisko. – Wojtek Rudy doznał kontuzji, chyba pachwiny. Jacek Gmoch rzucił do mnie krótką komendę: „Wchodzisz!”. Była dodatkowa adrenalina, bo jednak łatwiej grać od początku. Wtedy już przed meczem można konkretniej pogadać z kolegami z drużyny, jak współpracować, jak reagować. A tak należało skupić się przede wszystkim na tym, żeby niczego nie zepsuć. Udało się – mówi Boguszewicz.

Dwa tygodnie później w Limassol był rezerwowym w spotkaniu z Cyprem (3:1). W jesiennych meczach kadry nie zagrał, ale o mundialu myślał z optymizmem. – W 22-osobowej kadrze bym się zmieścił. Nawet po latach potwierdzał mi to Jacek Gmoch. Byłem zresztą wytypowany do grupy piłkarzy, którzy mieli wypełniać kwestionariusze paszportowe, do tego odciski palców i sprawy szczepionek przeciwko egzotycznym chorobom. Wszystko niepotrzebnie. Nie było mnie na mundialu, w 1978 roku nie zagrałem w żadnym meczu. To był koniec kariery... – wspomina.

Dla Boguszewicza piłkarski świat zawalił się w listopadzie 1977 roku. W ostatnią niedzielę miesiąca Arkę czekał mecz z Zawiszą Bydgoszcz. Dzień przed spotkaniem zespół wyszedł na trening.

– Lał rześisty deszcz. Trener Janusz Pekowski słusznie uznał, że nie można ćwiczyć na głównej płycie. Poszliśmy więc na boczne boisko. Był to dość sporej wielkości plac, choć bez trawnika. Rozgrzewaliśmy się przed treningiem. Ktoś grał w „dziadka”, ktoś żonglował, ktoś kopał na bramkę, inni

w parach wymieniali podania. Zawsze nasze treningi oglądało, jak to na każdym stadionie, paru nieśmiertelnych kibiców. Akurat podnosiłem piłkę, kiedy jeden z nich krzyknął do mnie: „Panie Czesiu...”. Lekko schylony spojrzałem w jego kierunku i... reszty już nie usłyszałem. Oberwałem piłką w twarz tak mocno, że bezwiednie zrobiłem salto w tył. To było piekielne uderzenie z czterech metrów. Kolega chciał huknąć na bramkę, pomylił się i trafił we mnie. Mokra, zabłocona piłka mknęła jak pocisk i zatrzymała się na moim prawym oku. Żeby ją zauważył choć w ostatniej chwili, instynktownie opadłaby mi powieka, przecież oko na zagrożenie reaguje najszybciej. Niestety, cały impet uderzenia przyjął tak delikatny organ – opowiada Boguszewicz.

Zesztywniał z bólu i po paru sekundach także ze strachu. Otwierał oko, ale nic nie widział.

– Po uderzeniu głowa odskoczyła do tyłu, a oko zostało w miejscu, czyli w efekcie przez moment było kilka centymetrów przed oczodołem, rozbiło się o piłkę. Potem dowiedziałem się, że z oka zrobił się „placek”. Później się wyrównało, ale odpadła siatkówka. Byłem w czterech szpitalach, w każdym po dwa tygodnie – w Gdyni, Warszawie, Lublinie i Poznaniu. Najteższe medyczne głowy pochyliły się nad moim przypadkiem. Trzeba było sprawić, żeby siatkówka ułożyła się jak należy. Wreszcie się udało, ale niestety pękła w środku i powstała dziura w plamce żółtej, która odpowiada za 90 procent widoczności. Starano się to korygować różnymi zabiegami laserowymi. „Zaspawano” tę dziurę dookoła, żeby żaden płyn się nie wydostał i nie wyrządził szkody w postaci odbarwienia oka.

Do dzisiaj, patrząc środkiem oka, mam zaciemniony obraz. Bokami widzę lepiej, muszę częściej manewrować głową, jednak generalnie już mi to nie przeszkadza, przyzwyczailem się. Tym bardziej że w drugim oku wyostrzył mi się wzrok. Jeżdżę samochodem, dzięki Bogu normalnie funkcjonuję – opowiada.

– A na temat mojego przypadku powstawały prace doktorskie. Studenci przygotowali film: jaka była reakcja oka, jak ono się spłaszczyło, jak zareagował nerw – wylicza były reprezentant Polski.

– Szefowie Arki i PZPN uruchomili wszystkie swoje kontakty. Miałem najlepszą opiekę. Dostałem się do działającego w Lublinie nieżyjącego już dzisiaj profesora Tadeusza Krwawicza, jednego z największych okulistycznych autorytetów na świecie. Normalnie na taką konsultację czekało się 2–3 lata, a ja dzięki zabiegom wpływowych ludzi dostałem się do niego niemal z dnia na dzień – zaznacza Boguszewicz.

Piłkarzowi załatwiono też możliwość dalszego leczenia w renomowanej klinice uniwersyteckiej w Lund w Szwecji. – Tamtejsi specjaliści po zapoznaniu się z dokumentacją wysłaną z kraju orzekli, że polscy lekarze zrobili wszystko na najwyższym poziomie, że oni nie zrobiliby tego lepiej, więc konsultacja w ich szpitalu nie była potrzebna. Od czasu do czasu rozmawiam z okulistami i oni konsekwentnie powtarzają, że choć medycyna zrobiła ogromny postęp, w przypadku mojego urazu także dzisiaj nic lepiej nie dałoby się zrobić. Oka nie można wymienić i tym

bardziej żadnej jego istotnej warstwy – tłumaczy. Na szczęście umiał przestawić myślenie, zmienić zawodowe priorytety. Szybko zajął się pracą szkoleniową, zajmował się nią także w Finlandii, potem był menedżerem piłkarskim, skautem, dyrektorem sportowym.

– Przed tym feralnym treningiem miałem ugruntowaną pozycję w polskiej piłce. Nic, tylko coraz lepiej grać – smutno uśmiecha się Boguszewicz. Mimo że karierę skończył w wieku 27 lat, w ekstraklasie zdążył wystąpić w ponad 200 meczach. No i w reprezentacji też się pokazał, pierwszy raz jeszcze za czasów Kazimierza Górskiego. Zagrał w ważnych spotkaniach także dla innych piłkarzy – ze Szwajcarią (1:2), kiedy swojego pierwszego gola dla Biało-Czerwonych strzelił Zbigniew Boniek, i z Węgrami (1:2), gdy w debiucie bramkę zdobył Adam Nawalka.

– Pamiętam długi pobyt z kadrą w Rembertowie (dzielnica Warszawy – przyp. red.). Kilka tygodni mieszkałem tam z Adamem Nawalką. A przed meczem z Danią, w hotelu pod Kopenhagą, dzieliłem pokój z Bońkiem. Ktoś może oceniać, że jako młody chłopak zachowywał się nonszalancko, ale on po prostu zawsze był bardzo pewny siebie. A Adam? Perfekcyjny we wszystkim. Nie mówię, że Zbyszek był bałaganiarzem, tylko że Adam był pedantem. W swoich rzeczach zawsze miał porządek, wszystko pod linijkę – wspomina Boguszewicz.

Wielu kadrowiczów ma krytyczny stosunek do metod Jacka Gmocha, jednak nie Boguszewicz. – U niego reżim w zespole był

jak w armii. Jak patrzył w lewo, to wszyscy też musieli patrzeć w tę stronę. Wykonywał pionierską pracę. Miał niesamowitą wiedzę i chciał ją wykorzystać, wyciągnąć z piłkarzy najwięcej, jak się da. Nie wszyscy z nas do końca wiedzieli, o co mu chodzi, ale był dobrym fachowcem – opowiada Boguszewicz, który tylko krótko był częścią tej drużyny. Wszystko z powodu nieszczęsnego wypadku.

– Przychodziły mi czasem do głowy głupawe i ponure myśli. Człowiek wcześniej czy później zawsze postawi sobie pytanie, a co by było, gdybyśmy wtedy trenowali na głównej płycie, gdybym nie zwrócił uwagi na wołającego do mnie kibica, gdyby koledze z drużyny nie zesłała piłka... Górski mówił, że zawodnik na boisku musi się spotkać z piłką w odpowiednim czasie i miejscu. Dla mnie był to zły czas i złe miejsce. Ułamek sekundy różnicy, parę centymetrów i nie byłoby nieszczęścia. Najbardziej obawiałem się, jak będę żył, czy nie zostanę inwalidą. Tego los mi oszczędził. I dlatego nie mam prawa narzekać – kończy.

Urodzony: 2 lipca 1950 roku w Słupsku

Pozycja na boisku: obrońca

Reprezentacja Polski: 5 meczów, 0 goli

Kluby: *Gryf Słupsk*, *Cieśliki Słupsk*, *Pogoń Szczecin* (1967–76; 176 meczów, 10 goli), *Arka Gdynia* (1976–78; 45 meczów, 0 goli), *Mikkelin Palloilijat/FIN* (1981), *Reipas Lahti/FIN* (1983)

Zdobywca Pucharu Polski (1979)

Afera pociągowa? – A, pamiętam! „Piłkarz o posturze atlety sterroryzował pociąg”... To o mnie. Duży byłem, ale o gołęxim sercu. Jaki tam ze mnie terrorysta – uśmiecha się Jerzy Gorgoń.

Zazwyczaj trudno namówić go na dłuższe pogaduchy. Od 1980 roku mieszka w Szwajcarii, więc łatwiej mu się odcinać od mediów. – Nie to, że nie lubię dziennikarzy. Nie lubię udzielać wywiadów – próbuje usprawiedliwiać się Gorgoń i dorzuca filozoficzną refleksję na temat upływającego czasu. – Człowiek jest na emeryturze, to i dni zasuwiają bez opamiętania. Przed chwilą był poniedziałek, a tu znowu poniedziałek. Patrzą na kalendarz i co chwilę widzę nowy miesiąc.

Jeśli już da się naciągnąć na wspomnienia o starych piłkarskich dziejach, niepostrzeżenie zamienia się w barwnego gawędziarza. Po słynnym remisie na Wembley Anglicy nazwali go „The Telephone Booth”, czyli „Budką Telefoniczną”. Taką z londyńskich ulic. Bo też był wysoki i ubrany na czerwono. – Nie wiem, czy ktoś mnie w ten sposób pochwalił, czy może w rozgoryczeniu uszczypnął, że niby byłem nieruchawy – przekomarza się jeden z bohaterów legendarnego meczu.

– Mieliliśmy wtedy furę diabelskiego szczęścia. Przez długie minuty nie było czasu pomyśleć, czy piłkę przyjąć, zagrać, wybić, odegrać. Atak Anglików sunął za atakiem. Sama końcówka to już prawdziwy horror, też bałem się jak na solidnym straszidle w kinie – przyznaje.

– Natomiast przed meczem strachu nie czułem, bo spodziewałem się, że przegramy. Bać zacząłem się wtedy, gdy Janek Domarski strzelił na 1:0. Myślę sobie: „Do jasnej cholery, to naprawdę może się udać!”. Potem Anglicy wyrównali z naciąganego rzutu karnego, więc strach zrobił się jeszcze większy i rósł jak na drożdżach, do samego końca. Ale żeśmy się wtedy naganiali jeden za drugiego, resztkami sił! Te ostatnie minuty trwały niczym wieczność, no i w końcu jako drużyna staliśmy się nieśmiertelni. Gdyby nie ten remis, nie byłoby medalu mistrzostw świata, nie byłoby wspaniałej drużyny Górskiego – wspomina reprezentacyjny stoper.

Dla Gorgonia wielka kariera zaczęła się wcześniej. Z Górnikiem Zabrze jako 20-latek doznał do finału Pucharu Zdobywców Pucharów, a potem w Monachium zdobył mistrzostwo olimpijskie. W meczu decydującym o wyjściu z pierwszego miejsca w grupie do drugiej fazy turnieju Polacy pokonali NRD 2:1. Oba gole strzelił właśnie on. W pierwszej połowie po zagraniu z rzutu różnego strzelał głową Włodzimierz Lubański, rywal wybił futbolówkę z linii bramkowej, ale dopadł do niej Gorgoń i się nie pomylił. – Taką piłkę też trzeba umieć wsadzić z pięciu, sześciu metrów. Prawym podbiciem, pod

poprzeczkę, siateczka zerwana, dziękuję, po robocie – śmieje się złoty medalista.

Potem NRD wyrównała, ale w drugiej połowie znowu przemówiła „Wielka Biała Góra”, bo i tak Gorgonia nazywano. To był imponujący strzał z 30 metrów, z niezwykłą mocą, tuż pod spojenie słupka z poprzeczką, w żadnym wypadku nie do obrony. – To nie karabin, że jak dobrze wycelujesz, na pewno trafisz. Odpowiednia siła też musi być, samym wiatrem piłka nie doleci – fachowo objaśnia Gorgoń.

Gole z dystansu stały się jego wizytówką, bo jak strzelał na bramkę, to z orkiestrą – żadne tam ochłapy, jakieś fartowne dołożenie nogi po stałym fragmencie gry. O nie, to nie w stylu Gorgonia. Na mundialu w 1974 znowu zadziwił piłkarski świat, zdobywając jedną z najpiękniejszych bramek turnieju. – Łażę kiedyś po zoo w Warszawie, podchodzi do mnie facet z dziećmi i mówi: „Panie Jurku, tego gola z Haiti nigdy nie zapomnę”. Nawbijaliśmy im wtedy siedem goli, a gość zapamiętał mojego. Trzeba strzelać tak, żeby wszyscy pamiętali – przekonuje piłkarz.

W reprezentacji zdobył sześć bramek. – W 55 meczach. Niezła średnia jak na obrońcę, co? Do tego wszystkie padały w wygranych spotkaniach i miały bezpośredni wpływ na wynik. Tylko gol z Haiti niespecjalnie się liczył w kontekście naszego zwycięstwa, akurat on był dla ozdoby – argumentuje stoper.

Gorgoń wychował się w Mikulczycach, zabrzańskiej dzielnicy, która oczywiście kibicowała Górnikowi. Grał w piłkę w lokalnej drużynie i z podziwem patrzył na ekipę

z Roosevelta. – Jeździłem na Stadion Śląski na mecze ze Spartą Praga, z CSKA Sofia i aż kipiałem z wrażeń. Nawet nie marzyłem, że mógłbym w takim Górniku grać – zapewniam.

W 1967 roku był już jednak dość dobry, by przenieść się do Górnika. – Dołączono mnie do kadry pierwszego zespołu, ale grałem też w juniorach, z którymi zdobyliśmy pierwsze w historii klubu mistrzostwo Polski – przypomina Gorgoń, który był najlepszym piłkarzem złotej drużyny.

Jednak gra w lidze była nieporównywalnie większym wyzwaniem. – Nieprzypadkowo Stanisław Oślizło i Stefan Florenski byli dla mnie sportowymi idolami. Nie mogłem liczyć, że któregoś wygryzę ze składu, ale korzystałem na ich kontuzjach. Gdy nie mogli grać, trener Geza Kalocsay stawiał na mnie i tak krok po kroku budowałem swoją pozycję – wyjaśnia Gorgoń.

W rewanżu z Glasgow Rangers w Pucharze Zdobywców Pucharów, kiedy właśnie zastąpił leczącego kontuzję Florenskiego, zagrał świetny mecz. Dzięki Gorgoniowi Górnik utrzymał się w grze w pamiętnym półfinale z AS Roma, kiedy na Stadionie Śląskim przy stanie 0:1 w 89. minucie ruszył z szarżą, zakończoną faulem rywala i rzutem karnym. Do bramki trafił Lubański i była dogrywka.

– W finale z Manchesterem City (1:2) Florenski już zagrał, Oślizło też. Ustawiono mnie na lewej obronie i chyba trener Michał Matyas popełnił błąd, bo byłem urodzonym środkowym obrońcą. Gole padały z miejsc, w których być może bym stał. A tak, nie wiadomo po co, schowany na boku mogłem się tylko przyglądać, jak Anglicy strzelali.

Nieraz trudno trenerów zrozumieć – mówi z głębokim westchnieniem.

W europejskich pucharach też zdobył ładną bramkę. Znakomity bramkarz Dynama Kijów Jewhen Rudakow nie miał żadnych szans. – Ależ wtedy trzepnąłem z dystansu! – zapewnia bez fałszywej skromności.

Po medalowym mundialu w RFN miał uznaną markę, ale... nie mógł grać przez kilka miesięcy. Wszystko z powodu tak zwanej afery pociągowej, kiedy wracając z Górnikiem z Francji, po spożyciu kilku piw w towarzystwie między innymi Andrzeja Szarmacha, miał wszczynać awantury. Działacze też mieli swoje za uszami, bo nie zapewnili wszystkim piłkarzom miejsca w przedziałach, niektórzy podróżowali, siedząc na korytarzach, ale akurat tym nikt się nie przejmował. W każdym razie pasażerowie poskarżyli się na nieodpowiednie zachowanie Gorgonia. Na tej podstawie został później przykładowo ukarany przez PZPN zawieszeniem. Szarmachowi się upiekło, mógł grać.

– Widocznie Andrzeja bardziej potrzebowali niż mnie. Kara była dramatycznie przesadzona, pokazówka jakaś, ale właśnie tak się zachowywali tamci działacze: „Trzeba zawiesić, odwiesić, przywiesić, dowiesić...” – denerwuje się Gorgoń. I dostrzega, że piłkarze też się zmienili.

– Ci dzisiejsi nie potrafią odróżnić zwycięskiego meczu od przegranego. W obu przypadkach siadają potem do kolacji, nos w komórkę i tam szukają rozrywki. Takie czasy, staram się zrozumieć. Za moich po

wygranej człowiek naprawdę się cieszył. Bawił się, pośpiewał, wypił jakiś browar – opowiada Gorgoń, który chyba jednak nie docenia fantazji przynajmniej niektórych obecnie znanych zawodników. W każdym razie gdy on po niefortunnej wyprawie do Francji nie mógł grać, Polska w eliminacjach ME pokonała u siebie Holandię aż 4:1, ale na wyjeździe przegrała aż 0:3. Przydałby się wtedy Gorgoń...

Nie zagrał również w najważniejszym meczu na mundialu w 1978 roku z Argentyną. Zamiast niego na środku obrony pojawił się cofnięty z pomocy Henryk Kasperczak. – Usiadłem wtedy na ławie. A nie, nawet na trybunach. Tak dawno to było, że zapomniałem. Ale już pamiętam. Przegraliśmy 0:2, finał uciekł. To trener decyduje o składzie, jego kompetencje, tyle że potem też jego odpowiedzialność. Heniek Kasperczak był lepszy technicznie, lecz ja miałem lepsze warunki fizyczne. Skoro musieliśmy bardzo uważać w obronie, to chyba bardziej ja bym się przydał – mówi.

Z Argentyny wrócił do Górnika, który niespodziewanie wylądował w II lidze. – Jeśli coś zepsujesz i spadłeś, musisz to naprawić i awansować – dowodzi piłkarz. Do drużyny dołączył dopiero w czwartej kolejce. Górnik zdążył do tej pory dwa razy przegrać, stracić siedem goli. Z Gorgoniem w składzie w pozostałych dwunastu jesiennych meczach zgubił zaledwie cztery bramki. Jedenaście razy wygrał, jeden raz zremisował...

Po powrocie do elity pograł w Zabrze jeszcze rok i jako 31-latek dostał zgodę na transfer do

szwajcarskiego FC Sankt Gallen.

Dzisiaj żyje w Szwajcarii w słusznym przeświadczeniu, że w piłce osiągnął sukces. – Życzę naszym obecnym piłkarzom, żeby po powrocie z jakiegoś meczu czy turnieju czekał na nich w Warszawie szpaler ludzi z lotniska do centrum miasta. Wtedy będą wiedzieli, że naprawdę coś dla Polski wygrali...

Urodzony: 18 lipca 1949 roku w Zabrze-Mikulczycach

Pozycja na boisku: obrońca

Reprezentacja: 55 meczów, 6 goli

Uczestnik mistrzostw świata 1974 (3. miejsce), 1978

Złoty medalista igrzysk olimpijskich 1972 i srebrny 1976

Kluby: *MGKS Mikulczyce (1961–66), Górnik Zabrze (1967–80;*

220 meczów, 18 goli), FC Sankt Gallen/SUI (1980–83; 78 meczów, 4 gole)

Mistrz Polski (1971, 1972), zdobywca Pucharu Polski (1968, 1969, 1970, 1971, 1972)

Kazimierz Przybyś nigdy nie pękał, nawet jeśli grał przeciwko światowym gwiazdom. Kiedyś jednak dał się ponieść emocjom. Sprowokował go Enzo Francescoli, wielki as River Plate i urugwajskiego futbolu.

Takie mecze z udziałem Biało-Czerwonych zdarzają się bardzo rzadko, a w ostatnich dekadach nie ma ich w ogóle. Liczą się już wyłącznie gry międzypaństwowe i to o konkretną stawkę. W latach 80. było inaczej. Zdarzały się takie perełki, jak towarzyskie starcie River Plate z reprezentacją Polski w lutym 1986 roku w Mar del Plata. Zespół Antoniego Piechniczka wybrał się do Ameryki Południowej, aby przygotowywać się do czekających cztery miesiące później finałów mistrzostw świata w Meksyku.

Najważniejszym celem wyprawy był pierwszy w historii mecz z Urugwajem (2:2), ale potyczka z argentyńskim River Plate robiła może jeszcze większe wrażenie. To był topowy, legendarny klub, zresztą w tym samym roku zdobył Copa Libertadores i Puchar Interkontynentalny, a w składzie znajdowali się piłkarze, którzy na meksykańskim mundialu w podstawowej jedenastce Argentyny zdobywali złoto: bramkarz Nery Pumpido, obrońca Oscar Ruggeri, pomocnik Hector Enrique. No i był urugwajski napastnik

Enzo Francescoli, zwany „El Principe”, czyli „Księżę”.

Na trybunach pojawiło się aż 30 tysięcy ludzi, mecz transmitowała argentyńska telewizja. Polacy grali świetnie. Wprawdzie do przerwy stracili gola, ale na początku drugiej połowy wyrównali. I choć Francescoli szybko strzelił na 2:1, to później w 17 minut nasze orły zdobyły trzy bramki. Było już 4:2 dla Polski i nic złego nie mogło się stać, a jednak... Wszystko przez tę nieszczęsną czerwoną kartkę dla Kazimierza Przybysia, który został ukarany za scysję z Francescolim. Nasz obrońca do tej pory umiejętnie się nim opiekował, a strzelony przez Urugwajczyka gol był do przełknięcia, wkalkulowany w bilans zysków i strat, w końcu nasz zespół efektownie prowadził.

Dopiero na kwadrans przed końcem spotkania zaistniała nowa sytuacja. – Normalnie mnie opluł! Po takim światowcu spodziewałem się większej klasy. W każdym razie często sobie z nim radziłem, co go chyba frustrowało. W końcu dałem mu się sprowokować. Na pewno był cwańszy ode mnie, zabrakło mi doświadczenia – opowiada Przybyś.

– No więc gdy mnie opluł i jeszcze dyskretnie kopnął, wykonałem ruch, jakbym zamierzał go uderzyć. Działalem w dużych emocjach, jak każdy opluty człowiek, lecz w ostatniej chwili się powstrzymałem. Jemu jednak tyle wystarczyło. Zasymulował, że dostał ode mnie cios, a sędzia łatwo mu uwierzył i wyrzucił mnie z boiska. Można się było tego spodziewać, w końcu arbiter był

Argentyńczykiem – zwraca uwagę nasz piłkarz.

Po zejściu Przybysia za chwilę doszło do kolejnego spięcia. Po czerwonej kartce obejrżeli Andrzej Zgutczyński i Jorge Borelli. Na boisku zrobiło się więcej wolnej przestrzeni, gospodarze złapali wiatr w żagle, rozbujali się, a już najbardziej Francescoli. Strzelił kontaktowego gola, potem był remis. W doliczonym czasie gry pozbawiony uciążliwej opieki Przybysia „Książę” popisał się efektownymi nożycami. Gol! 5:4 dla River Plate! Zachwycone lokalne media nazwały to zwycięstwo meczem dekady.

– W ostatnich minutach nie mogłem się zająć ich „Księciem”, a on się rozbrykał. Patrzyłem i aż mnie skręcało. Bardzo przeżywałem tę bezsilność. Byłem wtedy w dobrej formie, ale przez sekundę zachowałem się jak młokos. Latynosi mają taką mentalność, że chcą wygrywać za wszelką cenę. Dla nich porażka z Europejczykami na ich terenie to ujma na honorze, zrobili wszystko, żeby osiągnąć cel – analizuje Przybyś.

Wtedy był już sprawdzonym w bojach kadrowiczem i murowanym kandydatem do wyjazdu na meksykańskie MŚ. Otwarta pozostawała tylko kwestia, w jakiej roli. Miał prawo liczyć, że będzie zawodnikiem podstawowej jedenastki, bo na finiszu eliminacji grał regularnie. Po kiepskim meczu z Belgią (0:2), w którym gospodarze okrutnie nas zdominowali, Antoni Piechniczek musiał koniecznie coś zmienić w składzie i taktyce.

Przybyś na tym skorzystał, wskoczył do drużyny.

– Misja była trudna, ale plan klarowny. Trzeba było pokonać w dwóch kolejnych majowych meczach na wyjeździe Grecję i Albanie, a we wrześniu nie przegrać u siebie z Belgią. Zadanie zrealizowaliśmy wzorowo – opowiada piłkarz.

Na środku obrony stworzył solidny duet stoperów z klubowym kolegą z Widzewa Romanem Wójcickim. Choć w meczu w Atenach (4:1) był debiutantem, spadła na niego wyjątkowo odpowiedzialna rola, bo w bloku defensywnym miał zastąpić postać pomnikową – dwukrotnego medalistę MŚ Władysława Żmudę. Poradził sobie, tak samo jak 11 dni później w Tiranie (1:0).

– Na rewanżowe spotkanie z Belgią zostałem jednak przesunięty na bok obrony, żebym mógł się skupić na wyłączaniu z gry Erwina Vandenbergha. Udało się, gola nie strzelił, nikt nie strzelił. Remis dawał nam awans – wspomina Przybyś.

Widzewiak dokonał dużej rzeczy, bo wcześniej Piechniczek nie patrzył na niego łaskawym okiem. Można powiedzieć, że miał prawo być do niego nawet trochę zrażony. Wszystko przez sprawę z grudnia 1983 roku, kiedy już pierwszego dnia po świętach selekcjoner zarządził zgrupowanie w Wiśle przed styczniowym wylotem do Indii na turniej o Puchar Nehru.

W ośrodku „Startu” 27 grudnia nie pojawiło się trzech piłkarzy Śląska Wrocław: Ryszard Tarasiewicz, Waldemar Prusik i grający jeszcze w tej drużynie Przybyś. Twierdzili, że

nie mogli, bo z uwagi na status regularnych żołnierzy mieli obowiązkowe szkolenie wojskowe. Piechniczek żadnego z nich do Indii nie zabrał. Szykowały się poważniejsze sankcje dla klubu, ale przed specjalnie powołaną komisją Śląsk wygrał spór z szefem kadry. W tamtych czasach kwestie wojskowości były priorytetem, jeśli nawet absurdalnie konfrontowano je z interesami piłkarskiej reprezentacji Polski. Sprawa przycichła, ale czyżby podświadoma niechęć Piechniczka do Bogu ducha winnego Przybysia została?

– Nie sądzę, żeby trener mnie winił za tamtą sprawę, na pewno nie. Byłem jeszcze przed przysięgą wojskową, nic nie mogłem zrobić. Wszyscy w PZPN dobrze wiedzieli, że o zdanie zawodników nie pytano, a Śląsk dbał o swoje sprawy. Przed rundą wiosenną chciał mieć czołowych piłkarzy w drużynie, a nie na towarzyskim turnieju w Indiach – tłumaczy Przybyś.

Mundial w Meksyku zaczął jednak na ławce. Na środku obrony obok Wójcickiego zagrał bardziej doświadczony Stefan Majewski, wtedy zawodnik 1. FC Kaiserslautern. Czas pokazał, że dzisiejszy dyrektor sportowy PZPN na mistrzostwach nie miał szczęścia – indywidualnie krył Anglika Gary'ego Linekera, który strzelił Polsce trzy gole, a potem także Brazylijczyka Carecę, który też mocno dał się nam we znaki.

Przybyś pojawił się na boisku po zmianie stron już w pierwszym meczu z Marokiem (0:0); na prawej obronie zastąpił Dariusza Kubickiego. Po laniu od Anglii (0:3), kiedy

szczęśliwie udało się prześlizgnąć do 1/8 finału, zagrał znowu, wreszcie w wyjściowym składzie. W starciu z Brazylią (0:4) zastąpił Krzysztofa Pawlaka. Widać, że z obsadą prawej obrony trener miał duży kłopot.

– Do 30. minuty graliśmy super. Był słupek Ryśka Tarasiewicza, poprzeczka Janka Karasia. Zdecydowanie nasze najlepsze pół godziny na mundialu. Na trybunach w pierwszych minutach był tumult, brazylijskie bębny i nagle zrobiło się cicho. Kibice chyba się dziwili, że gramy aż tak dobrze. Niestety, chwila nieuwagi i sędzia gwizdnął dość problematyczną jedenastkę. Straciliśmy gola i wszystko nam się posypało. Klasowa drużyna po przypadkowej stracie gola musi umieć się podnieść. A myśmy tracili kolejne bramki. Widocznie nie byliśmy tak klasowi – wnioskuje Przybyś.

Po mundialu występował jeszcze w kadrze Wojciecha Łazarka, ale to był już zdecydowanie okres schyłkowy. Ostatni raz zagrał z Holandią w Zabrze, w ponurym dla Polski meczu, bo łatwo przegranym 0:2, na dodatek kończącym nieudane eliminacje EURO 1988. Wtedy jeszcze nikt nie wiedział, że latem następnego roku Holandia zachwyci świat totalnym futbolem, który da jej tytuł mistrza Europy.

– W całej karierze nigdy nie zagrałem z równie mocną drużyną, co wtedy w Zabrze. Kryłem Marco van Bastena i na własnej skórze mogłem się przekonać, jaki to czarodziej. Cieszę się, że nie strzelił gola, no ale dwa razy trafił Ruud Gullit, przegraliśmy – dodaje.

Karierę klubową kończył w Widzewie, wcześniej w elicie grał tylko w Śląsku. Występował więc w dwóch interesujących, charakternych drużynach. Zwykle odpowiadał za opiekę najlepszych napastników rywali, więc sam mógł zapomnieć o strzelaniu goli. Ale jeden raz trafił, i to w meczu swoich drużyn. – Grałem z Widzewem we Wrocławiu. Krótco rozegrany rzut wolny, piłka do mnie, kopnąłem w kierunku bramki i wpadła – opowiada. Niewiele to dało drużynie, bo Widzew przy Oporowskiej przegrał 1:2.

Przybyś nigdy nie zagrał w zagranicznym klubie. Może gdyby urodził się dziesięć lat później, byłoby mu łatwiej podjąć taką decyzję, bo wyjazdy Polaków stawały się coraz powszechniejsze. – Ciekawych piłkarskich wspomnień i tak mi nie brakuje, zawsze będę miał o czym opowiadać – uśmiecha się wychowanek Broni Radom.

Urodzony: 11 lipca 1960 roku w Radomiu

Pozycja na boisku: obrońca

Reprezentacja Polski: 15 meczów, 0 goli

Uczestnik mistrzostw świata 1986

Kluby: *Broń Radom (1975–83), Śląsk Wrocław (1983–84; 38 meczów, 0 goli), Widzew Łódź (1985–90; 147 meczów, 1 gol)*

Zdobywca Pucharu Polski (1985)

Strzelał gole wielkim bramkarzom w lidze niemieckiej i francuskiej, zagrał w Moskwie w Drużynie Gwiazd z okazji 60. urodzin Lwa Jaszyna. Ale najpierw czmychnął z Polski do lepszego świata. – Do życia trzeba podchodzić z fantazją – ze śmiechem mówi Cezary Tobollik.

Jego ojciec Helmut Tobollik w latach 50. i 60. był czołowym snajperem Stali Mielec. Syn piłkarski talent miał w genach, ale w Polsce długo nie pograł, choć i tak w lidze zdążył trochę namieszać. W derbach Krakowa zapewnił Cracovii zwycięstwo nad Wisłą (2:1), strzelając gola z rzutu różnego. Pasy skutecznie broniły się wtedy przed spadkiem z ekstraklasy. Wiele zawdzięczają 21-letniemu Tobollikowi, który był najlepszym strzelcem drużyny.

Nowy sezon mógł być dla niego jeszcze lepszy, tyle że Cezary bez żadnej zapowiedzi, a tym bardziej wymaganej zgody, postanowił zmienić kraj zamieszkania. Do Niemiec wyjechał w 1983 roku i mieszka tam do dziś. Ma dom w miasteczku pod Frankfurtem, trenuje dzieci w szkółce Eintrachtu. Opowiada fascynującą historię swojego życia.

W Stali Mielec miałem niezłą szkołę życia. Nie mogłem tam dłużej zostać, bo podpadłem Andrzejowi Szarmachowi, właśnie wtedy, gdy zacząłem wchodzić do drużyny seniorów. Był jakiś sparing na obozie w Rumunii. Szarmach grał, a ja młody siedziałem na ławie. Tylko że jemu grać się nie chciało. Kopał piłkę, ale w ogóle nie biegał. No to na ławce otworzyłem pychol, bo mnie akurat ciągnęło do grania. Powiedzmy, że moją krytyczną opinię o tym graniu Szarmacha wyrażałem w bardzo plastyczny sposób. Na moje nieszczęście na tej cholерnej ławce siedział też Zygmunt Kukła, dobry kumpel Szarmacha, który potem zdał relację koledze. „Ej, ten mały cycek coś pyskował o tobie”. Szarmach się wkurzył. Był akurat chrzest dla młodych, wiadomo jaki – głowa młodego unieruchomiona między nogami i soczyste klapsy na goły tyłek. Szarmach nie dość, że trzasnął mnie z całej siły, to jeszcze nie dłonią, a klapkiem. Aż mi skóra pękła. Wtedy nauczyłem się, że są chwile, kiedy warto trzymać pychol na kłódkę.

Najgorzej, że Szarmach przy okazji ogłosił, że dopóki on tu jest, Tobollik nie ma prawa grać w pierwszej drużynie. Wiedziałem, że trzeba się wynosić, bo ten człowiek miał w szatni poważanie. Wojna z nim to walka ze wszystkimi. Grałem w rezerwach, a potem wolałem iść na wypożyczenie do drugoligowej Stali Rzeszów. I dopiero stamtąd trafiłem do Cracovii, choć nie były to łatwe przenosiny. Mielec oczywiście nie chciał mnie puścić. Trzeba było unieważnić papier, który podpisałem jako młodzian bez świadomości, co robię. Pomogła mama i notariusz, do którego poszła z tym problemem.

Oczywiście nie musiałem wyjeżdżać z Polski, powiem więcej – w Cracovii świetnie się czułem. Ta wygrana 2:1 w derbach z Wisłą po голу z różnego to coś wspaniałego. Dokręcałem piłkę do bramki, ale myślałem, że któryś z kolegów ją przetnie. Nikt nie przeciął, rywale też nie. Wpadła do bramki. Nasi kibice byli zachwyceni. Poeta Jerzy Harasymowicz napisał o tym голу specjalny wiersz. To był dla mnie piękny czas, no ale Zachód kusił, bo gdy się tam jeździło na jakiś mecz czy zgrupowanie, człowiek widział różnicę. U nas stan wojenny, ponuro, na sklepowych półkach pusto, a tam kolorowo, wesoło, w marketach pełno wszystkiego. Ale i to by mnie pewnie nie przekonało, gdyby kilka miesięcy wcześniej rodzice nie wyjechali do Niemiec. Zupełnie legalnie. Ojciec pochodził z przedwojennego Bytomia, to była podstawa, żeby ubiegać się o niemiecki paszport. Niedomagał trochę na serce, więc jasne, że w Niemczech mógł liczyć na lepszą opiekę medyczną. Obiecałem rodzicom, że dołączę do nich przy pierwszej okazji. Nadarzyła się, gdy po sezonie Cracovia grała w Pucharze Lata. Mieliśmy wyjazdowy mecz ze Sturmem Graz. Od razu wiedziałem, że wtedy prysnę. W klubie patrzyli na mnie podejrzliwie. Bardzo uważałem, bo gdyby poznali moje zamiary, do Austrii bym nie pojechał. Po cichutku, z zaufanymi osobami, zamykałem swoje sprawy w Polsce.

W Grazu wygraliśmy 2:0, strzeliłem drugiego gola, a więc ładnie się pożegnałem z klubem, choć tylko ja wiedziałem, że to mój ostatni mecz. W hotelu odwiedził mnie ojciec, pogadaliśmy, zostałem z nim w mieście. Wtedy można się było już domyślić, że nie wrócę ani za tydzień, ani za miesiąc. Problem, że mój paszport znajdował się u kierownika drużyny. Ojciec wcale nie zachęcał mnie do

emigracji. Przeciwnie – tłumaczył, że chyba jednak powinienem wrócić do Polski, że jako uciekinier wywalam sobie życie do góry nogami. Wcale mnie to nie przerażało. Chciałem być przy rodzicach, pomóc im w zupełnie nowej rzeczywistości. I zarabiać duże pieniądze. Wiadomo jak – graniem w piłkę. Pod tym względem nie miałem żadnych kompleksów, byłem pewien, że poradzę sobie w każdym zachodnim klubie.

Najpierw pojechaliśmy do Wiednia. Miał nam pomóc mieszkający tam trener Antoni Brzeżańczyk. Chodziło o zorganizowanie przerwania do Niemiec w sytuacji, gdy nie miałem żadnych papierów. Trener pomoc uzależnił od podpisania in blanco karty zgłoszenia do klubu w Austrii. Oczywiście nie mogłem się na to zgodzić, zamierzałem grać w RFN i mieszkać przy rodzicach. No to miał inny pomysł – załatwi mi transport z drużyną hokejową, lecz kosztowało to dwa tysiące marek, co też nie wchodziło w rachubę, bo nie miałem takich pieniędzy.

Pojechaliśmy z ojcem pociągiem przez Salzburg, lawirując między wagonami, licząc, że jakoś przekroczy my granicę. Wyskoczyliśmy na jakimś dworcu i zgłosiliśmy się na policję. Był wieczór, zamknęli nas w wagonie towarowym na bocznicę i rano zajęli się moją sprawą. Dali tymczasowy dokument, kazali w ciągu trzech dni zgłosić się w obozie dla uchodźców. Pojechaliśmy tylko zobaczyć się z mamą, do Aschaffenburga. I tak przeżyła spotkanie z synem, że z nerwów się rozchorowała. Trzeba było jechać do szpitala. Z tego wszystkiego zapomniałem o obozie dla uchodźców, ale zjawiała się policja

i przypomniała... Na szczęście szybko zakwalifikowano mnie do przyznania niemieckiego obywatelstwa. Nigdy nie wyparłem się polskiego. Gdy ktoś mi mówi, że jestem Niemcem, zawsze reaguję: „Halo, jestem Polakiem!”. Urodziłem się i 22 lata żyłem w Polsce, to kim mam być?

Najpierw chciałem z miesiąc odpocząć, lecz ciągnęło mnie na boisko. Trenowałem z lokalną drużyną, której działacze od razu zaproponowali, żebym u nich grał. Odmawiałem, bo doskonale wiedziałem, że umiejętności mam na 1. Bundesligę. Rozesłaliśmy informację, że utalentowany młodzieżowiec z Polski szuka klubu. Odezwał się Eintracht Frankfurt. Nie byłem specjalnie przekonany, bo ten zespół bronił się przed spadkiem, ale z braku lepszych opcji zgodziłem się. Zaproponowano mi niezły kontrakt, ale dopiero po okresie próby. Musiałem zagrać w trzech ligowych meczach i wtedy w klubie mieli ocenić, ile jestem wart. Widzieli już, co wyprawiam na treningach, dlatego choć PZPN zawiesił mnie na rok, moja sprawa została załatwiona raz-dwa po wysokiej linii politycznej. Niezwykle wpływowy polityk partii FDP Wolfgang Mischnick załatwił to z towarzyszami z KC PZPR. Egzamin na boisku zdałem, bo dyskwalifikacja została anulowana. Niemcy mnie wykupili. Nie dość, że posmarowali w Polsce komu trzeba, to jeszcze oficjalnie zapłacili 25 tysięcy marek i wysłali do naszego kraju sprzęt sportowy.

Wiosną rozwinąłem skrzydła. Pierwszego gola strzeliłem w Bremie, wygraliśmy z Werderem 3:2, w bramce rywali stał Dieter

Burdenski. Do piłki doskoczyłem ja oraz reprezentant Szwecji Jan Svensson, z którym się zakolegowałem od początku. Trudno było stwierdzić, kto trafił do siatki. „Ty jeszcze w Bundeslidze nic nie strzeliłeś, niech idzie na twoje konto” – powiedział mi wtedy Jan. W ostatnim meczu pokonaliśmy 1. FC Kaiserslautern 3:0. Strzeliłem dwa gole, Svensson jednego, dzięki czemu mogliśmy grać w barażach o utrzymanie.

Następny sezon miałem znakomity. Z dziewięcioma golami zostałem drugim strzelcem Eintrachtu po Haraldzie Krämerze (10 goli) i czwartym najlepszym obcokrajowcem w lidze po Duńczyku Sørenie Lerbym (11), Koreańczyku Cha Bum-Kunie (10) i Belgu Nico Claesenie (10). Borussii Mönchengladbach prowadzonej przez Juppą Heynckesa w pierwszym meczu strzeliłem jednego gola (1:1), a w rewanżu dwa (3:3), znowu ratując remis. Pokonałem też Jeana-Marie Pfaffa z Bayernu Monachium i prowadziliśmy 2:0, bo wcześniej trafił także Thomas Berthold, a jednak skończyło się na 2:2. A przecież strzelanie nie było moim jedynym atutem, dużo pracowałem w ofensywie na innych pozycjach. Ech, sfrunąłem do tej Bundesligi jak gwiazda z nieba. Rocznie zarabiałem 200 tysięcy marek brutto. To był już niezły pieniądz. Na czysto te 10 tysięcy marek miesięcznie można było odłożyć. Zdawało mi się, że będę mógł przebierać w transferowych ofertach, ale dopiero potem dowiedziałem się, że wielkie kluby niemieckie zawarły ciche porozumienie. Powstała lista piłkarzy, których sobie nie podbierały, żeby nie windować cen. Ja też na niej byłem.

Umowa z Eintrachtem się skończyła, ale klub chciał mnie na choma zatrzymać. Wtedy prawo Bosmana jeszcze nie obowiązywało. Pytał o mnie Juventus Turyn, to Eintracht zażądał 2,5 miliona marek. Zrobiłem im więc trochę na złość, poszedłem do małej Viktorii Aschaffenburg, która awansowała do 2. Bundesligi. Prezydent klubu znał się na rzeczy, wiedział, jak pogadać z Eintrachtem, który i tak z niewolnika nie miałby pracownika. Dobry, młody piłkarz z 1. Bundesligi poszedł więc do drugiej ligi. Dziwne, ale potrzebowałem tego, żeby się uwolnić od Frankfurtu i za rok znowu o sobie decydować. Viktoria zapłaciła za mnie 800 tys. marek, zarabiałem dwa razy tyle co w Eintrachcie. Zdobyłem 18 bramek, byłem najlepszym obcokrajowcem w lidze obok Senegalczyka Souleymana Sane z Freiburga, który jest ojcem Leroya Sane.

Potem miałem propozycje z Hamburga, z Dortmundu, lecz pojechałem do Francji. Była przymiarka do AS St. Etienne, w którym pracował trener Henryk Kasperczak, ale przechwycił mnie RC Lens, czyli drugi klub prowadzony przez polskiego szkoleniowca – takie to były czasy w lidze francuskiej! – Joachima Marxa. Przeciwno Saint-Etienne lubiłem grać, strzelałem gole Jeanowi Castanedzie, który bronił w wygranym 3:2 przez Polskę meczu o 3. miejsce mistrzostw świata w Hiszpanii. No ale żeby nie było tak różowo – kiedyś pod koniec spotkania mieliśmy karnego, koledzy namówili mnie, bo nikt nie chciał strzelać. Byłem zmachany, ale podszedłem do piłki i Castaneda złapał. Niech mu będzie, że raz okazał się lepszy. W sumie

to były dla mnie dobre trzy lata. Grałem, strzelałem, asystowałem.

Potem wróciłem do Niemiec i przyznaję, że zacząłem kręcić nosem. Oferty były, ale ja chciałem już naprawdę wielkich pieniędzy. Z nikim nie mogłem się dogadać, więc wyszło tak, że rok nigdzie nie grałem. Ktoś powie: niewybaczalny błąd, a ja odpowiem, że trzeba mieć do wszystkiego dystans, do piłki też. Taki już jestem.

Przez rok w ogóle się nie ruszałem, wesoło sobie żyłem, z rodziną. Ale... pojechałem do Moskwy na mecz gwiazd. 60-lecie urodzin świętował legendarny Lew Jaszyn i zorganizowali mu piękne święto. Pamiętam, jak przyjechał na stadion lśniąca czarna wołgą. To były dwa mecze Dynamo Moskwa kontra Reszta Świata. W jednym spotkaniu dawne gwiazdy, w następnym znani piłkarze, którzy jeszcze nie skończyli kariery. Byłem w tym drugim teamie. W mojej drużynie grali Briegel, Camacho, Juanito, bracia van de Kerkhof, Rep, Rummenigge, Błochin... W głowie się mogło zakręcić.

Skąd się wziąłem w takim towarzystwie? Akurat interesowały się mną kluby hiszpańskie, a jednej wpływowej agencji menedżerskiej zależało, żebym się pokazał. Nie wypadłem dobrze, przypominam, że brakowało mi przygotowania, nie byłem w treningu. Zagrałem tylko 45 minut. – Cezar, Cezar, biegaj, szybciej! – krzyczał do mnie nasz trener Carlos Bilardo, wtedy trener reprezentacji Argentyny i mistrz świata z 1986 roku. Ale ja nie miałem sił do biegania.

To był jednak już schyłek dużej kariery, jakoś szybko się skończyło, trochę na własne życzenie. Od tej pory grałem tylko co najwyżej w trzeciej lidze niemieckiej. Miałem zbyt poważne zaległości, żeby gdzieś jeszcze zaistnieć w dużej piłce. Skończyło się, ale niczego nie żałuję. Może tylko tego, że wyjeżdżając z kraju, zamknąłem sobie drzwi do reprezentacji Polski. Bo na młodzieżówkę jeździłem, z Jankiem Furtokiem, Kazkiem Budą, z Januszem Turowskim, z innymi.

Ciekawostka jest taka, że gdy selekcjonerem RFN był Franz Beckenbauer, rozważał, czy mnie powołać do niemieckiej kadry. Rozważania szybko się skończyły, bo okazało się, że skoro grałem już w reprezentacji Polski juniorów, to nie ma o czym gadać. I dobrze, bo jak już mówiłem, jestem Polakiem. I dzisiaj mogę tylko powtórzyć to, o czym zawsze pamiętałem – wszystko, czego nauczyłem się w piłce, zawdzięczam Polsce.

Urodzony: 22 października 1961 roku w Mielcu

Pozycja na boisku: napastnik

Kluby: *Stal Mielec* (1971–81; 9 meczów, 0 goli), *Stal Rzeszów* (1981–82), *Cracovia* (1982–83; 29 meczów, 6 goli), *Eintracht Frankfurt/GER* (1983–85; 42 mecze, 12 goli), *Viktoria Aschaffenburg/GER* (1985–86 i 1992–99), *RC Lens/FRA* (1986–89; 90 meczów, 13 goli), *Waldhof Mannheim/GER* (1989–90), *Kickers Offenbach/GER* (1990–91), *Viktoria Kahl/GER* (2000)

Najgorsza była rozłąka z żoną i dziećmi. To czekanie, aż przyjadą. Trzy lata minęły, zanim władza zgodziła się ich wypuścić z Polski. A byłoby pewnie jeszcze dłużej, gdyby nie nasze popisy w NAC Breda. Mój Boże, co myśmy tam grali! – mówi Norbert Pogrzeba.

Trzeci najlepszy snajper w historii Polonii Bytom, zdobywca trzech bramek w finałowym dwumeczu o mistrzostwo Polski z Górnikiem Zabrze w 1962 roku, autor pierwszego trafienia dla bytomskiego klubu w europejskich pucharach, strzelec gola decydującego o zdobyciu Pucharu Rappana oraz gwiazda rozgrywek zwieńczonych Pucharem Ameryki... To wszystko Norbert Pogrzeba.

Jednak potem w gomulłowskiej drugiej połowie lat 60. stał się też bohaterem negatywnym. Tym, który razem z dwoma innymi graczami Polonii nielegalnie został za granicą. Tyle że Jan Banaś i Konrad Bajger do Polski ostatecznie wrócili, a Pogrzeba już nie. I w nowej rzeczywistości umiał sobie poradzić, bo przez dwa lata w USA był ważnym piłkarzem St. Louis Stars, a potem błyszczał w holenderskim NAC Breda.

Obecnie mieszka w Hilden pod Düsseldorfem. Ponad pół wieku temu opuścił

Polskę i w mediach przestał istnieć. Cicho o nim do tej pory. Trudno go namierzyć, teraz nawet nazwisko ma inne, takie jak żona.

– Mamy gadać o starych historiach? A czy w Polsce ktoś jeszcze o mnie pamięta? – pyta Pogrzeba. Od razu słyhać, że rzadko mówi po polsku, potrzebuje paru chwil, żeby ten język odkurzyć, jakby sięgał po rzadko używany, przyrdzewiały instrument. Robi długie pauzy, szuka słów, wtrąca niemieckie, ale ambitnie brnie w trudnym zadaniu. – Ja przecież biologicznie nie jestem stuprocentowym Polakiem, bo moja mama była Niemką – zaznacza.

Ojciec był polskim Ślązakiem. – Co ja go tam znałem. Po wojnie został w Rosji, w niewoli. Był tam pięć lat, w końcu zmarł.

Właśnie te niemieckie korzenie sprawiły, że Pogrzeba nie miał kłopotów z uzyskaniem niemieckiego obywatelstwa. Wystarczyło tylko przedostać się na drugą stronę żelaznej kurtyny. Zrobił to, mając 27 lat. I jeżeli młodzi piłkarscy kibice mogą nie mieć pojęcia, kim jest, to ci znacznie starsi zapewne doskonale pamiętają, że mowa o czołowym polskim ligowcu z bytomskiej Polonii. – Ja byłem najlepszy. To znaczy najlepiej ubrany – przekomarza się Pogrzeba.

W 1962 roku przyspieszona (przechodzono na system jesień – wiosna) rywalizacja o mistrzostwo Polski toczyła się w dwóch grupach. Zwycięzcy grali o złoto. W pierwszym spotkaniu na Stadionie Śląskim na oczach 75 tysięcy ludzi występujący w roli gospodarza Górnik prowadził 1:0, ale potem stracił cztery gole. Dwa z nich strzelił Jan Liberda, dwa

Pogrzeba. W rewanżu, tym razem na stadionie chorzowskiego Ruchu, najpierw trafił Pogrzeba. Dwa gole zabrzan już niczego nie mogły zmienić. Mistrzem została Polonia.

Bytomianie zagrali w Pucharze Europy i w meczu z Panathinaikosem Ateny (2:1) Pogrzeba został pierwszym zdobywcą bramki dla klubu w europejskich pucharach. A w Europie pokazał się już wcześniej, bo mając 19 lat, też w Pucharze Europy wystąpił w jednym z dwóch spotkań z MTK Budapeszt (0:3), a to był rywal nie byle jaki, bo z zawodnikami z legendarnej Złotej Jedenastki. – Od młodego nabierałem doświadczenia w tej mojej Polonii. Fajnie wszedłem do zespołu, a grali w nim świetni piłkarze. Trampisz, Kempny, Liberda, jest kogo wymieniać. Strzelałem całkiem dużo, czasami w ogóle brałem sprawy w swoje ręce. Był na przykład taki mecz z Legią, który wygraliśmy 2:0, oba gole strzeliłem w kilka minut – opowiada.

Ale największą przygodę przeżył w rozgrywkach amerykańskiej Interligi w 1965 roku, w której uczestniczyły zaproszone zespoły z Europy, wśród nich także Polonia wzmocniona czterema graczami wypożyczonymi na potrzeby turnieju z Ruchu Chorzów, Śląska Wrocław i GKS Katowice.

Gwiazda Pogrzeby lśniła tam najjaśniej. W meczu z West Bromwich Albion Polacy przegrywali 0:2, ale jego dwa trafienia doprowadziły do wyrównania. W rewanżu było aż 6:0, a Pogrzeba popisał się hat trickiem! Po wygraniu Interligi Polonia zagrała o American Challenge Cup (zwany

u nas Pucharem Ameryki) ze znakomitą Duklą Praga. Wyniki: 2:0 i 1:1, Polacy zdobyli to trofeum. – Byłem w takiej formie, że ktoś mnie tam zauważył, do paru notesów trafiłem. Dzięki temu później łatwiej było mi wrócić za ocean – tłumaczy.

23 czerwca 1966 roku „Trybuna Robotnicza” zamieściła komunikat władz bytomskiego klubu: „Zawodnicy KS Polonii Bytom Heinz Banaś, Norbert Pogrzeba i Konrad Bajger w czasie ostatniego pobytu Polonii w Szwecji opuścili drużynę i nie wrócili do kraju. Zarząd klubu stwierdza, że ten niegodny postępek spotkał się ze stanowczym potępieniem ze strony wszystkich zawodników i członków klubu Polonia, a także szerokich rzesz jego sympatyków. Równocześnie zarząd klubu wystąpił poprzez PZPN do Międzynarodowej Federacji Piłkarskiej FIFA o dyskwalifikację wymienionych piłkarzy”.

Potem pojawiły się urzędowe informacje, że rzekomo także zawodnicy Polonii potępiają zachowanie kolegów, którzy odłączyli się od zespołu przy okazji meczu w rozgrywkach Intertoto z IFK Norrköping (1:5), popełniając „czyn niegodny obywateli Polski Ludowej”. Wszystko odbywało się w konwencji propagandowej pokazówki. Jeśli ktoś wolał żyć w zachodnim kraju, nie zasługiwał na nic dobrego.

Skoro Banaś i Bajger później wrócili jednak do Polski, dlaczego nie zrobił tego też Pogrzeba?

– Tymczasowo mieszkałem w Hof w Bawarii u siostry mojej mamy i liczyłem, że po skończeniu rocznej dyskwalifikacji w końcu

zaczę grać. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że Banaś i Bajger podpisali wstępne kontrakty z FC Köln, coś na tym zarobili. A ja nie. Zostałem potraktowany inaczej, więc byłem rozczarowany i zły – przyznaje Pogrzeba.

W tamtym czasie poznał się bliżej z Kazimierzem Frąckiewiczem, byłym zawodnikiem Legii. To zresztą od niego Kazimierz Deyna przejął słynną ksywkę „Kaka”. Frąckiewicz nagle opuścił Warszawę. – W październiku był na meczu Francja – Polska. Nie grał w nim, ale pojechał zobaczyć. Dowiedział się, że jesteśmy w Bawarii i dołączył do nas. Zagrał razem ze mną, Banasiem i Bajgerem w sparingu rezerw FC Köln z pierwszym zespołem. Potem Banaś i Bajger wrócili do Polski, nie wtajemniczając mnie w swoje plany – opowiada Pogrzeba.

Ani on, ani Frąckiewicz nie zamierzali biernie czekać, aż dostaną zgodę na granie w Niemczech. Tym razem mieli szczęście, bo w prasie pojawiło się ogłoszenie, że amerykańskie kluby szukają w Europie kandydatów do gry w USA. Tworzyła się tam ponadstanowa liga soccera. Skorzystali z okazji. Dostali angaż w St. Louis Stars.

– W dwa sezony strzeliłem 22 gole. Byłoby więcej, ale choć na koszulce miałem numer 9, to grałem jednak w pomocy, w ataku był Niemiec Rudi Kölbl, znany wtedy z występów w lidze włoskiej, a potem w TSV Monachium. No i mieliśmy znakomitego menedżera, Rudiego Gutendorfa – zaznacza Pogrzeba. Zmarły w 2019 roku Gutendorf to niezwykle rekordzista świata: selekcjoner 18 narodowych seniorskich reprezentacji oraz olimpijskich drużyn Iranu i Chin.

Po dwóch latach Pogrzeba znowu był w Europie. Podpisał kontrakt z NAC Breda. – Zadzwoniłem do Kazika Frąckiewicza, udało się go ściągnąć do Holandii. Na początku 1969 roku również dostał kontrakt. I znowu ześmy razem grali. Ale jak! – podnosi głos Pogrzeba.

Był już styczeń, do końca sezonu zdążył strzelić osiem goli, a Frąckiewicz 12. We dwóch wygrywali mecze, drużyna, która miała się bronić przed spadkiem, pięła się w górę tabeli. – Wtedy mistrzostwo zdobył Feyenoord, do nas przyjeżdżał jako lider. Strzelił na 0:1, a potem dwa gole Kazika, jeden mój i było 3:1! Gazety pisały, że Polacy uratowali Bredę! – wspomina Pogrzeba. Dzięki takim meczom mógł pomyślnie załatwić, jak sam to nazywa, najważniejszą życiową sprawę: sprowadzić żonę i dwójkę dzieci z Polski.

Bo skoro on był uciekinierem, polska władza nie chciała wypuścić z kraju jego najbliższych. Taki stan trwał już od trzech lat. – Coś dobrego dla Bredy zrobiłem, więc odważyłem się poprosić prezydenta klubu o pomoc. Pojechaliśmy do polskiej ambasady w Hadze. Nie chciałem wchodzić do środka, bo ambasada to terytorium Polski i bałem się, że mogą mi nowych problemów tam narobić. „Cholera, co pan robi, no, chodź pan tutaj, nie wygłupiaj się pan!” – wołał do mnie z progu ambasador, gdy po chwili wyszedł z szefem Bredy. I on tę moją życiową sprawę załatwił. Za miesiąc żona z córką i synem byli w Niemczech, potem rodzina przyjechała do Holandii. Wtedy było mi już znacznie łatwiej.

Pogrzeba tłumaczy, że Frąckiewicz miał kłopoty z kolanem, dlatego wrócił do USA. – Tam przeszedł operację, potem został bardzo dobrym trenerem. No, a ja wciąż strzelałem

w Holandii i patrz pan, ciągle nieźle mi szło – mówi z przekorą. Najbardziej spektakularnym wyczynem popisał się w meczu z Ajaksem Amsterdam, z Ruudem Krolem i z Johanem Cruyffem w składzie. Na 0:1 w 58. minucie strzelił Cruyff, na sześć minut przed końcem wyrównał Pogrzeba.

Gdy skończył grać, wrócił do Niemiec. – Mieszkam z rodziną, cieszę się wnukami. W moim życiu było dużo piłki, lecz innej ciężkiej pracy też nie brakowało, przede wszystkim w fabryce farb w Hilden. A o Polsce pamiętam, proszę to koniecznie napisać. Kiedyś wpadłem do Bytomia, ale tylko na chwilę. Co było, to było, ale mówimy o klubie, w którym wszystko się dla mnie zaczęło. I o tym też pamiętam.

Urodzony: 23 czerwca 1939 roku w Bytomiu

Pozycja na boisku: napastnik

Kluby: *Polonia Bytom (1958–66; 134 mecze, 65 goli),*

St. Louis Stars/USA (1967–68; 63 mecze, 22 gole),

NAC Breda/NED (1968–72; 90 meczów, 23 gole)

Mistrz Polski (1962)

Gdy pierwszy raz po meczu stanąłem przed kamerą, tak zacząłem nawijać śląską gwarą, że realizator krzychał do słuchawki: „Zdejmijcie go z anteny, przecież nikt go nie rozumie!”. Ale nie zdjęli, na szczęście dziennikarz przekładał moje słowa na polski – śmieje się Waldemar Matysik.

Matysik to cichy bohater hiszpańskiego mundialu. Zawsze w cieniu, zawsze harujący za dwóch, a jak trzeba, to i za trzech. Wzorzec defensywnego pomocnika – takiego, co to żadnej pracy się nie boi. Nigdy nie odstawiał nogi, rzucał się do każdej piłki. Nie było dla niego straconych szans, dopóki sędzia nie użył gwizdka. Nigdy nie było odpuszczania, nie dla niego gra pozorów. W walkę angażował się bez reszty i właśnie na mistrzostwach świata w 1982 przyplacił to zdrowiem. Nie dokończył meczu z Francją (3:2) o trzecie miejsce. Jego organizm był skrajnie wycieńczony. Po powrocie do Polski trafił do szpitala i zmarnował praktycznie cały następny sezon. Ale wrócił. Znowu mocny i gotowy do wielkich poświęceń. Rządził z Górnikiem Zabrze w ekstraklasie, pojechał na drugi mundial, był cenionym piłkarzem w lidze francuskiej i niemieckiej.

Tę historię Matysika kibice reprezentacji dobrze znają –człowiek od czarnej roboty

i wszystko jasne. Mundial go zdefiniował i zaszufładkował. Piłkarska kariera Matysika ma jednak więcej barw, niż może się wydawać.

Otóż był taki sezon, kiedy rozgrywki ligowe zaczął jak pierwszorzędny snajper! 15 sierpnia 1981 roku w drugiej kolejce zabrzanie grali u siebie z Widzewem Łódź, który wcześniej zdążył już pokazać ów niesamowity charakter w Europie. Jeśli rywal w każdej formacji ma takich asów, jak Józef Młynarczyk, Władysław Żmuda, Zbigniew Boniek i Włodzimierz Smolarek, naprawdę można się przestraszyć.

Matysik w Górniku grał już dwa lata, ale jeszcze bramki nie zdobył. Zupełnie się tym nie przejmował. Był od czego innego, skupiał się na niewdzięcznej, destrukcyjnej robocie.

Ten mecz był jednak inny! Nie dość, że Matysik uwijał się w destrukcji jak w gospodarstwie rodziców przy żniwach, to jeszcze pchał akcje Górnika do przodu. Gospodarze prowadzili 2:0, a on dorzucił trzeciego gola i tak dobrze mu szło, że pozwolono mu też wykonywać rzut karny. Ostatecznie 4:0 dla Górnika, dwie bramki 20-letniego Matysika, który swoją grą przyćmił wszystkie gwiazdy na boisku. Co z tego, że Boniek mozolnie zawiązywał akcje w środku pola, skoro Matysik kasował wszystko jak leci.

– Po meczu Boniek był wściekły. Myślałem, że rzuci się na mnie z pięściami. Ale gdy ochłonął, pogratulował mi gry. Chyba ją docenił – mówi Matysik.

W kadrze narodowej sprawdzany był już rok wcześniej. Usiadł na ławce w wyjazdowym meczu z Hiszpanią, niespodziewanie wygranym przez Polaków (2:1), potem zaliczył debiut z Algierią (5:1) na stadionie krakowskiego Hutnika. Na pierwszy mecz w el. MŚ 1982 z Maltą miał jednak nie lecieć. Wszystko zmieniło się po słynnej aferze na Okęciu, zakończonej dyskwalifikacjami Józefa Młynarczyka, Zbigniewa Bońka, Władysława Żmudy i Stanisława Terleckiego.

– Zostałem dowołany do kadry razem z Krzyśkiem Budką, dołączyliśmy do ekipy już we Włoszech, bo tam było krótkie zgrupowanie – tłumaczy, zaznaczając, że miał ogromne szczęście. Raz, że znowu był kadrowiczem, a dwa, że z marszu załapał się na audiencję u Jana Pawła II. – Pochodzę z bardzo religijnej rodziny, cała moja wieś była taka. Gdy drogą szedł ksiądz z sakramentami, obowiązkowo trzeba było przyklęknąć. A tu nagle spotkałem się z Ojcem Świętym! Nogi się pode mną ugięły, byłem oszołomiony, nie mogłem zrozumieć, czym ja, prosty chłopak, zasłużyłem sobie na taki zaszczyt – mówi i ślady tamtej ekscytacji w jego głosie słychać nawet dzisiaj.

W kadrze początkowo był cichutki jak myszka. – A co się miałem odzywać? Kim ja wtedy byłem? – argumentuje. Na Malcie w niedokończonym meczu nie zagrał, ale się przydał. – Miejscowi kibice niezadowoleni, że prowadzimy 2:0, rzucali w nas czym popadnie, wreszcie zaczęły lecieć kamienie. Musieliśmy uciekać do szatni. Własnym ciałem osłaniałem naszego asa Włodka Smolarka, żeby nic złego mu się nie stało – wyjaśnia.

I tak Matysik budował swoją pozycję w drużynie narodowej, choć nie pchał się do pierwszego rzędu. W narodowych barwach nie strzelił żadnego gola, ale zaliczył jedną, niezwykle ważną asystę – przy голу na 1:0 w meczu z NRD (skończyło się 3:2) w Lipsku, w eliminacjach mundialu Espana '82. – Gdy po wielu latach byłem w Polsce na spotkaniu medalistów mistrzostw świata, Zbyszek Boniek strasznie się dziwił, że taki wyszczekany jestem, bo dawniej to rzadko kiedy usta otwierałem. Uznał, że dzięki żonie się tak rozgadałem – śmieje się Matysik.

A przyszłą żonę poznał jeszcze za szczeniackich lat. – Mieszkałem w Stanicy, a ona w pobliskich Pilchowicach i od razu mi się spodobała. Wypatrywałem za nią i jak umiałem, próbowałem zagadywać. Zwracałem się do niej elegancko: „Pani Basiu” – uśmiecha się do starych wspomnień pan Waldemar.

Stanica jest maleńką podgliwicką wioską, ale oprócz medalisty piłkarskiego mundialu na świat wydała też świetnego polskiego tenisistę stołowego Stefana Dryszela (m.in. brązowy medalista MŚ w drużynie z Leszkiem Kucharskim i niezapomnianym Andrzejem Grubbą, a także 25-krotny medalista mistrzostw Polski). Dryszel jest kuzynem pani Basi, ale nasz bohater poznał go znacznie wcześniej. Grywali czasem w ping-ponga. – Trudno mówić o graniu! Nie miałem z nim najmniejszych szans, aż się odechciewało trzymać raketkę – przyznaje Matysik.

Wolał biegać za piłką. Jako dwunastolatek zgłosił się do Orła Stanica, potem było Carbo

Gliwice. A stamtąd trafił do Górnika. Tylko że wcześniej związał się z Piastem. – Przyjechali do moich rodziców. Coś im tam nagadali, naobiecywali, zresztą mi też, więc podpisałem kontrakt. Myślę sobie: „Drugoligowa drużyna, więc nie jest źle na dobry początek”. Gdy usłyszał o tym mój trener Fryderyk Cholewa z Carbo, aż się za głowę złapał – „Coś ty, chłopie, zrobił?! Przecież Górnik cię chce!”. Musiałem to jakoś odkręcić, choć już pojechałem na obóz z nową drużyną. Docierało do mnie, że starsi piłkarze Piasta dobrze się czują w drugiej lidze i nie zależy im na walce o awans. Cały czas myślałem o tym Górniku. I na szczęście Górnik też ciągle myślał o mnie. Zaczął działać – opowiada piłkarz.

Sprawa oparła się o prezydenta Gliwic, który wezwał Matysika przed swoje oblicze. – Nigdy tego nie zapomnę. Duża sala, czerwony dywan i gdzieś tam na końcu siedzi dysponent mojego losu. Czuję się jak na sądzie ostatecznym. Mówiący z oddali prezydent miał do mnie tylko jedno pytanie: „Chłopcze, powiedz mi, w którym klubie ty chcesz grać?”. „W Górniku Zabrze” – wykrztusiłem przez zaciśnięte gardło. Całe szczęście, że miałem tyle odwagi, bo to zakończyło temat. Mogłem przeprowadzać się na Roosevelta – wspomina Matysik.

W Zabrzu minęło trochę czasu, zanim zaczął regularnie grać. Górnik trenera Władysława Żmudy przechodził wtedy niespodziewanie drugoligową kwarantannę, ale miał wielu uznanych piłkarzy. Był 1979 rok. – Wchodziłem do szatni z duszą na ramieniu. Ja, osiemnastoletni chłopaczek nie wiadomo

skąd, a tam takie asiory. „Choć, siadaj tu przy mnie. Widzisz, duży jestem, nie dam ci zrobić krzywdy” – dowcipnie zaproponował Jerzy Gorgoń. Po takim zaproszeniu poczułem się znacznie lepiej – zapewnia.

Pod koniec wiosny 1980 roku zaczął występować w podstawowym składzie. Bardzo dobrze zagrał w derbowym meczu z Ruchem Chorzów (1:1). To właśnie po tym spotkaniu udzielił na żywo pierwszego telewizyjnego wywiadu, w którym tak był oszołomiony, że „godoł” po śląsku.

– Niewiele można było z tego zrobić, ale na szczęście uratował mnie zadający pytanie redaktor Andrzej Zydorowicz. Tłumaczył moje odpowiedzi, za co będę mu dożgonnie wdzięczny – deklaruje Matysik.

Meczów, które wbrew naturze Matysika zamieniały się w spektakle niepozornego aktora, było niewiele, ale jednak ciągle się zdarzały. W tej roli błysnął w lidze francuskiej. Strzelił w niej tylko jednego gola, ale za to nad Sekwaną było o nim całkiem głośno. Jego Auxerre grało na wyjeździe z Girondins Bordeaux, które wtedy biło się o mistrza Francji. W drużynie gospodarzy wielkie gwiazdy – Patrick Battiston, Bixente Lizarazu, Jesper Olsen, Klaus Allofs, ale najjaśniej świeciła gwiazda Matysika, który strzałem z dystansu zdobył jedyną bramkę w tym spotkaniu.

– Wiedziałem, że chce mnie kupić Hamburger SV. Z trybun miał mnie oglądać trener Gerd-Volker Schock. Nasz szkoleniowiec Guy Roux nie godził się na transfer. Wkurzało go, że w ogóle biorę tę

opcję pod uwagę. Dlatego, skoro miałem być obserwowany, chciał mi zaszkodzić, ustawiając mnie na lewej pomocy. Nigdy wcześniej tam nie grałem, mogło być kiepsko. Zdarzył się jednak cud, bo nie dość, że czyściłem defensywnie, co się da, to jeszcze walnąłem zwycięskiego gola! Pocziwy Guy Roux chciał być złośliwy, a wyszło wręcz przeciwnie, bo trener Schock był zachwycony.

– Myślałem, że ten Matysik da nam jakoś w destrukcji, a on jeszcze jest taki mocny w ofensywie. Bierzemy go! – deklarował Niemiec na gorąco. A ja przecież zagrałem jeden jedyny tak ofensywny mecz w Auxerre, właśnie wtedy – zaznacza Polak.

Po starciu z Żyrodystami razem z nim cieszył się też Enzo Scifo, złote dziecko belgijskiej piłki. Wcześniej był graczem Bordeaux i była to jego pierwsza wizyta w mieście po zmianie klubu. Bardzo zależało mu na wygranej, więc Matysik wyświadczył mu bezcenną przysługę. – Enzo często zabierał mnie swoją wypasioną bryką na trening. Prosił tylko, żeby ściągać piłkarskie buty przed wejściem, żeby niczego nie pobrudzić. Wielki piłkarz i wielki elegancik, trudno było mu się rozstawać z lusterkiem i grzebieniem – plotkuje nasz bohater, a w Auxerre zetknął się też m.in. z Erikiem Cantoną, który także zwykle chadzał własnymi ścieżkami.

Matysik, po takiej prezentacji przed nowym pracodawcą, oczywiście przeniósł się do Hamburga i tam również zdarzył mu się szalony występ. Jego zespół wygrał na wyjeździe z Eintrachtem 6:0. Na stadionie we

Frankfurcie błyszczał Jan Furtok, autor hat tricka, i właśnie Matysik, który również pokonał Uli Steina. – Super nam się grało. Trener Eintrachtu Jörg Berger po tym meczu został zwolniony. Takie życie, co zrobić... – mówi wychowanek Orła Stanica.

– Sami widzicie, jaką drogę przeszedłem. A zaczynałem od pastwisk, na których uganiałem się za piłką, i czerwonego dywanu, na którym z trudem opanowałem drzenie łydek, stojąc przed prezydentem Gliwic...

Urodzony: 27 września 1961 w Stanicy

Pozycja na boisku: pomocnik

Reprezentacja Polski: 55 meczów, 0 goli

Uczestnik mistrzostw świata 1982 (3. miejsce), 1986

Kluby: *Orzeł Stanica (1974–77), Carbo Gliwice (1977–79),*

Górnik Zabrze (1979–87; 172 mecze, 7 goli), AJ

Auxerre/FRA (1987–90; 110 meczów, 1 gol),

Hamburger SV/GER (1990–93; 94 mecze, 1 gol),

WSV Wuppertal/GER (1993–94), VfR Wissen/GER (1994–95),

Rot-Weiss Essen/GER (1995–97), Germania

Dattenfeld/GER (1997)

Mistrz Polski (1985, 1986, 1987)

Wielka Legia, która biła się o honory w Europie, umiała zaszaleć i na boisku, i w rozrywkowych lokalach. Tego drugiego nie potrafił Jan Pieszko – niepozorny z wyglądu napastnik, który w pucharowych meczach strzelił aż 14 goli.

Dopiero po latach jego legijne osiągnięcia w pucharach poprawiali Michał Kucharczyk i Mirosław Radović, ale Pieszko wciąż może czuć się lepszy. Skutecznością imponował bardziej niż oni, jeśli weźmiemy pod uwagę liczbę rozegranych meczów. Na dorobek zapracował w zaledwie 27 występach, czyli do siatki trafiał średnio w co drugim spotkaniu. No i nie mógł – w przeciwieństwie do swoich następców – nabijać sobie licznika golami w rundach kwalifikacyjnych, w których rywale bywają słabsi.

Pieszko o swoich osiągnięciach rozmawiać nie lubi. Należy do tych byłych piłkarzy, którzy uznają, że ich epoka bezpowrotnie minęła, zatem należy ustąpić miejsca innym. Dotyczy to także komentowania piłkarskiej rzeczywistości. Aktywność medialną ograniczał powoli, ale systematycznie. Teraz w mediach właściwie nie ma go wcale. – Co miałem powiedzieć, już powiedziałem. Teraz

niewiele pamiętam. Inni na pewno mają lepszą pamięć. Ich proszę pytać – stwierdził kilka lat temu. Dał się wtedy namówić na krótką rozmowę, ale o swoich najlepszych meczach opowiadał chłodno i mechanicznie. Jakby każdym zdaniem chciał dać do zrozumienia, że tamten rozdział w życiu już dawno zamknął i nie widzi powodu, by do niego wracać.

A przecież bywały europejskie mecze, w których był pierwszoplanową postacią. Jak w starciu Legii ze Standardem Liege w 1/8 finału Pucharu Mistrzów jesienią 1970 roku. Mistrzowie Polski odrobili wówczas straty z Belgii, gdzie przegrali 0:1. Przy Łazienkowskiej już po dwudziestu minutach prowadzili 2:0. – Bo na taki mecz trzeba mieć kozacki pomysł, a przede wszystkim przekonanie, że uda się go zrealizować. Jeśli choć przez chwilę odpuścisz, przegrywasz na sto procent – wyjaśnił po wielu latach na łamach „Przeglądu Sportowego” Pieszko, strzelec pierwszego gola. Swoich zasług nie podnosił, wolał chwalić charakter drużyny.

– Na boisku był jednak egoistą, czasem wkurzałem się, że mi nie podawał, a wiedziałem, że byłem w lepszej sytuacji niż on. Tylko że nie mam o to do niego pretensji. Byłbym głupi, gdybym miał... No chyba że w złośliwych przekomarzeniach, jak to w żartach między nami piłkarzami – opowiada Jan Małkiewicz, piłkarz Legii z tamtych czasów. – Dobry napastnik powinien być pazerny na gole. To jest egoizm dobrze pojęty. Snajper musi myśleć o strzelaniu, a nie o podawaniu. A gdy Jasiu

wpadał w pole karne, już tylko chciał strzelać, taką miał zasadę – objaśnia Małkiewicz.

Gdy w kwietniu 1970 roku warszawiacy bezskutecznie walczyli o awans do finału Pucharu Mistrzów z Feyenoordem Rotterdam, w pierwszym meczu w Warszawie (0:0) właśnie on zastąpił Pieszko po przerwie. Zwykle jednak to Pieszko grał, a jego imiennik był rezerwowym.

– Janek Pieszko? Poważny na boisku i taki sam w życiu. Bardzo istotny piłkarz w drużynie – podkreśla trener Andrzej Strelau, który objął Legię, kiedy już definitywnie odszedł z niej Jaroslav Vejvoda. Czeski szkoleniowiec ukształtował całe pokolenie znakomitych legionistów. Wielu przyznaje, że właśnie on miał decydujący wpływ na ich losy. Sam Lucjan Brychczy niechybnie skończyłby karierę kilka lat wcześniej, bo uznał, że stracił już motywację. Odzyskał ją za namową Vejvody. I Pieszko też wiele mu zawdzięcza.

Był 1966 rok. Zbliżała się majówka, ale zarazem jubileusz 50-lecia powstania Legii Warszawa. Państwowi dygnitarze postanowili tę okoliczność bez skrupułów wykorzystać w celach politycznej propagandy. Pierwszomajowe Święto Pracy nie było żadną wyjątkową okazją, bo wiadomo, że lud pracujący, nie tylko stolicy, ale wszystkich miast i wsi, chcąc nie chcąc połączy się w obchodach, a właściwie w pochodach z upodobaniem organizowanych przez władzę.

Natomiast w tysiąclecie Chrztu Polski rodziła się jednak niepokojąca wątpliwość. 3 maja w rozsianych po całym kraju

świątyniach, a przede wszystkim na Jasnej Górze kościół organizował wielkie uroczystości patriotyczno-religijne, zwieńczone aktem oddania ojczyzny „Maryi, Matce Kościoła, w Jej macierzyńską niewolę za wolność Kościoła Chrystusowego na całym świecie”. Dla władzy państwowej, opierającej rządy na represjach i wymogu bezwzględnej posłuszeństwa, taki symboliczny akt był bardzo szkodliwy i wielce niebezpieczny. Za wszelką cenę należało go zagłuszać i neutralizować. Jednym z ważnych punktów przeciwdziałania były wyjątkowo huczne obchody półwiecza Legii.

Z tej okazji do stolicy zaproszono na towarzyskie mecze dwie znakomite europejskie drużyny – Dukłę Praga i Tottenham Londyn. To miały być wydarzenia elektryzujące kibiców. Żeby Legia miała większe szanse na dobre wyniki, postanowiono ją wzmocnić piłkarzami z innych klubów. Zasilili ją więc byli legionieści – bramkarz Edward Szymkowiak z Polonii Bytom, obrońca Antoni Piechniczek z Ruchu Chorzów i napastnik Helmut Nowak z bytomskich Szombierek.

I tu się zaczyna istotny wątek dla naszej historii, bo przy okazji postanowiono przetestować dwóch piłkarzy z Zawiszy Bydgoszcz, czyli innego wojskowego klubu: Kazimierza Zgodę i Jana Pieszkę.

Najpierw 30 kwietnia Legia zagrała z Dukłą. Mecz zakończył się remisem 1:1, a gola dla gospodarzy strzelił Pieszko, który z miejsca zauroczył stołecznych kibiców. Niepozorne warunki (169 cm wzrostu) nie przeszkadzały

mu w skutecznym rozbijaniu się między solidnie zbudowanymi obrońcami. „Dziwić się tylko należy selekcjonerom, że powołują do kadry zawodników o znacznie mniejszych kwalifikacjach, a nie dostrzegli dotychczas nowoczesnie grającego napastnika z Brdy. Występ w barwach Legii w meczu z Duklą powinien stać się dla Pieszki odskocznią do dalszej kariery piłkarskiej” – oceniał „Przegląd Sportowy”.

Starcie z prażanami odbyło się przy Łazienkowskiej i stanowiło jedynie przygrywkę do wydarzenia zaplanowanego na 3 maja, czyli konfrontacji z Tottenhamem. Nie uroczystości religijno-patriotyczne, a właśnie mecz piłkarski miał przykuwać uwagę mieszkańców stolicy. Dlatego odbył się na ogromnym Stadionie Dziesięciolecia. Na trybunach nie było jednak kompletu, choć z dzisiejszej perspektywy 60 tysięcy ludzi na meczu towarzyskim i tak robi wrażenie. Władza była jednak rozczarowana, bo przecież wydarzeniu nadano najwyższą rangę, a w łożu honorowej zasiadły bardzo poważne osoby z partyjnej wierchuszki. Za to kibice nie narzekali, bo Legia wygrała 2:0. Pieszko tym razem gola nie strzelił, lecz znowu był jednym z najlepszych piłkarzy. Dla niego majówka w Warszawie była więc bardzo udana. Był poza tą całą irytującą otoczką ideologiczną. Na zaproszeniu Legii wyłącznie skorzystał i niczego nie stracił.

Wrócił wtedy jeszcze do Bydgoszczy, ale był człowiek, który go dobrze w stolicy zapamiętał – Jaroslav Vejvoda. Właśnie on był trenerem Dukli w czasie majowej wizyty w Warszawie. W nowym sezonie pracował już w Legii i na dzień dobry (a raczej na „dobre rano”) zapytał, gdzie jest ten mały czarny, co w maju tyle

złego jego Dukli narobił. Odpowiedź, że on był tylko grzecznościowo wypożyczony, bo na co dzień to gra w Zawiszy Bydgoszcz, wcale Vejdvody nie zniechęciła. Sformułował swoje transferowe życzenie na tyle dobitnie, że dla Legii sprowadzenie Pieszki stało się zadaniem priorytetowym.

Wojskowi rozegrali to w swoim stylu, w końcu w hierarchii resortowych klubów Legia znaczyła więcej niż Zawisza. Wobec piłkarza zastosowano wielokrotnie sprawdzoną metodę kija i marchewki. – Ubrali mnie w mundur i pojechaliśmy do Warszawy. Rozmowa jedna, druga: „Dostanie pan 20 tysięcy na urządzenie mieszkania”. Oczywiście to mieszkanie także pokazali. I dodali: „Wie pan, teraz dajemy panu te pieniądze, a czy pan je przyjmie, czy nie, to i tak będzie pan w Legii”. To co miałem zrobić? – opowiadał Pieszko o kulisach transferu w rozmowie z „Przełędem Sportowym”.

Do Legii przeniósł się jednak dopiero latem 1967 roku, czyli przed kolejnym sezonem. Było mu o tyle łatwiej, że Zawisza spadł z ekstraklasy (jak się okazało – na 10 lat). Do degradacji przyczyniła się zresztą Legia. Bydgoszczanie na trzy kolejki przed końcem rozgrywek byli jeszcze nad strefą spadkową, ale od tego momentu przegrali wszystkie spotkania. Na początek właśnie z Legią. Tym razem Łazienkowska dla Pieszki nie była szczęśliwa. Legia rozbiła prowadzonego przez Mieczysława Gracza Zawiszę 5:1.

Na debiut w nowym zespole nie czekał długo, bo wystąpił w letnich rozgrywkach

Pucharu Intertoto. W pierwszym meczu bramki nie zdobył, ale w dwóch następnych – dwukrotnie ze szwajcarską AC Bellinzona (4:0, 1:1) – już tak. W następnym sezonie pokazał się w Pucharze Miast Targowych (poprzednik Pucharu UEFA). Na dzień dobry w dwumeczu z TSV Monachium (6:0, 3:2) strzelił trzy gole i tylko utwierdzał kibiców w przeświadczeniu, że Vejvoda, nakazując sprowadzenie go z Bydgoszczy, podjął świetną decyzję.

I można się jedynie dziwić, że Pieszko nigdy nie zagrał w reprezentacji Polski, bo w czasach, kiedy w Europie z Legią naprawdę się liczone, był jej ważnym piłkarzem. A jednocześnie najcichszym i najspokojniejszym.

– No tak, trzeba to przyznać, że Janek na bankiety z nami nie chodził. A mimo to był dobrym piłkarzem – uśmiecha się Małkiewicz.

Urodzony: 5 lutego 1942 roku w Drewniakach

Pozycja na boisku: napastnik/pomocnik

Kluby: *Darzbór Szczecinek (1958–60), Bałtyk Gdynia (1961–62),*

*Zawisza Bydgoszcz (1963–67; 75 meczów, 19 goli),
Legia Warszawa (1967–76; 175 meczów, 44 gole)*

Mistrz Polski (1969, 1970), zdobywca Pucharu Polski (1973)

Grał u trenera Guusa Hiddinka, w jednej drużynie z Toni Schumacherem. Strzelał gole w pucharach Panathinaikosowi i Olympique Marsylia, zmagając się w porywających meczach z innymi europejskimi potęgami. – No bo ja twardą walkę mam w genach. W końcu urodziłem się w Cedyni – uśmiecha się Czesław Jakołcewicz.

Cedynia to nie tylko najdalej wysunięte na zachód polskie miasto, lecz przede wszystkim miejsce rozświetlone tradycją zwycięskiej bitwy księcia Polan Mieszka I i jego brata Czcibora z wojskami margrabiego Hodona w 972 roku. – W Cedyni jesteśmy z tej historii dumni. Miałem jedenaście lat, gdy z wielką pompą świętowaliśmy tysiąclecie bitwy. Takie wspomnienia zostają na całe życie – mówi Czesław Jakołcewicz, a niczym nieskrępowana wyobraźnia podpowiada, że mistrz gry defensywnej i rozbijania akcji rywala zapewne musi być w prostej linii potomkiem nieustraszonych wojów.

Dla Jakołcewicza Cedynia to dobre geny i czas wzrastania do roli solidnego piłkarza, ale wszystko, co osiągnął naprawdę wartościowego w futbolu, działo się w Lechu Poznań. Wcześniej był cenionym

drugoligowcem w Stali Stocznia Szczecin. Jasne było, że to się musi skończyć, że skoro nie da się awansować z drużyną, trzeba wykonać samodzielny krok do ekstraklasy. Nie można było tracić czasu, miał już 22 lata.

– Dostałem ofertę od Mariana Dziurowicza z GKS Katowice, w zasadzie byłem już zdecydowany – przyznaje. Wtedy jednak do Szczecina przyjechał Teodor Napierała, wieloletni piłkarz Lecha, a potem jeden z trenerów. Umiał go przekonać, że w Lechu będzie mu lepiej, że trener Wojciech Łazarek widzi w nim potencjał.

– Miałem jeszcze przyjechać do Poznania, żeby wszystko obejrzeć na miejscu. Drużyna była wtedy na zgrupowaniu, ale w klubie został Mirek Okoński, chyba leczył kontuzję. I kto wie, może właśnie jego obecność stała się dla mnie ostatecznym argumentem. Grać z tak fantastycznym piłkarzem w jednej drużynie to sama przyjemność, a on już przy pierwszym spotkaniu traktował mnie jak swojego. Nie mogłem się wycofać. No i z Poznania będę miał zdecydowanie bliżej do domu niż z Katowic. Tak sobie powiedziałem, aby rozwiązać już ostatecznie wątpliwości – opowiada wychowanek Czcibora Cedynia.

Pojawił się też ważny czynnik, który nęcił, a zarazem onieśmiał – Lech był mistrzem Polski, szykował się do gry w Pucharze Europy i do obrony tytułu w kraju. Fantastyczne perspektywy, ale jak chłopak wyciągnięty z drugiej ligi miał się wpisywać w te kreślone z rozmachem plany? – Uznałem, że pierwszy sezon będzie nauką, że przy dobrym układzie dostanę trochę minut, ale najwięcej pracy i tak będzie mnie czekać na treningach – opowiada Jakóbczewicz.

Trener Łazarek miał inny plan. 30 lipca 1983 roku Lech grał w Gdańsku z Lechią zorganizowany pierwszy raz w historii mecz o Superpuchar. Jakołcewicz wystąpił w podstawowym składzie. Przyjemne zaskoczenie zostało przytłumione minimalną porażką po голу straconym na trzy minuty przed końcem spotkania.

Jeżeli to miał być dla Jakołcewicza test przydatności, to wypadł pozytywnie, bo tydzień później, w niedzielę o godz. 11.00 na stadionie przy Bułgarskiej wybiegł w podstawowym składzie na otwierającą dla Lecha ligowe rozgrywki konfrontację z Wisłą Kraków.

– Zagrałem na środku obrony u boku Józka Szewczyka. Na trybunach było 30 tysięcy ludzi. Płynęła od nich dobra energia, bo to przecież pierwszy mecz mistrza Polski w nowym sezonie i do tego poważny rywal. Dostałem zlecenie opieki nad Andrzejem Iwanem i to też zrobiło na mnie wrażenie, w końcu chodziło o świetnego napastnika, dwukrotnego uczestnika mundialu – podkreśla Jakołcewicz.

Tym razem to do Lecha uśmiechnęło się szczęście. W 90. minucie piłkę głową do bramki wpakował Józef Adamiec i debiutujący w ekstraklasie – tak samo jak Jakołcewicz – sędzia Michał Listkiewicz wskazał na środek boiska.

Początek sezonu układał się obiecująco, bo Lech dobrze spisywał się nie tylko w lidze, ale 13 września 1983 roku w pierwszej rundzie

Pucharu Mistrzów pokonał w Poznaniu Athletic Bilbao. Skończyło się na 2:0, a powinno być znacznie wyżej, bowiem mistrzowie Hiszpanii byli tego dnia wyraźnie słabsi od Polaków.

Jakołcewicz zagrał z Lechem wiele świetnych pucharowych meczów – z Liverpoolem, Borussią Mönchengladbach, Barceloną, Olympique Marsylia, Panathinaikosem Ateny – ale starcie z ekipą z Kraju Basków nawet na tym tle było wyjątkowe. Zdarzył się bowiem występ, po którym jedyna pretensja do Kolejorza polegała na tym, że z najlepszą hiszpańską drużyną wygrał tylko 2:0...

A jednak w rewanżu stało się coś strasznego. Athletic przejechał się po mistrzu Polski, wygrał 4:0. – Mówiąc najkrócej: utuczyli nas przed meczem, a potem zjedli – gorzko żartuje Jakołcewicz. Z tym utuczeniem było wiele prawdy, bo gospodarze przez dwa przedmeczowe dni podejmowali lechitów po królewsku. W luksusowym hotelu mieli wszystkiego pod dostatkiem, podsuwano im pod nos smakołyki, a oni wszystkiego chętnie próbowali, być może pierwszy raz w życiu.

– Sympatycznie skończyło się, gdy zeszlśmy z przedmeczowej rozgrzewki. Podczas niej murawa była sucha, nawet twarda, więc założyliśmy „lanki”. Tymczasem na kilka minut przed gwizdkiem sędziego gospodarze obficie polali boisko. Nagle zrobiło się niemal grząsko i my, wielkie chłopcy, mieliśmy problemy z utrzymaniem równowagi, oczywiście szwankowała zwrotność, start do piłki – wymienia Jakołcewicz.

Miejscowi zaś byli w swoim żywiole. Kilka dni wcześniej jeden z ulubieńców kibiców Andoni Goikoetxea w ligowym meczu z Barceloną (0:4) złamał nogę Diego Maradonie. Cała Hiszpania, cały piłkarski świat był oburzony, nazywano go „Rzeźnikiem z Bilbao”. Ale w swoim mieście Goikoetxea stał się jeszcze większym bohaterem.

– Kibice dali mu niesamowite wsparcie, gorące trybuny skandowały „Goiko! Goiko!”. I on rzeczywiście był znakomity. A my już na początku straciliśmy naszego reżysera Henia Miłoszewicza i do tego jeszcze gola, oczywiście po strzale Goikoetxei. Byliśmy tym wszystkim oszołomieni. Przyjechaliśmy przetrwać, obronić nielichą przewagę, ale plan szybko runął – opowiada nasz bohater.

Do przerwy Lech przegrywał 0:2, więc stan rywalizacji wrócił do wyjściowego remisu, lecz to tylko pozory. Po zmianie stron Athletic dorzucił następne dwie bramki. – W drugiej połowie zagonili nas, byliśmy bez szans. Mam wrażenie, że gdyby musieli nam strzelić sześć goli, to też by strzelili – uczciwie przyznaje Jakołcewicz.

Ten mecz był tragiczny w skutkach dla Józefa Szewczyka. Stoper Lecha pierwszy raz wtedy głośno powiedział w szatni, że miał problemy ze wzrokiem, bo ostro żarzące się reflektory sprawiały, że nie widział śmigającej w powietrzu piłki. – Mówił, że źle się czuje. Nikt z nas nie mógł przypuszczać, że to koniec kariery i zaczyna się jego heroiczna walka ze śmiertelną chorobą. Od tej pory w ogóle przestał grać, ale od czasu do czasu nas jeszcze odwiedzał. Tłumaczył, że musi się porządnie wyleczyć, choć nie mówił, co mu dokładnie jest. Potem widywaliśmy go coraz rzadziej. Wyglądał gorzej, mizerniał. Zmarł na raka

galki ocznej. Nie dożył nawet czterdziestki... – wspomina Jakołcewicz.

Przykładne lanie w Bilbao wszystkim doskwierało, ale dla Jakołcewicza było też niczym chrzest bojowy i zarazem definitywna przepustka do drużyny. Pokazał, że daje radę, że przeskok z drugiej ligi do ekstraklasy nastąpił bezboleśnie.

Potem okazało się, że jest też piłkarzem na miarę reprezentacji, choć w niej nigdy nie odgrywał jakiejś szczególnej roli. W każdym razie uzbierał 15 meczów. W kraju cieszył się dobrą opinią. Tak dobrą, że w 1990 roku zainteresował się nim sam Guus Hiddink. Po tym jak cztery razy z rzędu zdobył z PSV Eindhoven mistrzostwo Holandii, przyjął ofertę z Fenerbahce Sztambułu. Potrzebował doświadczonego stopera i usłyszał, że 29-letni Polak spełnia wymagane kryteria.

– Była już końcówka jesieni, graliśmy półfinał Pucharu Polski z ŁKS. Do Łodzi wybrał się Hiddink. Wiedziałem, że będę obserwowany przez tak zacnego gościa i... wszyscy zagraliśmy słabiutko. Porażka 0:2, bez żadnej dyskusji. „No to już pojechałem do Turcji. Dzięki chłopaki!” – rzuciłem smutno w szatni. A jednak za trzy dni zadzwonił telefon ze Sztambułu, że chcą dopiąć transfer! Życie potrafi zaskoczyć – kwituje piłkarz.

Bardzo szybko wkupił się w łaski żywiołowych fanów. Pierwsze spotkanie i od razu derby Sztambułu z Galatasaray! Jego zespół wprawdzie przegrał 1:2 po dwóch bramkach Tanju Colaka, ale on sam strzelił

z karnego wyrównującego gola. Drugi mecz i... derby z Besiktasem! Tym razem remis 1:1, a Polak znowu wśród wyróżniających się piłkarzy. – Miałem dobre wejście. Świetnie dogadywałem się z trenerem Hiddinkiem i szybko złapałem kontakt z naszym bramkarzem, którym był oczywiście Toni Schumacher. Gadaliśmy o wszystkim, ale był jeden temat, którego nie chciał ruszać: sprawa jego skandalizującej książki „Anpfiff”, robiącej wtedy furorę wśród czytelników – przyznaje Jakolcewicz.

Podkreśla, że nigdy nie grał w klubie tak profesjonalnie zarządzanym jak Fenerbahce. A jednak po sezonie odszedł. – Zawiedliśmy w lidze, bo jako wcześniejszy wicemistrz zajęliśmy dopiero piąte miejsce. Do tego nie zdobyliśmy Pucharu Turcji. W półfinale przegraliśmy z Ankaragücü (1:3), a ja nie strzeliłem karnego przy stanie 1:1. Jak na ironię, bo wcześniej w ligowym meczu z tym samym rywalem i temu samemu bramkarzowi strzeliłem dwa karne. Po nieudanym sezonie była presja na zmiany, której uległem. Zgodziłem się odejść, chociaż mogłem negocjować – zaznacza nasz piłkarz.

Po epizodzie w lidze duńskiej wrócił do Polski. – Szkoda, że nie zostałem w tej Turcji na dłużej. Jakoś za szybko zadowolilem się tym, co już zagrałem. Trzeba było jeszcze powalczyć. Bo zawsze warto walczyć do samego końca. Żałuję, że wtedy tak nie pomyślałem – przyznaje wojownik z Cedyni.

Urodzony: 18 sierpnia 1961 w Cedyni

Pozycja na boisku: pomocnik/obrońca

Reprezentacja Polski: 15 meczów, 0 goli

Kluby: *Czciwor Cedynia (1972–76), Arkonia Szczecin (1976–78), Stal Stocznia Szczecin (1978–83), Lech Poznań (1983–90 i 1992; 200 meczów, 16 goli), Fenerbahce SK/TUR (1990–91; 17 meczów, 3 gole), Odense BK/DEN (1991–92; 7 meczów, 0 goli), Sokół Pniewy (1993), Warta Poznań (1993–96 i 1997–99; 54 mecze, 1 gol), Chrobry Głogów (1996–97), Huragan Pobiedziska (1999–2000)*

Mistrz Polski (1984, 1990, 1993), zdobywca Pucharu Polski (1984, 1988),
zdobycwca Superpucharu Polski (1990)

To był szok dla Chorzowa i dla całej piłkarskiej Polski. W noc sylwestrową 1959 roku pod kołami ciężarówki zginął Henryk Alszer, wielki piłkarz Ruchu, były reprezentant Polski, olimpijczyk i idealny boiskowy partner Gerarda Cieślika.

Alszer miał 41 lat, ale trzymał formę. Jeszcze parę miesięcy wcześniej kopał piłkę jako grający trener Pogoni Nowy Bytom. Natomiast jako 38-latek wciąż biegał po ekstraklasowych boiskach w barwach chorzowskiego Ruchu. W sportowej niezniszczalności był niesamowity. – Ty to z jakiegoś porządnego materiału jesteś zrobiony. Taki to długo pożyje! – mówili mu koledzy. I pewnie by pożył, gdyby nie feralna noc sylwestrowa na jednej z ulic w Rudzie Śląskiej.

Najpierw pojawiły się sprzeczne informacje. Przede wszystkim, że Alszer był pijany, że może nawet wtargnął pod samochód... Szybko jednak okazało się, że winowajcą był kierowca ciężarówki marki Star, należącej do Powszechnej Spółdzielni Spożywczej w Wirku. Zdecydowanie obciążał go fakt, że uciekł z miejsca zdarzenia, nie próbując udzielić pomocy poszkodowanemu. Przez kilka dni milicja intensywnie poszukiwała sprawcy wypadku, informowała o tym w gazetach.

Został ujęty cztery dni później – według oficjalnego komunikatu – „dzięki pomocy miejscowego społeczeństwa”. Przyznał się do winy.

– Odkąd pamiętam, mój ojciec był działaczem Ruchu, więc od najmłodszych lat chodziłem na jego mecze. Czasem matka jako młodszego syna wysyłała mnie z premedytacją, bo wiedziała, że ojciec, mając takiego podopiecznego, szybciej wróci do domu – uśmiecha się Rudolf Bugdoł, późniejszy pracownik Ruchu, ale też wiceprezes PZPN i szef śląskiego futbolu. Jako dzieciak z wypiekami na twarzy patrzył na swoich ulubionych zawodników. – To było inne granie, inna taktyka. W formacji na wskroś ofensywnej występowało pięciu piłkarzy, więc miałem kogo podziwiać. Największy był Gerard Cieślik, to jasne. Ale Alszer też był gwiazdą. Choć przyznaję, że z tercetu A–B–C ze szczególną sympatią patrzyłem na tego najmniej znanego, czyli Oskara Breitera, bo jak ja pochodził z Chorzowa Starego, był naszym chłopakiem z podwórka – opowiada Bugdoł.

Chorzowski tercet A–B–C w tamtych czasach był odpowiedzią na znakomite trio piłkarzy w Kolejjarzu (Lechu) Poznań, których nazwiska też zaczynały się na trzy pierwsze litery alfabetu: Teodora Anioły – Edmunda Białasa – Henryka Czapczyka. W Chorzowie poznaniakom nie musieli zazdrościć.

– To mój pierwszy mecz, na który zabrał mnie tata. Był 1954 rok Unia Chorzów podejmowała CWKS Warszawa, ponieważ takie były wtedy propagandowe, oficjalne

nazwy, ale mówmy normalnie: Ruch grał z Legią – opowiada profesor Jan Miodek, popularny językoznawca i od zawsze wielki kibic Ruchu. – Po latach przekonałem się, jakie miałem szczęście, bo w Legii debiutował wtedy Lucjan Brychczy, a gospodarze wygrali 1:0 po голу Henryka Alszera. Oczywiście przy współudziale mojego idola Cieślaka. Strącając piłkę, pięknie uruchomił swojego kolegę, który nie zmarnował okazji. Ruch był lepszy, Ruch przeważał, ale wyżej nie wygrał, bo cudów w bramce dokonywał Edward Szymkowiak, który wtedy już odbywał służbę wojskową w stolicy – relacjonuje profesor Miodek.

W tym samym 1954 roku Ruch zagrał towarzyski, ale bardzo prestiżowy mecz z Dynamem Kijów, rozbijając rywala 5:0. Data spotkania – 1 listopada – skłaniała do refleksyjnej zadumy, lecz chorzowskim kibicom wyjątkowo chciało się tańczyć i śpiewać. Na trybunach Stadionu Śląskiego stawiło się blisko 50 tysięcy widzów (była też transmisja radiowa!) i już pewnie wtedy czuli, że są świadkami jednego z najbardziej spektakularnych zwycięstw w historii klubu. Władza ludowa w ramach – i to wcale nie jest żart – „umacniania przyjaźni polsko-radzieckiej” sprowadziła na Górny Śląsk świeżego zdobywcę Pucharu ZSRR i była szczerze zdziwiona, że chorzowianie dostojnych gości na boisku potraktowali tak nieprzyjaźnie! W czasach, kiedy stolica województwa śląskiego nosiła nazwę Stalinogród zamiast Katowice, taki wynik przez Wielkiego Brata mógł być poczytany za zniewagę. Na myśl przychodzi wspominkowa wypowiedź partyjniaka z filmu „Piłkarski

poker” o fikcyjnym meczu Polaków, którzy w stalinowskich czasach odważyli się pokonać Sowiec: „Byłem wtedy młodym działaczem zetempowskim. Co ja się wtedy najadłem strachu! Drużyna radziecka, rozumiesz, potęga!”...

Wprawdzie nie wiadomo, czy po wygranej Ruchu z Dynamem któryś z polskich towarzyszy za dotkliwe obicie bratniej drużyny ze wschodu musiał świecić oczami, natomiast pewne jest, że polscy kibice byli zachwyceni. I piłkarze też. Według wygłoszonej znacznie później opinii przez Gerarda Cieślika był to może nawet najlepszy mecz Alszera w całej karierze, a przecież miał już wtedy 35 lat. Gdyby Alszer żył dłużej, zapewne zrewanżowałby się przyjacielowi równie miłym komplementem, bo też prawda była taka, że obaj zagrali doskonale. „W 30 minucie okrzyk radości zatrzęsł stadionem: ostry strzał Alszera przejął na głowę Pohl i nieuchronnie umieścił piłkę w siatce Dynama” – relacjonowała prasa. Później dwa gole Cieślika. Gol na 4:0 to też zasługa tego duetu: „Z dogodnej pozycji oddaje strzał Cieślik, odparowany jednak przez Makarowa, jednak dobitka Alszera grzęźnie w siatce”. Wynik spotkania ustalił Cieślik...

– Byłem na tym meczu! I jako trampkarz podawałem piłki. Pan sobie wyobraża, co to dla mnie znaczyło?! – mówi Eugeniusz Lerch, a ślady ekscytacji tym wydarzeniem w jego głosie da się wyczuć nawet dzisiaj. Lerch w Ruchu zadebiutował trzy lata później, uchodził za następcę właśnie Alszera. – W 1957 roku on kończył grać w Ruchu, a ja zaczynałem. Oczywiście trenowaliśmy razem, wcześniej „Waluś”, bo tak się do niego zwracałem, już bywał grającym

szkoleniowcem rezerw, to żeśmy tam w jednej drużynie byli – przypomina Lerch. – Wspaniały piłkarz, umiał grać w zasadzie na każdej pozycji. Szybki, dynamiczny. Co tu gadać. Dobry człowiek, dobry zawodnik i dobry trener. Fajnie się zachowywał wobec mnie, bo był bardzo życzliwy. Dużo się od niego nauczyłem – zapewnia.

Dla Alszerą nie tylko świetny mecz z Dynamem Kijów, ale też gra w reprezentacji Polski, łącznie z występem na igrzyskach olimpijskich w 1952 roku, były szczególnym rodzajem osobistego triumfu. Wcześniej życie do góry nogami wywróciła mu druga wojna światowa. Jak wielu młodych Ślązaków – znalazł się na volksliście. Głośno nie protestował, bo w ten sposób tylko by sobie zaszkodził.

– Grał w Bergknappen Königshütte i był świetny. Po wojnie często się o tym mówiło. W Chorzowie był gwiazdą – opowiada Lerch. W końcu jednak Alszerowi Niemcy wręczyli kartę mobilizacyjną. W 1944 roku każdy żołnierz był potrzebny. Znowu nikt go o zgodę nie pytał, a odmówić oczywiście nie mógł. Dlatego był szczęśliwy, gdy walcząc we Francji, dostał się do brytyjskiej niewoli. W zasadzie sam się do niej zgłosił. Kolejną decyzją był akces do Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii.

Po wyzwoleniu został na Zachodzie. Grał w RC Lens, chwilę też w Szkocji. Dopiero gdy otworzyła się możliwość występów w Ruchu i w reprezentacji Polski, postanowił wrócić. Trafił do Polski, gdzie władza patrzyła na niego nieufnie, jak na wielu Ślązaków siłą

wcielonych do Wehrmachtu. Musiał przejść test lojalności, odciąć się nawet od tej mimowolnej przeszłości. Widomym znakiem była zmiana imienia na bardziej „polskie”. Do tej pory był Walterem, ale w 1947 roku został Henrykiem, choć dla kolegów ciągle Walkiem, a na przykład dla Lercha nawet Walusiem... Najważniejsze, że w Polsce Ludowej Alszer pięknie przedstawił się jako piłkarz. Był zbyt dobry, by ktokolwiek mógł go lekceważyć.

A mecz Ruchu z Legią z 1954 roku, o którym wspominał profesor Miodek, miał swój symboliczny wymiar również dlatego, że w warszawskiej drużynie zagrał inny Ślązak, Edmund Kowal. Podobnie jak Alszer zginął tragicznie na ulicy w wypadku, zresztą niecałe cztery miesiące po śmierci chorzowianina. Był od niego młodszy, wciąż grał w piłkę jako cokolwiek niesforna gwiazda Górnika Zabrze. Poślizgnął się na oblodzonej nawierzchni i wpadł pod koła tramwaju. Miał 29 lat. – Śmierć w młodym wieku i Alszer, i Kowala spowodowała, że ich życiorysy urosły w legendy. I wcale się nie dziwię, bo to byli nietuzinkowi piłkarze – podkreśla kibic językoznawca.

– Ciągle mam przed oczami ten bardzo smutny obrazek, jak piłkarze Ruchu wnoszą trumnę z ciałem Alszer. A na pierwszym planie jest Cieślik. To byli bardzo serdeczni przyjaciele i wyczuwało się to zarówno na boisku, jak i poza nim. Cieślika uważałem za największego, ale to Alszer pierwszy pokazał mi, jak się strzela gole w lidze, i to od razu samemu Szymkowiakowi. A wszyscy powinni wiedzieć, że to najlepszy bramkarz w historii polskiej piłki. Przy całym szacunku, żaden

Tomaszewski, żaden Młynarczyk, żaden Dudek – dowodzi z przekonaniem godnym wybitnego naukowca profesor Miodek.

Już jako uznany językowy autorytet i telewizyjna gwiazda programu „Ojczyzna polszczyzna” miał wieczór autorski w Chorzowie. – Okazało się, że gospodarzem spotkania była kuzynka Henryka Alszera. Nic dziwnego, że po wieczorze autorskim zrobił się wieczór wspomnień o fantastycznym piłkarzu... – przyznaje wielki fan Niebieskich.

Urodzony: 7 maja 1918 w Hajdukach Wielkich (Chorzów-Batory)

Zmarł: 31 grudnia 1959 w Rudzie Śląskiej

Pozycja na boisku: napastnik

Reprezentacja Polski: 13 meczów, 2 gole

Uczestnik igrzysk olimpijskich 1952

Kluby: *RKS Hajduki, Hajduczanka, Azoty Chorzów, KS 06 Załęże (wszystkie przed wojną), Bergknappen Königshütte (1939–41),*

RC Lens/FRA (1945), Forres/SCO (1946–47),

Ruch Chorzów (1947–57; 176 meczów, 51 goli),

Górnik Katowice (1958), Pogoń Nowy Bytom (1959)

Mistrz Polski (1951, 1952, 1953), zdobywca Pucharu Polski (1951)

Trudno być reżyserem gry w drużynie narodowej po Kazimierzu Deynie i Zbigniewie Bońku. Januszowi Kupcewiczowi się udało.

Miasteczko Santa Cruz nieopodal La Coruni. W nocy z 21 na 22 czerwca 1982 roku Antoni Piechniczek niewiele spał. Ślęczał nad notatkami w swoim pokoju w hotelu Porto Cobo. Coś z zapalem zapisywał, potem stanowczo skreślał. Bił się z myślami, ważył wszystkie argumenty, próbował przewidywać konsekwencje różnych decyzji...

Przed meczem z Peru na mistrzostwach świata w Hiszpanii w polskiej kadrze atmosfera była napięta. Bezbramkowy remis z Włochami był do przyjęcia, ale taki sam wynik z debiutującym na mundialu Kamerunem wywołał olbrzymi niepokój. Nerwy i jeszcze raz nerwy. „Zarówno ja, jak i piłkarze, zdawaliśmy sobie sprawę z presji opinii publicznej w kraju oczekującej od nas zwycięstwa” – pisał selekcjoner Piechniczek w „Mundialowym dzienniku”, śmiało analizując, co oznaczałaby porażka z Peruwiańczykami: „Bez wątpienia sam zrezygnowałbym z pracy z reprezentacją, choć nie uważam, że taka funkcja przerastałaby moje możliwości, nie doczekałby setnego występu w narodowym kostiumie Lato”.

Spektakularnym przegranym byłby kreowany na lidera Zbigniew Boniek, na którego po pierwszych meczach spadła ogromna krytyka. „Chyba nie przesadzę twierdząc, że okres między meczami z Kamerunem i Peru był najtrudniejszym w całej mojej karierze trenerskiej i chyba sportowej biografii Zbigniewa Bońka” – notował tuż po mundialu Piechniczek. W kolejnych zdaniach przyznawał, że długo się zastanawiał, czy w ostatnim grupowym spotkaniu wystawić go do składu, skoro wyraźnie „nie mógł pogodzić się z pomówieniami, iż podpisawszy kontrakt z Juventusem przestał przejmować się reprezentacją Polski. (...) Tej nocy doszedłem jednak do wniosku, że piwo powinni wypić ci, którzy je nawarzyli. Owszem, mogłem wprowadzić czterech nowych zawodników, lecz jaką miałbym pewność, że nie będą myśleć kategoriami: tamci nie wygrali, więc czego wymaga się od nas?” – argumentował w wewnętrznym monologu selekcjoner.

Postawił więc na piłkarzy zamieszanych we wcześniejsze remisy, ale z jednym wyjątkiem: po raz pierwszy na boisku podczas hiszpańskiego mundialu pojawił się Janusz Kupcewicz. As Arki Gdynia na mundialu był już cztery lata wcześniej w Argentynie, co tylko potwierdzało skalę jego talentu. W 1978 roku nie powąchał jednak murawy; nie miał szans, skoro był kandydatem na lidera drużyny w środku pola, który reguluje tempo gry i wpływa na jakość gry ofensywnej. Kimś takim był przecież Kazimierz Deyna, a hardo naciskał na niego Boniek. W Hiszpanii Deyny już zabrakło, więc Boniek miał wyczyszczone

pole. Dla wszystkich postronnych obserwatorów było to jasne i nikt z tym nie dyskutował.

Dopiero perspektywa mundialowego blamażu zmusiła Piechniczka do radykalnej i z pewnością ryzykownej decyzji. Piwo mają wypić piłkarze, którzy je nawarzyli? Jasne, ale powinien im pomóc ktoś tak nieprzeciętnie uzdolniony i charakterny jak Kupcewicz. Wszyscy mówią o kapitalnym pomysle z przesunięciem Bońka do ataku. Jakie miałyby znaczenie, gdyby nie znalazł się ktoś, kto potrafi zastąpić go w drugiej linii? Wtedy właśnie selekcjoner wyciągnął z szafy tylko trzy miesiące starszego od Bońka Kupcewicza. Do tamtej chwili przeżył już w sumie osiem mundialowych meczów i wszystkie z perspektywy ławki rezerwowych lub krzeselka na trybunach. Teraz usłyszał słowo, na które tak długo czekał: „Grasz!”.

Mimo że w kadrze debiutował już sześć lat wcześniej, tylko raz wystąpił w meczu o punkty, kiedy Polska pokonała NRD (1:0), ustawiając się w uprzywilejowanej pozycji w walce o hiszpański mundial. To ułatwiło decyzję Piechniczki. Dla niego Kupcewicz był facetem sprawdzonym w boju. Tyle że 2 maja 1981 roku na Stadionie Śląskim zastępował wciąż zawieszonoego po pamiętnej aferze na Okęciu Bońka, a teraz miał zagrać razem z nim, choć jasne było, że obaj za sobą nie przepadali.

– Gdybyśmy wygrali z Kamerunem choćby 1:0, pewnie do dzisiaj siedziałbym na

trybunach, nie byłoby mnie już widać zza pajączyn. Dla mnie było to życiowe wyzwanie: miałem wreszcie zagrać na mundialu i to w tak ważnym momencie. Byłem już w Argentynie, ale wszystkiego dwa razy załapałem się na ławkę rezerwowych, więc co to za mistrzostwa. Poza tym w kadrze nie było atmosfery, bo szybko zabił ją trener Jacek Gmoch, taka prawda – wspominał Kupcewicz na łamach „Przeglądu Sportowego” w 35. rocznicę hiszpańskiego medalu.

Mecz z Peru Polacy wygrali 5:1, a wszystkie gole strzelili w drugiej połowie. Wtedy wyglądali tak, jakby wyswobodzili się z niewidzialnych łańcuchów. Wychodziło im każde zagranie. Byli zaprogramowani na rozbicie rywali i robili to z bezwzględną konsekwencją. Pod peruwiańską bramką szaleli Włodzimierz Smolarek, Grzegorz Lato, Boniek i Andrzej Buncol, ale w pomocy nad wszystkim czuwał Kupcewicz, który miał spory udział przy dwóch golach. Wszedł do składu i błyskawicznie poczuł się w nim jak u siebie w domu.

W następnym meczu z Belgią (3:0) Polacy przeprowadzili kapitalną akcję, która zapisała się w dziejach polskiej piłki: Buncol głową do Bońka, Boniek głową do bramki. Ale wszystko zaczęło się od fantastycznego zagrania Kupcewicza.

W starciu o trzecie miejsce z Francją (3:2) wreszcie trafił do siatki. Sam przyznaje, że miał szczęście, że w ogóle był jeszcze na boisku, bo po przerwie miał go zastąpić Włodzimierz Ciołek. Problem z dalszym graniem miał jednak defensywny pomocnik Waldemar Matysik, więc zmienił go Roman Wójcicki, dzięki czemu Kupcewicz ostał się

w jedenastce. I bardzo dobrze, bo zrobił coś spektakularnego.

Tuż po przerwie uderzał z rzutu wolnego, z ostrego kąta. Przed nim stanął skąpy dwuosobowy mur, bo bramkarz Jean Castaneda spodziewał się dośrodkowania. On jednak strzelił na bramkę i zmieścił piłkę tuż przy słupku! Trzeba mieć dużą fantazję, umiejętności i... odwagę, by tak rozwiązać sprawę na mundialu. Na pewno mógł tak strzelić Deyna. Boniek pewnie też, choć nie wszyscy się z tym zgodzą, bo liczyły się jego inne bezcenne walory, był bardziej ofensywnym piłkarzem, bezwzględnym kilerem, co pokazał właśnie na mundialu.

Kupcewicz miał natomiast imponującą technikę strzału, udowodnił to na tym turnieju. W każdym razie sam zaznacza, że do wykonania rzutu wolnego w meczu z Francją nikt nie chciał podchodzić, bo trzeba było strzelać z tak niewygodnej pozycji. Odważył się tylko Kupcewicz i spróbował najtrudniejszej opcji... Inni wiedzieli, że przy takiej próbie można się co najwyżej wygłupić.

Po mundialu był gorącym transferowym towarem. Do tej pory wciąż grał w Arce, która była jego pierwszym klubem po przenosinach z Olsztyna. W niej wypłynął na szerokie wody, z nią w 1979 roku zdobył Puchar Polski. Można się tylko zastanawiać, co by było, gdyby u progu dorosłej kariery przyjął ofertę Legii Warszawa albo Górnika Zabrze, bo do ojca, który dbał o jego transferowe interesy, zgłaszali się przedstawiciele właściwie wszystkich ekstraklasowych klubów. Wierność

gdynskiemu klubowi musiała się skończyć właśnie latem 1982 roku.

– Wtedy moja drużyna spadła do II ligi, a ja po pięknym mundialu nadal chciałem grać w reprezentacji Polski. Musiałem więc szukać sobie klubu w ekstraklasie. Były oferty z Włoch, RFN, lecz władza nie zgodziła się na transfer, bo za mało pieniędzy za mnie dawali. Nie miałem tyle szczęścia co Zbyszek Boniek, za którego Juventus zaoferował prawie dwa miliony dolarów – opowiadał nam Kupcewicz.

W Lechu Poznań grał tylko jeden sezon. W drużynie Wojciecha Łazarka, która zdobyła mistrzostwo Polski, był kluczowym piłkarzem. Wyjechał do francuskiego St. Etienne (kosztował 300 tysięcy dolarów), potem była grecka Larissa. Gdziekolwiek grał, szybko zasługiwał na duży szacunek. Wyjazd za granicę oznaczał jednak dla niego kres występów w polskiej kadrze.

Po mundialu zagrał w niej tylko pięć meczów. I chociaż zdobył trzy bramki, to... – Selekcyjner w pewnym momencie mnie odstrzelił, choć nie stałem się gorszym piłkarzem, może nawet lepszym. Żałuję, że nie było mnie już na mundialu w Meksyku. Hiszpański medal został najpiękniejszą rzeczą, jaka mnie spotkała w piłkarskim życiu – mówił dla „Przeglądu Sportowego” Kupcewicz.

Ani drugim Deyną, ani drugim Bońkiem nie został, choć w gruncie rzeczy nie wiadomo, z jakiego powodu. Miał charakter, miał umiejętności, ale czegoś w karierze mu zabrakło. Na zawsze pozostał cenionym piłkarzem, który mógł być jeszcze lepszy.

Mundial w Hiszpanii był wielkim turniejem Zbigniewa Bońka. Definitywnie został

wykreowany na piłkarza światowego formatu, dzięki czemu reprezentacja Polski miała uitorowaną drogę do strefy medalowej. A jednak przez te wszystkie lata trudno się pozbyć natrętnej refleksji, że medalu mogłoby nie być, gdyby nie Janusz Kupcewicz i jego kapitalne wejście do drużyny wtedy, kiedy rozpaczliwie potrzebowała pomocy.

Urodzony: 9 grudnia 1955 roku w Gdańsku

Pozycja na boisku: pomocnik

Reprezentacja Polski: 20 meczów, 5 goli

Uczestnik mistrzostw świata 1978, 1982 (3. miejsce)

Kluby: *Warmia Olsztyn (1964–68), Stomil Olsztyn (1969–74),*

Arka Gdynia (1974–82; 161 meczów, 27 goli), Lech Poznań (1982–83;

24 mecze, 9 goli), AS Saint-Etienne/FRA (1983–85; 26 meczów,

2 gole), AE Larissa/GRE (1985–86; 23 mecze, 2 gole),

Lechia Gdańsk (1986–88; 39 meczów, 8 goli),

Adanaspor/TUR (1988–89; 15 meczów, 4 gole)

Mistrz Polski (1983), zdobywca Pucharu Polski (1979)

Arkadiusz Bartosiak, Łukasz Klinke,
Najlepszy trener na świecie.

*Z Jackiem Gmochem rozmawiają
Arkadiusz Bartosiak i Łukasz Klinke,*

W.A.B., 2018

Biało-czerwone mundiale, red. Roman
Kołtoń, Zysk i S-ka, 2006

Leszek Błażyński, *W kowbojskich
kapeluszach. Historia sportu*

w Bytomiu, Centrum Promocji Bytomia,
2016

Jerzy Bułanow, *11 czarnych koszul. Moje
wspomnienia,* oprac. Robert Gawkowski,
Jarosław Rokicki, 2011

Paweł Czado, *Górnik Zabrze. Opowieść
o złotych latach,* Agora, 2017

Paweł Czado, Beata Żurek, *Piechniczek.
Tego nie wie nikt,* Agora, 2015

Wojciech Frączek, Mariusz Gudebski,
Jarosław Owsiański,

*Encyklopedia Ekstraklasy. Statystyczny
bilans 80 sezonów,*

Fundacja Dobrej Książki, 2015

Andrzej Gowarzewski, *Encyklopedia
Piłkarska, t. 2, Biało-Czerwoni,*

dzieje reprezentacji Polski (1), GiA, 1991

Andrzej Gowarzewski, *Encyklopedia
Piłkarska, t. 14, Biało-Czerwoni,*

dzieje reprezentacji Polski (2), 1947–1970,
GiA, 1995

Andrzej Gowarzewski, *Encyklopedia
Piłkarska, t. 16, Biało-Czerwoni,*

dzieje reprezentacji Polski (3), 1947–1970,
GiA, 1996

Andrzej Gowarzewski, *Encyklopedia Piłkarska, t. 20, Biało-Czerwoni, dzieje reprezentacji Polski (4), 1981–1997,*
GiA, 1997

Andrzej Gowarzewski, *Encyklopedia Piłkarska, t. 51, Mistrzostwa Polski. Ludzie (1), 1918–1939,* GiA, 2017

Andrzej Gowarzewski, *Encyklopedia Piłkarska, t. 53, Mistrzostwa Polski. Ludzie (3), 1945–1962,* GiA, 2017

Andrzej Gowarzewski, *Kolekcja klubów, t. 1, Ruch Chorzów,* GiA, 1995

Andrzej Gowarzewski, *Kolekcja klubów, t. 2, Legia Warszawa,* GiA, 1995

Andrzej Gowarzewski, *Kolekcja klubów, t. 3, Wisła Kraków,* GiA, 1996

Andrzej Gowarzewski, *Kolekcja klubów, t. 5, Widzew Łódź,* GiA, 1998

Andrzej Gowarzewski, *Kolekcja klubów, t. 6, Górnik Zabrze,* GiA, 1998

Andrzej Gowarzewski, *Kolekcja klubów, t. 7, Polonia, Warszawianka, Gwardia,* GiA, 2003

Andrzej Gowarzewski, *Kolekcja klubów, t. 8, Lech Poznań,* GiA, 2003

Kazimierz Górski, *Z ławki trenera,* współ. aut. Andrzej Konieczny,
Sport i Turystyka, 1975

Stefan Grzegorzcyk, Jerzy Lechowski, *Droga do Meksyku,* Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 1986

Andrzej Jucewicz, *Selekcjonerzy*, Sport i Turystyka, 1988

Sebastian Pilarski, „Odmówił powrotu do kraju” – ucieczki piłkarzy z PRL na Zachód, „Pamięć i Sprawiedliwość”, 2014, t. 13, nr 2 (24)

Grzegorz Stański, *Mundialowy dziennik Antoniego Piechniczka*, Sport i Turystyka, 1982

Andrzej Strelau, Jerzy Chromik, *On, Strelau*, Sine Qua Non, 2018

Marek Wawrzynowski, *Wielki Widzew: Historia polskiej drużyny wszech czasów*, QSB, 2013

Prasa (archiwalne numery):

„Gazeta Krakowska”

„Gazeta Wyborcza”

„Nowiny Rzeszowskie”

„Piłka Nożna”

„Przegląd Sportowy”

„Rzeczpospolita”

„Sport”

„Tempo”

„Trybuna Robotnicza”

źródła internetowe:

90minut.pl

historiaruchu.pl

historiawisly.pl

interia.pl

legia.net

nasljerseys.com

onet.pl
przehladsportowy.pl
sport.pl
sportowefakty.wp.pl
wldzewiak.pl
wikigornik.pl
wikiliga.pl
wikipasy.pl
worldfootball.net